

JOHN STUART MILL

AUTOBIOGRAFJA

PRZEKŁAD, WSTĘP I UWAGI

MIECZYŚŁAWA SZERERA

NAKŁADEM „NASZEJ KSIĘGARNI” SPÓŁKI AKCYJNEJ
WARSZAWA 1931 ROKU

MIECZYSLAWA SZERERA:

KARA, Kraków 1910.

LA CONCEPTION SOCIOLOGIQUE DE LA PEINE (przejrzane
tłumaczenie poprzedniej pracy), Paris 1914, Bibliothèque
internationale de Sociologie, t. LI.

SOCJOLOGJA WOJNY, Kraków 1916.

IDEA NARODOWA W SOCJOLOGJI I POLITYCE, Kraków
1922.

O NAPRAWĘ STANU URZĘDNICZEGO, Warszawa 1923.

SPRAWA URZĘDNICZA W DEMOKRACJI, Warszawa 1925.

RZĄD CZY PREZYDENT? Warszawa 1929.

Przekład:

CALLIÈRES F: SZTUKA DYPLMACJI, Warszawa 1920.

202 m
~~731~~

AUTOBIOGRAFJA



JOHN STUART MILL

AUTOBIOGRAFJA

PRZEKŁAD, WSTĘP I UWAGI

MIECZYŚŁAWA SZERERA



403.

NAKŁADEM „NASZEJ KSIĘGARNI” SPÓŁKI AKCYJNEJ
WARSZAWA 1931 ROKU

JOHN STUART MILL



11281

WARSZAWA, WIELKA ULICA

WIECZYSŁAW SZERBA



WARSZAWA, WIELKA ULICA

WSTĘP

Wiek XIX-y zaczynał się w Anglii bardzo nie-
pomyślnie dla ludzi spragnionych wolności politycz-
nej. Ustrój państwowy był arystokratyczny w naj-
gorszym tego słowa znaczeniu. Na tronie siedział
ślepy warjat — Jerzy III — który i za zdrowych
zmysłów nie imponował mądrością (słynny karyka-
turzysta Gillray, sam również pod koniec życia zidjo-
ciały, niezbyt ceremonjalnie drasnął króla obrazkiem,
przedstawiającym go w chwili, gdy oglądając miszkę
z knedlami, zapytuje z zaciekawieniem, którądy to
dostaje się śliwka do środka knedla). Z siedmiu po-
zostałych przy życiu synów królewskich o jednym
tylko twierdzono, że mógł istotnie uchodzić za przy-
zwoitego człowieka; niestety, nie ten właśnie spra-
wował regencję za chorego ojca, lecz najstarszy
z synów, późniejszy Jerzy IV, łączący w swej opa-
słej postaci wady gracza, pijaka, rozpustnika i wia-
rołomcy, raczej nieznośne w takim nagromadzeniu.
Cały wpływ polityczny skupiała w swem ręku i wy-
zyskiwała oligarchja wielkich właścicieli ziemskich,
„żubrów”, rozporządzających parlamentem dzięki

fantastycznie skrojonemu prawu wyborczemu, dzięki bezczelnej korupcji i dzięki ciemnocie i bezwładowi tak zwanych szerokich warstw społeczeństwa.

W tym to czasie, na jednym z przedmieść Londynu, w pokoiku zarzuconym książkami, siedział syn szewca z małej miejscowości szkockiej i — pisał „Historję Indyj”. Zwróciwszy, jako uczeń, uwagę na siebie, uzyskał od okolicznego magnata stypendjum na ukończenie uniwersytetu w Edynburgu, poczem spędziwszy kilka lat na guwernerce, postanowił poświęcić się publicystyce. Osiadł w Londynie i piórem dorabiał się chleba i rozgłosu. Pisał bardzo radykalnie, krytykując ostro i ze szkocką zaciętością przegniły ustrój polityczny, wykazując rażącą sprzeczność istniejących urządzeń z zasadami rozumu, dowodząc żarliwie potrzeby reform demokratycznych i polemizując ząb za ząb z obrońcami istniejącego stanu.

Rzecz jasna, że tego rodzaju artykuły nie mogły być popłatne w okresie reakcji. To też trzeba było pisać ich dużo, aby utrzymać siebie i mnożącą się szybko rodzinę. A zarabianie na życie to przecież nie wszystko dla pisarza z ambicją, jakim jest ten syn szewca szkockiego. Nie wystarcza mu też świadomość, że artykułami swemi — pisanemi z głębi niewzruszonych przekonań, naprzekór panującym poglądom i z narażaniem się osobistemu — oświeca mózgi, budzi energje, wstrząsa sumienia, że dając przykład odwagi cywilnej, toruje drogę ruszającej ciężko z miejsca demokracji. Pragnie pozostawić dzieło wielkich rozmiarów, w którem wyłoży właściwe zasady rządzenia, pokaże, czego od rządców kraju wymaga rozumna troska o dobro poddanych

i pouczy, jak dążyć do utożsamiania się interesu pa-
nujących z interesami podwładnej ludności. W ten
sposób powstaje zamysł napisania „Historji Indyj”,
którego wykonanie zajmie dziesięć lat mozolnych
trudów. Dziesięć lat, bo pracować nad tem dziełem
można tylko w chwilach, które pozostają wolne po
pochlaniającej pracy publicystycznej. Dzień po dniu,
wstając do roboty o 5-ej rano, można odłożyć pióro
dopiero o 11-ej w nocy.

Ale to jeszcze nie dość zajęcia. W chwili kiedy
James Mill, sumiennie odrobiwszy skromnie płatny
artykuł, pogrąża się w studjach do swej uczonej
„Historji”, naprzeciw niego, przy tym samym stole,
siedzi jego sześciolatek syn i bawi się? Nie: czyta
Platona, po grecku.

Co chwilę malec jest w kłopotcie. Nie dość, że
nie zawsze rozumie całą myśl sokratesowską, jeszcze
musi biedzić się nad znaczeniem wielu słów. Wpraw-
dzie już *trzy* lata temu ojciec zaczął go uczyć greki,
cierpliwie wbijając mu pamięć słówka greckie, ale
przecież dzieciak nie zdołał jeszcze opanować języ-
ka filozofów. Czy to dziwne, że w wieku, w którym
jego rówieśnicy zabierają się dopiero do sylabizo-
wania elementarza w ojczystym języku, on ma trud-
ności z oryginałem dialogów platońskich? Możnaby
sobie wprawdzie pomóc słownikiem — gdyby był.
Ale słownik grecko angielski jeszcze nie istnieje, jest
tylko słownik grecko łaciński, a sześciolatek student
Platona nie umie jeszcze po łacinie. Co rusz więc
podnosi głowę w lokach i pyta ojca, siedzącego na-
przeciw, o znaczeniu nieznanego słowa.

James Mill drgnął niechętnie. Czas jest drogi
i myśli autora „Historji Indyj” są daleko. Porówny-

wał właśnie stan cywilizacji mahometańskich najeźdźców Indyj ze stanem cywilizacji podbitych Hindusów. Najeźdźcy wychowani byli w wyrafinowanej kulturze perskiej, Hindusi stali pod względem rozwoju intelektualnego o wiele niżej. Chodzi o to, czy „system rządów zbudowanych i sprawowanych zgodnie z właściwościami cywilizacji perskiej, zamiast zgodnie z właściwościami cywilizacji hinduskiej, przyniósł ludności hinduskiej Indyj zysk czy szkodę”. Rzecz nie jest prosta. James Mill nie jest skłonny do kierowania się względami czułościowości: „Niechęć do rządu, dlatego że jest w rękach cudzoziemców — to znaczy ludzi, których nazywa się takim imieniem, a nie innem — bez względu na zalety tego rządu, jest przesadą, którego wstydzi się rozum”. Zważywszy wszystko razem na wadze nieuprzedzonego rozumu, James Mill przystępuje właśnie do uczonego wywodu, że „natura ludzka w Indjach zyskała, i to zyskała bardzo wiele, przechodząc z pod władzy hinduskiej pod rządy mahometańskie” — gdy chłopiec pytaniem swoim wytrąca go z równowagi. Ale ledwie cię zniecierpliwienia przemknął mu przez czoło, już James Mill, człowiek żelaznej woli i niefolgującego nigdy poczucia obowiązku, opanował się: wziął na siebie zadanie wzorowego wykształcenia syna, przeto zadanie to spełni. I spokojnie wyjaśnia chłopcu znaczenie nieznanego słowa.

Tak pracuje *James* Mill nad dziełem, o którym Macaulay — skądinąd bardzo źle usposobiony do teoryj politycznych Milla — miał powiedzieć, że jest najlepszą pracą historyczną po wiekopomnem dziele Gibbona. I tak pod niedość może ciepłym, ale zawsze

ważnem spojrzeniem ojca kształci się przysły przywódca intelektualistów angielskich podczas rozkwitu epoki wiktoriańskiej — *John Stuart Mill*.

Zdawałoby się, że system wychowawczy Jamesa Milla wymyślony został na to, by jak najpewniej chybiać celu. Zacząć trzyletniego berbecia uczyć greki; uczyć następnie dziecko bez przerwy, nie dając mu wakacyj, nie pozwalając mu bawić się z rówieśnikami, którzy — nieprawda? — mogliby okazać się niebezpiecznymi lekkoduchami; nie pozwalać chłopcu na żadne ćwiczenia cielesne, natomiast wpajać weń od najwcześniejszej pory cnotę stoickiej wstrzemięźliwości; nie opowiadać mu powiastek dla dzieci, lecz dyskutować z nim o podstawowych zagadnieniach politycznych i ekonomicznych; dawać mu nie książki dla młodzieży, lecz Platona, Tuczyszyna i Arystotelesa; kazać mu spisywać codziennie treść lektury i opowiadać ją sobie nazajutrz podczas długiego rannego spaceru; krygować mu umysł nieustannie kazaniem na temat sprawiedliwości, wytrwałości, gotowości podejmowania trudów, szanowania dobra publicznego i tym podobnych cnót bardzo cennych, ale naogół mało pociągających kilkoletniego kandydata na obywatela — a opowieść o takim to wychowaniu znajdziemy w *Autobiografii* — coś może prościej prowadzić do całkowitego oglupienia ucznia, wysuszenia mu głowy i serca i pozbawienia go błogosławieństwa na całe życie: wspomnienia słonecznej szczęśliwości dzieciństwa?

Tymczasem (tu zaczyna się zdumienie) John Stuart Mill przedewszystkiem nie zgłupiał, stał się nawet jednym z najtęższych myślicieli swego czasu.

Powtórę zaś nie czuł się bynajmniej nieszczęśliwym, choć prawdopodobnie nie często słyszano, by śmiał się z całej duszy dziecinnym pustym śmiechem. Eksperyment dokonany z małym Johnem wywraca dokładnie wszystkie zasady nowoczesnej oświeconej pedagogji. Cała bieda z tem, że się udał. Czyżby James Mill, fabrykując swego małego człowieka, chwytając i drenując planowo wszystkie, od najpierwszych, drgienia jego myśli, szczepiąc, co chciał, na lewo od ziemi dorosłej płonce — czyżby James Mill, stosując te zabiegi, na których myśl ciarki przechodzą dzisiejszego wychowawcę, *miał rację?*

Nie, z pewnością nie. Hodowla (bo inaczej tego nie można nazwać) Johna Stuarta Milla była czemś przeraźliwym. Jedyne nieprawdopodobnie zdrowemu ustrojowi duchowemu zawdzięcza on, że wytrzymał staranność swego wychowania. Jeżeli więc opis tego wychowania jest jednym z głównych czynników, stanowiących o niespożytej wartości *Autobiografji*, to jest tak nie dlatego, iżby mogło ono służyć za wzór płodnej dyscypliny pedagogicznej. Zapewne zresztą sam James Mill nie pretendował do dawania przykładu, któryby mógł być szeroko naśladowany: był przecież świadom, że stosowany przezeń system wymagał przedewszystkiem od wychowawcy wyjątkowych trudów i przymiotów. Owóż tu właśnie dotykamy tego, co w edukacji Johna Stuarta Milla było i pozostało najgodniejszym podziwu: *Autobiografia* jest pomnikiem wystawionym *Jamesowi* Millowi, wystawionym z pietyzmem, na jaki w pełni zasługiwał ten jedyny w swoim rodzaju ojciec. Być może, że z kilku rzuconych tu uwag wytwarza się obraz Jamesa Milla jako suchego pedanta, zgryźliwca i do-

kuczliwego pryncypjalisty. W rzeczywistości tak nie było; przynajmniej nie całkiem tak było. Najważniejsze bowiem — i to właśnie stanowi o olbrzymiej wartości pedagogicznej *Autobiografji* — że James Mill był *człowiekiem charakteru*. Kogo pociąga dzielność męska, ten z przyjemnością — i z pożytkiem — przyjrzy się postaci Jamesa Milla. Aby ją zaś widział plastyczniej, powiemy tu kilka słów jeszcze o tym początku XIX-go wieku w Anglii, który stanowił tło ideowe i obyczajowe *Autobiografji*.

Wiemy już, że atmosfera, która wówczas panowała, była bardzo duszna. Jak twierdzi historyk, był to „jeden z najboleśniejszych okresów w dziejach Anglii. Wolność słowa była całkowicie zduszona, prasa zakneblowana; nie pozwalano na publiczne zebrania; przekonania polityczne wzbudzały nienawiść i podejrzenia; władze otwierały listy; obawiano się szpiegów ukrytych za każdą ścianą i za każdymi drzwiami”¹⁾). Trzeba pamiętać, że jesteśmy w Anglii — przed stu laty przeszło, coprawda, ale bądź co bądź w Anglii, a więc w kraju, gdzie poczucie

¹⁾ Jeden z posłów, nieprzekonanych o rozumności akcji rządu, tak na jej temat ironizował w przemówieniu w Izbie Gmin: „Odkryto, że na jednym z przedmieść był klub dyskusyjny, w którym krzewiono zasady o niesłuchanie niebezpiecznym charakterze; gdzie ludzie przychodzili kupować zdradę po kilkadziesiąt groszy od osoby; i gdzie im ją sprzedawano detalicznie przy mdłym świetle niedopałka świecy; i pięć minut, odmierzonych klepsydrą, przyznawano każdemu zdrajcy na spełnienie swego udziału w akcji wywrócenia państwa. Znalezione też obóz z tyłu pewnego sklepu, arsenał zaopatrzony w dziewięć strzelb i skarb zawierający dziewięć funtów szterlingów i jednego fałszywego szylinga; co wszystko miało być obrócone przeciw całej sile zbrojnej i ustanowionemu rządowi Wielkiej Brytanji”.

i potrzeba wolności osobistej stały się wcześniej jednym ze składników rozbudzonej godności obywatelskiej. Rzecz oczywista, że ogień opozycji tlił się i od czasu do czasu sykiem dawał znać o swem istnieniu.

Już ruch wyzwolenczy kolonij amerykańskich wywołał był taki wstrząs opinii publicznej, że nawet niektórzy z konserwatywnych polityków poczęli zastanawiać się, czy nie należy zreformować stanu, przy którym parlament jest całkowicie w rękach wielkich właścicieli ziemskich, czy mianowicie nie należałoby — rozszerzając prawo wyborcze — dopuścić do wydatniejszego objawiania się w parlamencie opinii z poza sfer agrarjuszów. Silniejszej podniety doznaje ruch za reformą wyborczą w kilkadziesiąt lat później, kiedy odgłosy Wielkiej Rewolucji, dochodzące łatwo z wąskiego ramienia kanału, budzą energję opozycjonistów angielskich i stają się im podniętą do agitacji za przywróceniem człowiekowi praw, które mu dała natura, a których go pozbawili tyrani.

Wyływają wtedy działacze i publicyści o wielkim rozmachu — Wilkes, Price, Priestley, Paine, Godwin; mnożą się i rozchodzą w tysiącach egzemplarzy traktaty o „wolności obywatelskiej”, o „prawach człowieka”, o „zasadach rządzenia”, o „sprawiedliwości politycznej”; ten i ów z głośniejszych działaczy jedzie do Francji, by pić u samego źródła entuzjazmu wolnościowego, jest owacyjnie przyjmowany przez Zgromadzenie Narodowe, jako przedstawiciel wzdychającego do wolności ludu angielskiego, uzyskuje godność obywatela francuskiego i wraca do Anglii z czołem groźnie zmarszczonem. W ten sposób rodzi się *radikalizm angielski*, która

to nazwa okrywa początkowo ruch o bardzo niewyraźnem obliczu, zbiór dość różnorodnych tendencyj opozycyjnych, często zwalczających się wzajemnie (jako że demokraci nigdy i nigdzie nie mieli skłonności do zgody między sobą), pozbawionych przeważnie głębszej doktryny politycznej i mających, jako jedyną niemal cechę wspólną, gwałtowny ton w ataku i polemice.

Strona przeciwna nie pozostaje, oczywiście, dłużna. Na słowa, których płomień zażegnieto u wielkiego ogniska w Paryżu, odpowiada niemniej namiętnie jeden z największych mówców nowoczesnych — Burke, jedyny może człowiek, który z idei obrony ustanowionych przywilejów i istniejących przesądów umiał wydobyć natchnienie, wznoszące na najwyższe szczyty krasomówstwa. Podczas gdy Burke piorunuje z trybuny i także piórem zwalcza Rewolucję, dostarczając argumentów obrońcom angielskich okopów św. Trójcy („porządek — woła w swych słynnych *Uwagach o rewolucji we Francji* — jest fundamentem wszystkich dobrych rzeczy. Sędzia musi mieć poszanowanie, a prawo powagę. Nie trzeba sztucznie wykorzeniać z umysłów ludu zasad przyrodzonej subordynacji. Winni szanować tę własność, w której nie mogą uczestniczyć. Winni pracować, aby uzyskać, co pracą można uzyskać; a jeśli uważają, jak to dzieje się zwykle, że wynik nie jest proporcjonalny z wysiłkiem, trzeba ich nauczyć pocieszać się ostateczną proporcjonalnością wieczystej sprawiedliwości”...) — podczas gdy Burke zatem obiecuje glorię niebieską cierpiącym, rząd rozwija docześnie bezwzględną działalność represyjną. Sypią się kary więzienne i pieniężne, a niebawem su-

rowość postępowania wzmacniają i ułatwiają potrzeby wojny z Francją, potrzeby obrony przed niebezpiecznym genjuszem Napoleona. W tych warunkach powodzenie reakcji rządowej jest zupełne. Rozbici są umiarkowani nawet obrońcy praw społeczeństwa: whigowie z pod znaku Karola Foxa. Utracili szereg mandatów do parlamentu, zachowali jednak... humor: gdy wobec jednego z nich ktoś twierdził uszczypliwie, że posłowie whigowscy w Izbie Gmin zmieściliby się do jednej dorożki — ten odparł: „to oszczerstwo, zapełnilibyśmy dwie”.

Póki wojna trwa, można utrzymywać twardy rygor. Ale po wojnie położenie zmienia się z roku na rok coraz bardziej na korzyść radykalizmu. Przedewszystkiem coraz głośniej burzą się masy, które — ciemne — nie tylko nie popierały poprzednio dość silnie apostołów swego wyzwolenia politycznego, ale często nawet obracały się przeciwko nim... Teraz masy te, przytłoczone ciężarem skutków długotrwałej wojny i rozstrojone następstwami wkraczającej na arenę gospodarki kapitalistycznej, nabierają groźnego wyglądu. Z drugiej strony ten sam przewrót ekonomiczny, który pauperyzuje masy, dostarcza radykalizmowi sprzymierzeńców z klasy o wręcz przeciwnych interesach gospodarczych, ale takich samych interesach politycznych. Są to mianowicie sprzymierzeńcy z pośród zamożnej burżuazji, która wyrasta szybko na gruncie brzydkich spekulacji w Indjach i na gruncie przechodzenia produkcji na system fabryczny, która jednak jako nieosiadła na roli jest politycznie niema: budowniczo wie angielskiej potęgi przemysłowej nie posiadają praw wyborczych! Nie znaczy to, co prawda, iżby barjera pomiędzy wielkim

majątkiem ruchomym a wielką własnością ziemską była nie do przebycia. Arystokracja angielska nie była (i nie jest) ciałem szczelnie zamkniętem: za cenę kupna odpowiedniego majątku ziemskiego można było dostać się w jej krąg i nabyć przywileje polityczne związane z posiadaniem roli, przywileje dochodzące często aż do rozporządzania kilku mandatai poselskimi. Ale ten swego rodzaju skartabelat jest kosztowny i — co gorsza — towarzystwo nie zawsze jest dość litościwe, by nie dać intruzowi odczuć jego parwenjuszostwa.

W ten sposób radykali angielscy w pierwszych dziesięcioleciach w. XIX-go są grupą dziwnie złożoną. U góry są kapitaliści, pozbawieni praw politycznych, ale mogący dostarczać środków na prowadzenie walki i dobijający się wpływu z impetem *nouveaux-riches*’ów. U dołu znajdują się masy, coraz gorętsze i z coraz większą desperacją gotujące się do walki. A w środku — złożony od góry i przypiekany od dołu — rzuca się, agituje, pisze i myśli za wszystkich najspe cyficzny element radykalny: ci, których dziś nazwalibyśmy „inteligencją pracującą”, ludzie wolnych zawodów, wzmocnieni przez rozpolitykowanych kupców i rzemieślników. Z tej wykształconej średniej warstwy pochodzą ludzie, którzy radykalizmowi, ideowo chwiejnie stojącemu na nogach, dostarczają doktryny, którzy systematycznie, naukowo uzasadniają potrzebę reformy i usiłują z bezładnej ruchawki uczynić akcję o wyraźnym, silnie teoretycznie podbudowanym programie. Ze względu na tę dążność do oparcia się o gruntowne studia warunków życia zbiorowego (w przeciwieństwie do wcześniejszych radykałów, dbających raczej o doraźną

skuteczność agitacji, niż o ciężar gatunkowy doktryny) nazwano ich *radykałami filozoficznymi*. Otóż jedynym z chorążych tego radykalizmu filozoficznego był James Mill.

Poglądy, które James Mill krzawił niestrudzenie słowem i piórem z niesłychaną apodyktycznością i owem szczęśliwym uczuciem pewności, właściwem predestynowanemu publicyście — poglądy te nie były bezwzględnie oryginalne. Albowiem James Mill, stworzony do pociągania za sobą ludzi, którym imponowała siła charakteru, sam uległ wpływowi myśliciela niewątpliwie potężniejszego, a mianowicie Jeremjasza *Benthama*.

Ten słynny twórca doktryny użytecznej (dowiedzmy się z *Autobiografji*, że to John Stuart Mill nadał jej tę nazwę) posiadał bardzo oryginalne urządzenie głowy. Z umysłem dość encyklopedycznym, wiecznie wzburzonym projektami naprawy coraz to innych urządzeń, łączył ambicję reformowania całej dziedziny współżycia ludzkiego, zaczynając od wychowania dzieci, zaczepiając o sprawy organizacji kościelnej, ekonomji i polityki, a kończąc na zagadnieniach moralności; przedewszystkiem jednak marzył o roli prawodawcy i większość swych prac poświęcił niezmordowanej agitacji za reformą istniejącego, rzeczywiście bardzo ułomnego, ustawodawstwa¹⁾. „Nie

¹⁾ Niech humor Dickensa pomoże nam wczuć się w atmosferę sądownictwa angielskiego z owej doby, kiedy to szlachcic, nie mający pojęcia o prawie, ale dzierżący urząd sądowy, sądził w asyście biegłego w prawie pisarza. Gdy p. Pickwick staje przed obliczem sędziego Nupkinsa, któremu towarzyszy pisarz Jinks, zapytuje z oburzeniem:

znam", pisał sir Henry Maine, jeden z najpoważniejszych historyków prawa, „ani jednej reformy prawnej dokonanej od czasu Benthama, której źródła nie można dopatrzyć się w jego wpływie”.

Podstawą działalności Benthama, zaglądającej w każdy niemal zakamarek życia społecznego, była doktryna utylinarna, doprowadzona do skrajnych konsekwencji. Wychodziła ona z zasady, że „natura

„— Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, dlaczego przyprowadzono tu mnie i mojego przyjaciela?

— Czy muszę mu powiedzieć? — szepnął sędzia do Jinksa.

— Sądzę, że lepiej tak — szepnął Jinks do sędziego.

— Zeznano przedemną pod przysięgą, — rzekł sędzia — że istnieje obawa, iż będzie pan miał pojedynek i że ten drugi człowiek, Tupman, jest pańskim pomocnikiem i podżegaczem. Wobec tego, hm, panie Jinks?

— Oczywiście, panie sędzio.

— Wobec tego wzywam was obu do — zdaje mi się, że to tak, panie Jinks?

— Oczywiście, panie sędzio.

— Do — do — do czego, panie Jinks? — rzekł sędzia, marszcząc się.

— Do przedstawienia poręczycieli, panie sędzio.

— Tak jest. Wobec tego wzywam was obu — jak właśnie miałem powiedzieć, gdy przerwał mi mój pisarz — do przedstawienia poręczycieli.

— Dobrych poręczycieli — szepnął Jinks.

— Będę żądał dobrych poręczycieli — rzekł sędzia.

— Ludzi miejscowych — szepnął Jinks.

— Muszą to być ludzie miejscowi — rzekł sędzia.

— Każdy po pięćdziesiąt funtów — szepnął Jinks — i właściciele domów, rzecz prosta.

— Będę żądał dwóch kaucyj po pięćdziesiąt funtów — rzekł sędzia głośno i z wielką godnością — i muszą być właścicielami domów, rzecz prosta”.

Ob. też w *Autobiografji* przyp. 1) na str. 87.

umieściła człowieka pod władzą *przyjemności i bólu*. Winniśmy im wszystkie swoje idee, odnosimy do nich wszystkie swoje sądy, wszystkie postanowienia w naszym życiu. Cała etyka polega na „zasadzie użyteczności, to znaczy na tem, że każdy czyn jest dobry lub zły, słuszny lub niegodziwy, godny pochwały lub nagan, w miarę jak zmierza do powiększania lub zmniejszania powszechnej szczęśliwości”. Czemże zaś jest szczęśliwość? „Jest nią posiadanie przyjemności z wyłączeniem cierpień. Pozostaje ona w proporcji do sumy doznawanych przyjemności i unikniętych cierpień. A czem jest cnota? Tem, co najwięcej przyczynia się do szczęśliwości, tem, co podnosi do maximum przyjemności, a zniża do minimum przykrości. Przeciwnie zaś zepsucie jest tem, co zmniejsza szczęśliwość lub przyczynia się do niedoli”. „W oczach zwolennika zasady użyteczności cnota jest dobrem jedynie ze względu na wynikające z niej przyjemności, a zepsucie jest złem jedynie z powodu wlokących się za niem przykrości. Dobro moralne jest dobrem jedynie dzięki tendencji do wytwarzania przyjemności fizycznych, zło zaś moralne jest złem jedynie z powodu tendencji do wytwarzania bólów fizycznych; gdy jednak mówię *fizycznych*, rozumiem przez to równie dobrze cierpienia i przyjemności duszy, jak cierpienia i przyjemności zmysłów”.

Doktryna utylinarna wystawia się, jak widzimy, szeroką powierzchnią na atak. Jest w niej niewątpliwie dużo dobrej woli do okazywania ludziom sympatji (Bentham, którego większa część życia przypada na w. XVIII-y — żył od 1748 - 1832 — był z wielkiego w owym wieku rodu filantropów), ale jest też wiele płaskości. Widoczne jest nastawienie się na słuzenie

drugim — chodzi przecież o jak największą szczęśliwość jak największej ilości członków społeczeństwa, mamy więc czynnik altruistyczny, akcentowanie obowiązku społecznego; ale zarazem buchalterja, która tak dziwnie tu nie jest na swem miejscu, która tak skrętnie bilansuje przyjemności i przykrości i wyprowadza z tego rachunku saldo *moralne* — razi wszystkie subtelniejsze uczucia. Jest zrozumiałe, że Carlyle, który żył impulsami i nienawidził oschłości dialektyki, mógł doktrynę utylinarną nazwać „heroizmem z wybałuszonemi oczyma”...

To też wiele tu zależy od interpretacji. Biorąc wywody Bethama dosłownie, zacieśniając ich sens do bezpośredniego znaczenia wyrazów, można naukę jego ukazać w formie istotnie przerażającej pozio-
mością i brakiem zatracania o cokolwiek w człowieku nie jest z najpospolitszej gliny. Ale posługując się wykładnią o szerszym oddechu, wyzyskując elastyczność pojęć przyjemności i przykrości i biorąc poprawki z filantropijnych intencji Benthama ¹⁾, można w jego teorjach znaleźć wiele materiałów dziś jeszcze użytecznych do budowania wskazań właściwego postępowania w życiu społecznem. Owóż jest wielce prawdopodobne, że w tym duchu właśnie interpretował doktrynę utylinarną James Mill, który — jak powiedziano — wziąwszy od Bethama teorię, dostarczył mu szkoły i oddał mu przez to tyleż usług, ile ich od niego otrzymał.

Jedna bowiem z cech oryginalności Bethama polega na tem, że... nie pisze sam swoich dzieł. To zna-

¹⁾ Filantropja Bethama nie była snobizmem: doprowadziła go — zamożnego człowieka — nad brzeg bankructwa,

czy nie wykończy ich ostatecznie: pisze bruljony i to bardzo nieporządnie, bardzo niesystematycznie, pozostawiając innym zebranie urywków, stopienie i wygładzenie. Najwcześniej oddaje mu tę przysługę Szwajcar Dumont, którego współpraca z Benthamem jest prawdopodobnie unikatem w dziejach twórczości. W r. 1802-im wychodzi mianowicie w Paryżu dzieło pod nieco długim tytułem: „Traktat o prawodawstwie cywilnem i karnem, wyciąg z rękopisów Jeremiasza Benthama, prawnika angielskiego, dokonany przez St. Dumonta, członka genewskiej rady przedstawicielskiej”. Tak więc kapitalne dzieło Benthama ukazuje się po raz pierwszy nie w oryginalnem ujęciu autora, ale w opracowaniu przez dalekiego cudzoziemca, nie jako rzecz wykończona przez twórcę, ale jako kompilacja z notatek autora, wykonana w obcym języku, wydana w obcym kraju.

Podobnej pracy wobec półfabrykatów benthamowskich dokonywa James Mill od chwili poznania się z nieopanowanym reformatorem, t. j. od roku 1808-go. James Mill ma wtedy 35 lat, jest w pełni wigoru pisarskiego, który pragnie oddać na usługi, jak dziś powiedzielibyśmy, postępu, a jak wówczas mówiono: rozumnego urządzenia społeczeństwa. Rozum, rozum! Bożyszcze w. XVIII-go na wiele lat jeszcze zanim rewolucja francuska, budując mu rzeczywiste ołtarze, doprowadzi jego kult do absurdu. Rozum świecący pękiem promienistych drogowskazów nad ścieżkami współzycia, by człowiek mógł kroczyć po nich zgodnie z niezatrącalnymi prawami swej natury. Rozum, który zawsze i wszędzie jest jeden i który przez swych proroków objawia przykazania mocne — jak prawda, miłościwe — jak sprawiedli-

wość. Wiek XVIII-y pełen jest tej wiary w rozum. A James Mill, jak powie nam jego syn w *Autobiografji*, jest w gruncie rzeczy człowiekiem XVIII-go wieku.

Czy to pochwała czy przytyk? Różnie sądzono XVIII-e stulecie. John Stuart Mill pisał o niem, że był to „wielki wiek, wiek silnych i dzielnych ludzi, a ojciec mógł być zdatnym towarzyszem dla najsilniejszych i najdzielniejszych pośród nich”. Innego zdania był Carlyle (z początku przyjaciel, później wielki antagonistą ideowy J. St. Milla), który — w czasie, gdy pisał swego „Fryderyka Wielkiego” — skarżył w liście do Emersona, że osobistość jego bohatera jest pogrążona „w zgniłym w. XVIII-ym, tym oceanie brudnej nicości, bezwstydu i skandalicznych hipokryzji, jakie nie przewalały się nigdy przedtem w świecie”. Na szczęście nie trzeba nam tu rozstrzygać tego sporu. Jeśli nawet było dużo w w. XVIII-ym rzeczy rzucających cień na jego sławę, to było też dość zalet i te przedewszystkiem odziedziczył James Mill. Odziedziczył w szczególności zapal do reformowania współzycia. W tym względzie zaś Bentham — znacznie starszy od Milla i tem więcej posiadający umysłowość filozofa z w. XVIII-go — dostarczał Millowi gotowej teorii, którą trzeba było jedynie zaokrąglić i ująć w dostępniejszą formę, by uczynić z niej wóz bojowy w kampanji przeciw różnorodnym przesądom, pokutującym w głowach ludzkich i niedopuszczającym do uporządkowania ekonomicznego i politycznego.

James Mill z impetem fanatycznego intelektualisty chwytą doktrynę Benthama, rewiduje i wykończya bruljony mistrza, zaraża go swą werwą i wiarą w

apostolską siłę rozumnych dowodzeń. „Byłem reformatorem”, pisał Bentham w późniejszym wieku, „ale nigdy nie podejrzywałem, że ludzie dzierżący władzę są przeciwni reformom. Przypuszczałem, że pragną wiedzieć tylko, co jest dobrem, by przyjąć je z otwartymi ramionami”. Z pewnością nie James Mill byłby obudził w Benthamie sceptycyzm co do wartości otwierania ludziom głów na nieracjonalność istniejących urzędzeń. Wiara, że słowo porusza góry, była największą — jeśli nie jedyną — pasją Jamesa Milla. To też niestrudzenie pisze i mówi, rozsiewa ziarna myśli benthamowskich w artykułach i w rozmowach z młodymi ludźmi, którzy pod urokiem jego bystrej dialektyki i tej niezachwianej mocy przekonań, jaka bije z jego dowodzeń — grupują się dokoła niego i pozwalają mu wieść się pod sztandar Benthama.

W ten sposób, podczas gdy sam Bentham rozpraszal się na coraz nowe, na pół tylko dokończane, prace i martwił się, że nie miał powodzenia jako prawodawca (bezskutecznie bowiem ofiarowywał swe usługi kodyfikatorskie na obu biegunach politycznych: w Stanach Zjednoczonych Ameryki i w Rosji Aleksandra I, myślał o wyjeździe do Hiszpanji, do Portugalji, do Grecji, a zwłaszcza do Ameryki środkowej i południowej, gdzie w Meksyku, Wenezueli i t. d. były jeszcze możliwości dla nowoczesnego Solona) — podczas tego James Mill tworzył Benthamowi szkołę, złożoną z ludzi o pierwszorzędnym umysłach i charakterach, ludzi, których inspirował, zagrzewał i kierował na drogę służby publicznej.

Tu właściwie kończy się zadanie przedmowy i kurtyna mogłaby się podnieść. Zdaje mi się jednak,

że tłumacz winien jeszcze pewne wyjaśnienie czytelnikom — może też kieruje nim obawa, by te dwie postacie, niezwykłego ojca i niezwykłego syna, nie poszły nieosłonięte prośbą o życzliwość w świat polski, gdzie jako obcym, może im być chłodno.

Naprzód *James Mill*. Wiemy już o nim i dowiemy się jeszcze z *Autobiografji* wielu rzeczy, które razią nasze dzisiejsze pojęcia i uczucia. *James Mill* z pewnością nie jest człowiekiem, ku któremu samorzutnie otwiera się serce. Ale za to jaki *charakter*, jaka wierność zasadom, jakie skupienie woli do służby publicznej! Czy nie brzmią, jak wyznanie wiary starożytnego mędrca, te słowa wyjęte z jednego z jego artykułów: „Ze wszystkich czynów cnotliwych, do których zdolna jest istota ludzka, ulepszanie urządzeń politycznych, dostarczanie społeczności doskonalszych środków sprawiedliwego zarządzania swojemi sprawami, jest bezsprzecznie czynem najwyższym i wszelki wysiłek i wszelkie poświęcenie, które jednostka czyni dla tego najszlachetniejszego ze wszystkich ziemskich celów, nabiera nieporównanej wartości i uprawnia tego, kto zdobywa się na to, do odpowiedniego uznania, miłości i szacunku” — ?

A w ustach *Jamesa Milla* nie były to frazesy. Może nam przykrzyć się jego koturnowość, może nam wydawać się, że jego napięcie dyscypliny nad sobą i cenzorstwa nad innymi graniczy z zimną oschłością; jego pogarda dla sentymentu może go nawzajem pozbawiać naszego współczucia — trzeba jednak pamiętać, że *James Mill* temi swojemi surowemi pojęciami żył istotnie, że doktrynerską kategoryczność zasad podnosił do patosu rzeczywiście przeżywanego życia. Wystarcza też wziąć pewną poprawkę, by nie-

które jego odstręczające cechy ukazały się w łagodniejszym oświeceniu. Tak np. razi niewątpliwie, co John Stuart Mill opowiada o zasadzie, której ojciec jego trzymał się bezwzględnie, a wedle której postępowanie człowieka sądzić należy jedynie po *wyniku*, a nie po pobudkach. Jest w tem przykra i w gruncie rzeczy płytka schematyczność. Ale jest tylko w skrajnem przeprowadzeniu zasady biorąc bowiem rzecz ze stanowiska społecznego, trzeba uznać, że akcentowanie faktycznych wyników postępowania jest konieczne. Rozgrzeszanie z powodu sympatji do motywów wystawia się na zarzut, iż może kończyć się czułościowością, w której rozkleja się wszelki rygor życia zbiorowego.

James Mill jest w całym znaczeniu człowiekiem z jednej bryły. Zapewne, z punktu widzenia kompozycji literackiej, wolelibyśmy w nim od czasu do czasu coś ludzko chromającego. Pewnie, że budziłby w nas wtedy więcej serdeczności. Ale — tu właśnie pragnie tłumacz wyjaśnić, dlaczego chciałby pozyskać dla *Autobiografji* jak największe koło czytelników — zaznajomienie się z osobistością Jamesa Milla jest ważne nie ze względów estetycznych, ale ze względów wychowawczych. Jest tu kapitalna szkoła energii, szkoła męskiego natężania się. „Miarą porównania”, pisze John Stuart, „na którą mi ojciec zawsze wskazywał, było nie to, co inni ludzie robili, lecz to, co człowiek mógł i powinien zrobić”. Kto o własnych tylko siłach wybiera się na podbój życia, na tym z pewnością wywrze wrażenie z twardego kruszcu wykuta postać Jamesa Milla i ten pozdrowi w nim mistrza.

Docieramy nareszcie do samego autora *Autobiografji*, do Johna Stuarta Milla, tego syna, który cudem ocalał z opresji najstaranniejszego wychowania, jakie ktoś kiedykolwiek otrzymał.

Są dwie zasadnicze kategorie mędrców. Do jednej należą ludzie, których duch unosi się nad światem na skrzydłach głębokiego zamyślenia i którzy patrzą na rzeczy ludzkie z wysokości spokojnej, sobie samej wystarczającej kontemplacji. Są to ludzie mieszkający w zaczarowanym zamku własnego myślenia, epikurejczycy intelektu, otuleni płaszczem swego geniuszu, nieruchomo przyglądający się rozgwarowi życia — czasem litościwie, czasem ironicznie, zawsze wyrozumiale. Druga kategoria mędrców, to właściwie już tylko ludzie mądrzy, ci, co męcząc się, pozbięrali ze wszech stron elementy wiedzy i przerobili je na miód, którym inni mogą się karmić. Tamci są więksi, ci są pożyteczniejsi.

J. St. Mill należy niewątpliwie do tej drugiej kategorii. Sam, w swej skromności, graniczącej z pokorą mniszą, nazwie się w *Autobiografji* „tłomaczem samodzielnych myślicieli i pośrednikiem pomiędzy nimi a publicznością”. To jednak charakteryzuje jedynie wielką recepcyjność jego umysłowości i jego potrzebę dzielenia się z drugimi wynikami swych studiów — zdolność przyjmowania i oddawania nauki. Dokładniej określił go Taine, gdy w błoskotliwym studjum o jego „Logice” włożył następujące słowa w usta pewnego Anglika: „Mill jest ostatnim z wielkiego rodu myślicieli, który zaczyna się od Bakona i poprzez Hobbesa, Newtona, Locke’a, Hume’a i Herschela ciągnął się aż do naszych dni. Wprowadzili oni do filozofji naszego ducha narodowego; byli pozytywni

i praktyczni; nie wzlatywali ponad fakty; nie puszcza-
li się na niezwykle drogi; oczyścili natomiast mózg
ludzki ze złudzeń, z ambicij i fantazyj. Użyli go z tej
jednej strony, z jakiej może działać; chcieli jedynie
umieszczać poręcze i pochodnie na gościńcu ubitym
już przez rozkwitłe nauki. Nie chcieli szafować na-
próżno swą pracą poza drogami już zbadanymi
i sprawdzonymi. Pomagali dokonaniu się wielkiego
dzieła nowoczesnego: odkrycia praw mających prak-
tyczne zastosowanie; przyczynili się, jak uczeni spe-
cjaliści, do powiększenia potęgi człowieka. Czy wielu
jest filozofów, którzy dokonali równie wiele?"

Porównywanie J. St. Milla z Bakonem i Newtonem jest z pewnością przesadą. Ale scharakteryzowanie ogólnego kierunku działalności naukowej Milla i podkreślenie znaczenia społecznego jego pracy jest dobre. Odległość czasu i miejsca sprawia, że nazwisko Milla nie budzi dziś w Polsce dokładnej świadomości, jaką odegrał on rolę w życiu umysłowym swego kraju. Była to rola olbrzymia. J. St. Mill był w siódmym dziesiątku ubiegłego stulecia jednym z tych myślicieli, ku któremu zwracały się oczy całego ówczesnego pokolenia angielskiego, bo człowiek ten, można powiedzieć, myślał za całe to pokolenie. „Wielka ilość drobnych poruszeń”, pisał jego biograf, sam wielki uczony (Bain), „może przez nagromadzenie mieć ten sam skutek, co potężna całość. Kto zliczy zbiorowy wpływ Milla jako nauczyciela w rzeczach polityki, etyki, logiki i metafizyki? Żaden rachunek nie zcałkuje niezliczonych drobnych pulsowań wiedzy i myślenia, które wprowadził on w ruch w umysłach swych współczesnych”. W tem niema przesady: Mill istotnie był nieustrudzony w budzeniu krytycyzmu i wysił-

ków myślenia wszędzie tam, gdzie myśl winna była pracować. Dzieła jego rozchodziły się szeroko — wierzano mu, wierzano w jego chęci służenia aż do poświęcenia sprawie oświaty, wierzano w jego sumienność, wierzano w jego nieugiętość w ściganiu wszystkiego, co stało na drodze zwycięstwu wyzwajacej prawdy.

Nie do nas tu należy ocena, ile z pracy naukowej Milla zachowało trwałą wartość, a w jakim stopniu przyznać mu należy jedynie historyczne znaczenie człowieka, który otwierał swemu pokoleniu głowy i czynił je przez to zdutniejszem do dalszego rozwoju. Miał on już za życia wielu krytyków — powiedziano zresztą, iż atakowano go dlatego tak bardzo, że w przeciwieństwie do innych filozofów pisał dość zrozumiale, aby można mu było wykazać sprzeczności... Tem więcej znaleźlibyśmy dziś okazji do sprzeczania się. Ale, powtarzam, nie tu miejsce na ocenę aktualnej czy historycznej wartości dzieł Milla, czy to co do bystrości jego obserwacji, czy co do trafności jego metodyki, czy wreszcie co do jego zmysłu rzeczywistości społecznej i politycznej. Nas tu obchodzi jedynie *człowiek* — człowiek, jakiego odsłania nam *Autobiografia*.

Zważywszy warunki, wśród których odbywało się wychowanie Johna Stuarta — to wysokie ciśnienie niepospolitej indywidualności ojca na chwytliwy umysł chłopca — nie możemy spodziewać się, by jabłko padło bardzo daleko od jabłoni. Istotnie odnajdujemy w autorze *Autobiografji* wszystkie niemal zalety jego ojca, ale także odbłask tych właściwości, które ścierały romantyczność z postaci Jamesa Milla. Jednakowoż i jedne i drugie w pewnej transpozycji.

John Stuart Mill nie posiadał żyłki społecznej w tym stopniu, co ojciec, nie miał jego pędu do przewodzenia *działaczom*; był w całym tego słowa znaczeniu przeintelektualizowany, jego namiętności wypalały się bez reszty niemal w nie spoczywającym ani na chwilę myśleniu, niestrudżonem konfrontowaniu argumentów i fanatycznym wprost tłoczeniu oleju wiedzy z wszelkich napotkanych ziarn. Jak życiorys Jamesa Milla jest szkołą energii, tak żywot Johna Stuarda Milla może być szkołą uczciwości myślenia. Gonić myślą za każdym pochwyconym wątkiem, nie ustawać nigdy w połowie drogi myślowej, nie pozwalać sobie na wygodę połowicznego rozumienia, docierać zawsze do ostatecznej krawędzi rozumowania i *trwać przy uzyskanej w ten sposób opinii* — John Stuart Mill doprowadził to wszystko do kategoryczności rytuału.

Chwilami drażni to, jako pedantyzm. Carlyle żartował, że „jeśliby Mill dostał się do nieba, nie byłby zadowolony, pókiby nie wykombinował, jak to tam wszystko jest”. Chwilami ciśnie się zniecierpliwione pytanie, czy ten człowiek nigdy nie przestanie ważyć na wadze rozumu wszystkich rzeczy tego świata, czy nie pozwoli jakiemuś względowi, zrodzonemu gdzieś poza kalkulacją pojęciową, rozburzyć uczonej harmonii swych sądów, a za to nadać im barwności żywych prawd, tych prawd, które wywalczą się w męce zmagania z własnymi ludzkimi ułomnościami. Czy John Stuart Mill miał serce? Zważmy, że w całej *Autobiografji*, tak pełnej ojca-mentora, niema ani jednego, ani jednego słowa o matce... Czy John Stuart Mill miał serce? Bo jeżeli go nie miał, a prawdą jest, co twierdził Vauvenargues, że „wielkie myśli pocho-

dzą z serca” — to cóż sądzić o całym trudzie życiowym Milla i czy można wskazywać na tego człowieka jako na wzór do naśladowania?

Przyznaję, że wolałbym w Millu mniej doskonałości sawanta, a za to więcej humanizmu człowieka, któremu nic, co ludzkie, nie jest obce. Widzę w nim jednak szereg właściwości, które nie pozwalają traktować go, jak suchego doktrynera, wiecznie zatroskanego o to, by mieć słuszość przed majestatem logiki.

Lubię go, gdy wspominając dzieciństwo, oświadcza, że „uczeń, od którego nie wymaga się nic takiego, czego nie może zrobić, nie robi nigdy wszystkiego, co może”. Bo to bardzo krótkie zdanie odsłania bardzo męski i bardzo dobroczynny pogląd na wychowanie: pogląd, dzięki któremu przysparza się narodowi dzielnych ludzi.

Lubię go, gdy mówi, że pierwsze obrazy łąk i polnych kwiatów łączą się w jego pamięci z rozmowami, które wiódł z ojcem na codziennych długich spacerach za miasto. Jest w tem i subtelność i pietyzm i ładna z tego spleciona całość.

Lubię go, gdy wczesnie rano — przed pójściem do biura! — spieszy na dyskusję z gronem przyjaciół, równych zapaleńców samokształcenia się. Bo ta dyskusja o wczesnej godzinie — tak inna od tych, które prowadzi się zazwyczaj wieczorami, w zadytmionym pokoju — ma w sobie coś z świeżości porannego powietrza, coś z nadzieiności dnia, który wschodzi.

Lubię go, gdy odrzuca zaszczytną godność urzędową dlatego, że różnica poglądów na sprawy rozstrzygane w owym urzędzie nie pozwala mu spodziewać się, by praca jego była owocna.

Lubię go, gdy spieszy z pomocą tam, gdzie jakieś pożyteczne przedsięwzięcie upada z braku energii u innych; gdy bierze na siebie prace, których inni nie chcą się podjąć, bo nie przysparzają one niczego, prócz kłopotów; gdy jako poseł do parlamentu nie przepuszcza żadnej możliwości wystąpienia w obronie sprawy słusznej, lecz niepopularnej i nie znajdującej wobec tego popleczników.

Lubię go, gdy jako kandydat na posła, zapytany podchwytliwie na robotniczym zgromadzeniu wyborczym, czy rzeczywiście napisał raz, że robotnicy bywają zakłamanymi — oświadcza krótko i bez wahania: „Tak jest” (a lubię też wyborców, którzy tę odwagę szczerości nagradzają salwą oklasków).

Lubię go za to, co słusznie o nim napisano, że można wprawdzie znaleźć głębszych myślicieli, ale że „byłoby niemożliwym wymienić filozofa, któremu dobro ludzkości szczerzej leżało na sercu i któryby dawał ze siebie tak wiele i tak nieustannie, jeśli chodziło o pracę nad postępem współobywateli”.

Wreszcie lubię go (a może i więcej) za piękno duszy, które sprawiało, że idea *Wolności Człowieka* była mu gwiazdą polarną w całej podróży życia. „O wolności” — taki jest tytuł tej jego książki, która mu była najdroższa i o której sądził, że przetrwa najdłużej ze wszystkiego, co napisał. Millowska miłość wolności nie miała w sobie porywającego ognia rewolucjonisty. Trudno byłoby tego pana z bokobrodami, z cienkimi wargami, o dość nikłej postaci i niezbyt donośnym głose, wyobrazić sobie w pozie Desmoulinsa, wyskakującego na krzesło i rzucającego w zgromadzony tłum płomienne słowa buntu. Pozbawiony wybuchowości i giestu deklamatorskiego, kult

wolności u Milla ma w sobie jednak tyle skupionej szlachetności, że może w każdej wrażliwej duszy poruszyć najlepszą strunę: tęsknoty za jasną pełnią godności człowieczej.

Nie wątpmy zresztą, że John Stuart Mill miał serce, skoro życie jego przecina niepospolity zaiste romans — wielka, jedyna w życiu miłość do kobiety, na której poślubienie czekał dwadzieścia lat i którą utracił po siedmiu latach małżeństwa.

Wogóle nie było w jego życiu wiele miłości. Do ojca był niewątpliwie przywiązany. Ale James Mill, który, jak przystało na angielskiego stoika, nie lubił żywego objawiania uczuć i tępił wszelki sentymentalizm — wzbudzał w synu podziw, trzymający go raczej w pewnej odległości wypełnionej szacunkiem, niż usposabiający do czułości.

Miał ośmioro rodzeństwa. To może zbyt wiele na wytworzenie się silnych, nierozproszonych uczuć braterskich.

Matka... Powiedzieliśmy, że nie wspomina o niej ani słowem na całej przestrzeni *Autobiografji*, choć stracił ją dopiero, gdy miał lat sześćdziesiąt. Tłumaczono to tem, że Mill pisał nie historję całokształtu swego życia, ale jedynie dzieje swego rozwoju duchowego, na który matka nie miała żadnego wpływu. Podobno James Mill, który dobierał sobie przyjaciół z pośród najwyższych umysłów swej epoki, nie był tak dokładny, gdy chodziło o wybór żony. Podobno też najlepszą przysługą, jaką mógł wyświadczyć matce syn niezdolny do powiedzenia czegoś niezgodnego z prawdą, było to, że o niej zamilczał... Bądź co bądź matka nie wznieciła w Johnie St. Millu uczu-

cia, któreby w czemkolwiek przypominało stosunek Słowackiego do matki.

A jednak młody Mill był spragniony kochania. Zobaczymy w *Autobiografji*, jaką tragedję przeżywał około dwudziestego roku życia, gdy spostrzegł, że ojciec nauczył go wszystkiego, prócz kochania, a instynkt dwudziestoletniego serca mówił mu, że jest w świecie czarowne źródło szczęścia, które nazywa się miłością. I otóż w parę lat później spotkał zamężną kobietę — źle zamężną, bo wydaną wcześniej za człowieka, dla którego zdobywała się jedynie na uczucie szacunku, ale bądź co bądź zamężną, co w epoce owoczesnej pruderji stanowiło przeszkodę zgoda inną, niż dziś. Carlyle, niezbyt przychylnie usposobiony do pani Taylor (takie było jej nazwisko), w ten właściwy sobie rubaszny sposób opisywał po latach, w poufalej rozmowie, owo spotkanie:

„Taylor był bardzo przyzwoitym człowiekiem, ale jego żona uważała, że jest nudny; miała ona ciemne twarde oczy i wrodzoną wielką ciekawość i głowiła się nad wielu kwestjami, z którymi nie umiała sobie poradzić. Wkońcu ktoś jej powiedział, że jest młody filozof, bardzo zdolny, który nadaje się w sam raz do tego, by jej pomóc. I tak to skłoniono Milla z trudnością do spotkania się z nią i człowiek ten, który do owego czasu nie spojrzał nigdy w oczy stworzeniu żeńskiego rodzaju, ani nawet krowie, znalazł się naprzeciw tych wielkich ciemnych oczu, w których błyskach tały się rzeczy niewypowiedziane, podczas gdy ona sama rozwodziła się nad wypowiedzialnemi — z wszelkich możliwych wzniosłych dziedzin”.

Pokochali się bardzo prędko, czekali na siebie nieskończenie długo, żyli ze sobą krótko: gdy Harriet Taylor wychodziła w dwa lata po śmierci męża za czekającego na nią od dwudziestu lat Milla, choroba piersiowa czyniła ją już inwalidką; jeszcze siedem lat i John Stuart Mill stał w Avignonie nad grobem zmarłej tam żony.

Cała powstrzymywana przez wychowanie ojcowskie uczuciowość przerwała tamy, gdy poszło o tę kobietę. Dla niej zerwał z wszystkimi przyjaciółmi, którzy niebardzo wierzyli w platoniczność jego dwudziestoletniego oczekiwania; dla niej ostygł w przywiązaniu do rodziny, która boczyła się na kobietę tak całkowicie zaprzatającą jego myśli; gdy zmarła, uczynił z jej pamięci religję i z jej poglądów miarę wszelkich wartości; gdzie ją złożono do grobu, na obcej francuskiej ziemi, tam zamieszkał, tam umarł i jest pochowany. Poznamy w *Autobiografji* bezmiar uwielbienia Milla dla żony, dochodzący do pokornego samozaparcia się i przypisywania jej najlepszej części własnych zasług pisarskich. A zarazem zobaczymy jak wychowanie ułożyło ten umysł w fałdy intelektualizowania wszelkiej rzeczywistości — tej nawet, której najbarwniejsze kwiaty rozwijają się właśnie poza intelektem. Jest coś wzruszającego w samej tej nieporadności, z jaką J. St. Mill mówi o swej miłości, jak tam, gdzie oczekiwalibyśmy liryzmu (toż chodzi o uczucie, którem człowiek żył *całe życie!*), tam spotykamy wciąż usiłowanie nadania stosunkowi do drogiej kobiety charakteru intelektualnego. Nie może przestać mówić o swej jedynej miłości, ale nie umie mówić o niej inaczej, niż w wyrazach weneracji: klęka, ale nie jako kochanek, lecz ja-

ko czcieli. Była to miłość uczonego, nie artysty, miłość w wymiarach filozoficznych, nie mająca w sobie nic romantycznego — poza tem, że było w nią oprawione *wszystko*, co było szczęściem i niedolą całego żywota ludzkiego...

Autobiografia ukazała się po raz pierwszy w r. 1873-im, w kilka miesięcy po śmierci Milla. Dziś, po pół wieku przeszło, jest w niej wiele szczegółów, mało obchodzących już czytelnika, a zwłaszcza cudzoziemskiego. Nie sądziłem, iżby należało zachowaniem ich utrudniać rozwinięcie się sympatji do autora. Tłumaczenie niniejsze nie zwraca się jedynie do ludzi nauki, których — słusznie — zadowolić może jedynie pełny tekst i którzy nie mogą zgodzić się na to, by tłumacz rozstrzygał o tem, co ich ma interesować. Nie chodzi tu też o źródłowe wydanie dzieła, bo ilość ludzi w Polsce, pragnących źródłowo studiować *Autobiografię*, nie jest wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dostateczna, by usprawiedliwić trud przekładu. Książka ta powinna przede wszystkim trafić do szerokich kół młodzieży, kształtującej swą umysłowość i charakter, i do tych wszystkich, dla których kontemplacja męskiej prawości, dzielności i nieugiętości przekonań bywa źródłem głębokiego zadowolenia, a może i zachęty. Owóż nie uważałem za właściwe wystawiać cierpliwości tych kół czytelniczych na zbyt wielką próbę, każąc im przełykać szczegóły dziś absolutnie nieistotne. Być może, że dokonanie wykreśleń będzie poczytane za grzech wobec „prawdy”, ważniejszym jednak wydaje mi się wzgląd, że odbierając dzieło martwe ciężary i czyniąc je przez to żywszem, bar-

dzień przykuwającym uwagę, ułatwia mu się spełnienie zadania, do którego nadaje się doskonale: dopomożenie w wychowaniu charakterów w Polsce.

Tłomaczenie zawiera natomiast pewne ciekawe uzupełnienia tekstu edycji angielskich. „Losy książki” są tu godne opowiedzenia. Pierwsze wydanie *Autobiografji* (zaraz po śmierci autora w r. 1873-im) było dokonane przez pasierbicę Milla (pani Taylor miała troje dzieci z pierwszego małżeństwa), pannę Helenę Taylor, która od śmierci matki była mu nieodstępną towarzyszką. W wydaniu tem panna Taylor wykreśliła kilka ustępów, których ogłoszenie uznała za niepożądane. Tajemnica przetrwała 50 lat, intrygując niewątpliwie wszystkich wielbicieli Milla, którzy nie mogli dopuścić myśli, iżby ten wzorowy przedstawiciel angielskiej *respectability* napisał coś niestosownego.

W r. 1922-im sprzedano na licytacji wszystkie papiery pozostałe po Millu, a wśród nich rękopis *Autobiografji* z dołączoną następującą kartką, pisaną ręką panny Taylor, która w owym czasie nie żyła już od 15-u lat: „Autobiografja Johna Stuarta Milla, napisana przez niego samego. Można ogłosić bez zmian lub opuszczeń w rok po mojej śmierci — Helena Taylor”. Profesor Harold Laski, przygotowując w r. 1924-ym nowe wydanie *Autobiografji*, pragnął uzupełnić luki powstałe w pierwotnym wydaniu wskutek wykreśleń panny Taylor, nie uzyskał jednak na to pozwolenia od nabywców rękopisu.

Nabywcami byli mianowicie Amerykanie, którzy pragnęli ojczyźnie swojej zachować zaszczyt ogłoszenia całkowitego tekstu. Tak to stało się, że w tym samym r. 1924-ym, kiedy w Londynie ukazywało się

nowe wydanie *Autobiografji*, równie niekompletne, jak pierwsze — nowojorski Columbia University, któremu nabywcy ofiarowali rękopis, wydał tekst kompletny.

Nietrudno było odszukać ustępy ukazujące się po raz pierwszy w wydaniu nowojorskiem; czytelnik tłumaczenia polskiego znajdzie te ustępy w ujęciu w klamry [] i będzie mógł w ten sposób przekonać się, co panna Taylor, wykreślając, zastaniała przed oczyma współczesnych. Na wypadek gdyby ktoś pragnął czempnąć odszukać te miejsca, przypuszczając, że chodzi o coś zatrącającego plotką, zaznaczam, że panna Taylor nie dopuściła do ogłoszenia za swego życia — najwyższych pochwał i słów uznania dla siebie...

Autobiografja Johna Stuarta Milla jest stanowczo szkołą charakterów.

AUTOBIOGRAFJA JOHNA STUARTA MILLA.

ROZDZIAŁ I.

DZIECIŃSTWO I WCZESNE WYCHOWANIE.

Urodziłem się w Londynie, 16-go marca 1806, jako najstarszy syn Jamesa Milla, autora „Dziejów Indyj Brytyjskich”. Ojciec mój, syn drobnego kupca i dzierżawcy z małej miejscowości szkockiej, jako młody chłopiec zwrócił na siebie uwagę sir Johna Stuarta, okolicznego arystokraty i studjował następnie na uniwersytecie w Edyμβurgu, jako stypendysta funduszu ustanowionego przez żonę Stuarta i kilka innych pań. Przez kilka lat był guwernerem w różnych domach szkockich, wkońcu jednak osiadł w Londynie i poświęcił się pracy pisarskiej. Z pracy tej żył do roku 1819-go, kiedy to uzyskał posadę w Kompanji Indyjskiej.

W tym okresie życia mego ojca uderzają dwie rzeczy: jedna jest, niestety, bardzo powszednią okolicznością, druga

bardzo niepospolitą. Pierwsze to to, że nie mając innych dochodów, niż niepewne honorarja za artykuły w pismach, ożenił się i miał liczne potomstwo. Drugie, to nadzwyczajna energia, jakiej było potrzeba, by wieść życie w tych warunkach, z podwójnymi trudnościami, bo z temi, pod któremi ugiął się od początku i z temi, które wziął na siebie przez małżeństwo. Już nie małą byłoby to rzeczą, gdyby nie był dokonał niczego więcej, niż tego, że z pracy pióra utrzymywał przez tak wiele lat siebie z całą rodziną, nigdy nie zadłużając się, ani nie popadając w trudności pieniężne; wyznając natomiast poglądy, które wszystkim wpływowym osobistościom i przeciętnym zamożnym Anglikom owego pokolenia były bardziej wstrętne, niż kiedykolwiek pierwej lub później. Był przytem człowiekiem, którego nietylko nic nie mogło skłonić do pisania wbrew przekonaniom, ale który zawsze we wszystkim, co pisał, umieszczał tyle ze swoich przekonań, na ile tylko pozwalały okoliczności; nigdy bowiem nie czynił nic niedbale, nigdy nie podejmował żadnego zadania, literackiego czy innego, któremu by nie poświęcił sumiennie całej pracy, potrzebnej na jej dokładne wykonanie. Obarczony takimi ciężarami, postanowił jeszcze napisać i wykończyć „Dzieje Indyj”, i to w okresie około dziesięciu lat, a więc w krótszym czasie, niż pisarzom, nie mającym nawet innego zajęcia, było potrzeba na napisanie jakiegokolwiek innego dzieła historycznego o równej objętości i wymagającego takiego samego mniej więcej przygotowania. A do tego trzeba dodać, że przez cały czas większą część każdego niemal dnia zużywał na kształcenie swych dzieci, z których jednemu — mnie właśnie — poświęcił tyle pracy, staranności i wytrwałości, ile nie wiem, czy kiedykolwiek zużyto do podobnego celu.

Człowiek, który w stosunku do samego siebie przestrzegał z takim naciskiem zasady nie tracenia czasu, stosował ją oczywiście także w kształceniu swego ucznia. Nie pamiętam,

kiedy zacząłem uczyć się greki, ale powiedziano mi, że miałem wtedy trzy lata. Łaciny zacząłem uczyć się dopiero w ósmym roku życia. W tym czasie przeczytałem już był, pod nadzorem ojca, szereg dzieł greckich pisarzy, wśród nich sześć pierwszych dialogów Platona, od Eutyfrona do Teokteta. Sądzę, że ten ostatni dialog lepiej było opuścić, skoro było całkiem wykluczone, bym go zrozumiał. Ale ojciec w całym swym nauczaniu wymagał odemnie nie tylko wszystkiego, na co mi było stać, ale także wielu rzeczy, których w żaden sposób nie mogłem dokonać. Czem sam gotów był obarczyć się dla mego wykształcenia, można osądzić z tego, że wszystkie swe lekcje greckiego przygotowywałem w tym samym pokoju, przy tym samym stole, przy którym on pisał. W owym czasie nie było słowników grecko-angielskich, ponieważ zaś nie mogłem używać słownika grecko-łacińskiego, bo nie umiałem jeszcze wówczas po łacinie, musiałem zwracać się do ojca o znaczenie każdego słowa, którego nie rozumiałem. I otóż on, jeden z najniecierpliwszych ludzi, poddawał się temu ciągłemu przerywaniu i w tych warunkach napisał kilka tomów swych „Dziejów” oraz wszystko to, co poza tem musiał pisać w ciągu tych lat¹⁾.

Poza greką miewałem w tym okresie dzieciństwa jeszcze tylko lekcje arytmetyki. Uczył mi jej również ojciec; były tem wypełnione wieczory i dobrze sobie przypominam, jakie to było niemiłe. Ale lekcje były tylko częścią mej codziennej

¹⁾ Odpowiednikiem do tego ojca jest matka głośnego w epoce wiktoriańskiej powieściopisarza Trollope'a, który w swej autobiografii (sensacyjnej ze stanowiska prostackiego odsłaniania tajników rzemiosła pisarskiego), opowiada, jak ojciec jego stracił majątek i jak matka wówczas zabrała się do pisania powieści. Zaczęło to od razu przynosić znaczne dochody, dzięki którym rodzina (sześcioro dzieci!) uniknęła nędzy. Ojciec niebawem rozchorował się obłożnie na resztę

nauki: były poza tem książki, które sam czytywałem, i rozmowy ojca ze mną, głównie podczas spacerów.

Od r. 1810-go do końca 1813-go mieszkaliśmy pod miastem. Zdrowie ojca wymagało dużo ruchu. Wychodził zwykle przed śniadaniem na przechadzkę, a ja zawsze mu towarzyszyłem, tak że pierwsze moje wrażenia widoku zielonych łąk i polnych kwiatów łączą się ze wspomnieniami, jak codziennie zdawałem ojcu sprawę z tego, co przeczytałem dnia poprzedniego. O ile sobie przypominam, poddawałem się temu ćwiczeniu raczej z dobrej woli, niż pod nakazem. Czytając, robiłem notatki na kartkach i pomagałem sobie niemi, opowiadając ojcu podczas rannych marszów; chodziło głównie o książki historyczne, których w ten sposób dużo przeczytałem.

Podczas tych rozmów ojciec wyjaśniał mi, w miarę nadarzających się sposobności, różne zagadnienia dotyczące cywilizacji, rządu, moralności, kształcenia ducha, poczem żądał, abym mu to powtórzył swojemi słowami. Kazał mi też czytać i opowiadać sobie treść wielu dzieł, które nie były dość interesujące, bym je czytał z własnej woli. Ogromnie lubił dawać mi książki, które przedstawiały żywoty mężów energicznych i pomysłowych, walczących z trudnościami wśród niezwyklej okoliczności i wychodzących z tej walki zwycięsko. Książek dla dzieci, tak samo jak zabawek, prawie nie miałem. Czasem jedynie dostawałem taką książkę od kogoś z krewnych lub znajomych; na pierwszym miejscu był tu

życia, a dwoje dzieci kolejno zapadało na suchoty i dogorywało przez długie miesiące. W tych warunkach, pielęgnując dniem i nocą chorą rodzinę, szarpana troską o życie najbliższych i pilnując wychowania zdrowych dzieci, kobieta owa pisała powieść po powieści, nie mogąc przerwać pracy, bo pióro jej było jedynym środkiem utrzymywania bytu całej gromadki. Ogółem napisała, powiedzmy: wyprodukowała 114 tomów powieści.

Robinson Kruzoe, którym rozkoszowałem się przez cały wiek chłopięcy. System ojca nie wykluczał wprawdzie lektury dla przyjemności, ale wydzieliał ją bardzo skąpo.

W ósmym roku życia zacząłem uczyć się łaciny i to razem z młodszą siostrą, którą nauczałem w miarę własnych postępów i która potem powtarzała lekcje ojcu. A ponieważ inni bracia i siostry przybywali stopniowo jako uczniowie, przeto odtąd znaczna część mej dziennej pracy polegała na tem przygotowawczem nauczaniu. Była to część, której bardzo nie lubiłem — tem więcej, że byłem odpowiedzialny za lekcje swych uczniów zupełnie tak samo, jak za swoje własne. Miałem jednak z tego rygoru tę wielką korzyść, że sam uczyłem się dokładniej i zapamiętywałem lepiej to, czego musiałem nauczać; być może też, że ćwiczenie się w wyjaśnianiu trudności innym, było w tym nawet wieku użyteczne. Pod innemi względami doświadczenia moje z owego czasu nie sprzyjają metodzie nauczania dzieci jednych przez drugie. Nauczanie takie jest z pewnością bardzo mało wydátne i wiem też, że stosunek pomiędzy nauczycielem a uczniem nie jest ani dla jednego ani dla drugiego dobrą dyscypliną moralną. W ten sposób przeszedłem gramatykę łacińską oraz znaczną część Korneljusza Neposa i komentarzy Cezara.

W tym samym roku, w którym zacząłem uczyć się łaciny, zapoznałem się po raz pierwszy z poezją grecką, a mianowicie z *Iljadą*. Kiedy już poczyniłem w tem nieco postępów, ojciec dał mi tłumaczenie Pope'a. Były to pierwsze wiersze angielskie, które mi się spodobały i książka ta stała się na wiele lat moją najulubieńszą lekturą: przeczytałem ją chyba do trzydziestu razy. Nieco później zacząłem Euklida, a potem algebrę, wciąż pod okiem ojca.

Od ósmego do dwunastego roku życia przeczytałem, pamiętam, *Bukoliki Wergilego* i część pierwszą ksiąg *Enejdy*, całego *Horacego* z wyjątkiem *Epod*, bajki *Fedrusa*, pierwszą

dekadę Liwjusza, całego Salustjusza, większą część Metamorfoz Owidjusza, trochę Terencjusza i Lukrecjusza, kilka mów Cyserona, prócz tego jego listy do Attyka (przyczem ojciec mój podjął się trudu przełożenia dla mnie z francuskiego wyjaśnień historycznych, zawartych w uwagach Mingaulta). Po grecku czytałem Iliadę i Odyseję, kilka utworów Sofoklesa, Eurypidesa i Arystofanesa, całego Tuczdydesa, część Ksenofonta, Demostenesa, Ajschinesa, Anakreonta, Polibjusza i innych, wkońcu zaś Retorykę Arystotelesa, którą ojciec kazał mi studjować szczególnie starannie, jako pierwszy wyrażnie naukowy traktat z zakresu etyki i psychologii i ponieważ dzieło to zawiera wiele najlepszych uwag o życiu i naturze ludzkiej, wypowiedzianych przez myślicieli starożytnych. W ciągu tych samych lat uczyłem się dokładnie zasad geometrii i algebry, bynajmniej natomiast nie dokładnie rachunku różniczkowego i innych działów wyższej matematyki: bo ojciec nie zachował w pamięci wiadomości z tej dziedziny, a nie miał czasu na przygotowanie się do wyjaśnienia mi trudności, które napotykałem, wobec czego pozostawały mi jedynie książki. Ojciec jednak wciąż był niezadowolony z tego, że nie umiałem radzić sobie z trudnemi zadaniami; nie widział, że nie miałem do tego należytego przygotowania.

Moją najulubieńszą prywatną lekturą była w dalszym ciągu historia, a zwłaszcza dzieje starożytne. Wciąż wracałem do „Grecji” Mitforda. Ojciec ostrzegł mię przed uprzedzeniami torysowskiemi tego pisarza i jego przekręcaniem faktów w celu wybielenia despotów, a oczernienia urządzeń demokratycznych. Rozwodził się długo nad temi kwestjami, przytaczając przykłady z dzieł greckich mówców i historyków — tak, że podczas lektury Mitforda sympatje moje znajdowały się zawsze po przeciwnym brzegu, niż sympatje autora; mógłbym być nawet do pewnego stopnia z nim polem-

zować. Ale to nie zmniejszało przyjemności, z jaką czytywałem tę książkę. Zachwycalem się też w dalszym ciągu historją rzymską, stosunkowo mało natomiast obchodziły mnie dzieje nowoczesne.

Przez wszystkie swe lata chłopięce poświęcałem z dobrej woli wiele czasu ćwiczeniom, które nazywałem pisanem historyj. W ten sposób ułożyłem na podstawie różnych autorów Historję rzymską, Historję świata starożytnego, Historję Holandji, a w jedenastym i dwunastym roku życia zajęty byłem pisanem czegoś, co — jak sobie pochlebiałem — było czemś poważniejszem. Były to, nie mniej nie więcej, Dzieje rządów rzymskich, skompilowane z Liwjusza i Dionysiusa. Napisałem jakiś tom formatu ósemki, dochodząc do ustaw licyniańskich. Opowiadałem tam o walkach pomiędzy patrycjuszami a plebejuszami, które teraz zajmowały mój umysł tak, jak dawniej zajmowały go wojny i podboje Rzymian. Rozważałem wszelkie nasuwające się zagadnienia ustrojowe i choć zupełnie nie znałem badań Niebuhra, a tylko opierałem się na objaśnieniach ojca, broniłem ustaw agrarnych i ujmowałem się za demokratami rzymskimi. W kilka lat później zniszczyłem ten rękopis, lekceważąc dziecinne wysiłki i nie przypuszczając, bym był kiedykolwiek ciekaw swych pierwszych prób pisania i rozumowania. Ojciec zachęcał mnie do tej użytecznej zabawy, choć — słusznie, jak sądzę — nigdy nie żądał, bym mu pokazał, co napisałem; dzięki temu, pisząc, nie czułem odpowiedzialności przed nikim i nie miałem też przykrego wrażenia, że obserwuje mnie krytyczne oko.

Te ćwiczenia historyczne nie należały nigdy do lekcji obowiązkowych. Należały do nich natomiast kompozycje innego rodzaju, a mianowicie pisanie wierszy. Gdy pierwszy raz czytałem Pope'a tłumaczenie Homera, powziąłem zamiar ułożenia czegoś w tym samym rodzaju i zdobyłem się na całą księgę dalszego ciągu Iljady! Na tem byłyby prawdopodobnie

zatrzymały się porywy mej ambicji poetyckiej, ale ćwiczenia rozpoczęte z własnej woli trzeba było uprawiać dalej na rozkaz. Ojciec zwykł był zawsze wyjaśniać mi w miarę możliwości powody, dla których żądał ode mnie pewnych rzeczy; tak też i w tym przypadku, jak dobrze pamiętam, podał mi dwie przyczyny, bardzo dlań charakterystyczne. Jedną tę, że niektóre rzeczy można wyrazić lepiej i dosadniej wierszem, niż prozą: to jest, twierdził, istotną korzyścią. Drugą, że ludzie powszechnie przywiązują do wierszy więcej wagi, niż na to zasługują, wobec czego warto nauczyć się ich pisania. Naogół pozostawiał mi wybór tematów, kazał mi jednak przełożyć wierszem wiele krótszych poematów Horacego. Poezje moje były oczywiście zupełną lichotą, nigdy też nie doprowadziłem do biegłości w wierszowaniu, ale może te ćwiczenia przydały się na coś — o tyle mianowicie, że później łatwiej mi było się wysławić. Poezji angielskiej znałem do owego czasu bardzo mało. Szekspira dał mi ojciec, głównie ze względu na tragedje historyczne, od których jednakże przeszedłem do innych. Ojciec nie był nigdy wielkim wielbicielem Szekspira i dość surowo krytykował bałwochwalstwo, jakiem otaczają go Anglicy. Wogóle mało sobie cenił poetów angielskich, z wyjątkiem Milтона, Goldsmitha, Burnsa i kilku innych.

W ciągu tego okresu mego dzieciństwa jedną z najmilszych moich rozrywek były doświadczenia naukowe, jednakże w teoretycznym, nie praktycznym znaczeniu tego słowa: nie próbowałem sam doświadczeń, ani im się nawet nie przyglądałem, lecz czytywałem o nich. Pożerałem traktaty z dziedziny chemji — na lata całe zanim byłem na jakimś wykładzie, lub widziałem jakieś doświadczenie.

Kiedy miałem dwanaście lat, rozpoczęło się wyższe stadium mego wykształcenia. Zacząłem mianowicie uczyć się logiki. Ojciec trzymał się niezmiennie zasady, że jakiegokolwiek nauki wymaga ode mnie, powinien przedewszystkiem

wzbudzić we mnie zrozumienie jej użyteczności; w szczególności zaś było to, jego zdaniem, wskazane, gdy chodziło o logikę sylogistyczną, której użyteczność tylu poważnych pisarzy podawało w wątpliwość. Pamiętam dobrze, jak na pewnym spacerze ojciec próbował pytaniami pobudzić mnie do myślenia nad tą rzeczą. Jego wyjaśnienia co do wartości logiki sylogistycznej nie były mi wówczas całkowicie jasne, ale nie były przecież bezużyteczne, bo utworzyły załążek, około którego krystalizowały się później moje obserwacje i refleksje. Moje własne doświadczenia doprowadziły mnie wkońcu do cenienia równie wysoko, jak on to czynił, wartości wczesnego zaznajamiania się z logiką szkolną. Nie znam niczego, czemu zawdzięczałbym więcej z tej zdolności myślenia, jaką osiągnąłem, jakakolwiekby ona była.

Pierwszą operacją myślową, w której nabrałem jakiej takiej biegłości, było rozciniwanie złego dowodzenia i wykrywanie, w czym tkwił fałsz, i jeśli doszedłem w tem do wprawy, to zawdzięczaam to okoliczności, że ojciec poddawał mnie bezustannie temu ćwiczeniu i wogóle ćwiczeniom z zakresu logiki szkolnej: jestem przeświadczony, że nic w nowoczesnym systemie edukacyjnym nie przyczynia się tak bardzo do wykształcenia ludzi myślących ściśle, przywiązujących właściwe znaczenie do słów i nie pozwalających ludzić się mglistym, luźnym lub dwuznacznym wyrażeniom.

Książki greckie i łacińskie, które w dalszym ciągu czytywałem z ojcem, były teraz tak wybrane, by warto było je studjować nietylko ze względu na język, ale i na zawarte w nich myśli. Obejmowało to wiele dzieł mówców, a zwłaszcza Demostenesa: ważniejsze jego mowy czytałem kilkakrotnie i robiłem z nich wypisy. Objaśnienia, które ojciec mi dawał podczas tej lektury, były bardzo pouczające. Nietylko zwracał mi uwagę, jak głęboko mowy owe pozwalają wniknąć w urządzenia ateńskie oraz w zasady ustawodawstwa

i rządu, lecz podkreślał też umiejętność i sztukę mówcy — jak mianowicie wszystko ważne dla celu, do którego zmierzał, było powiedziane we właściwej chwili, kiedy już doprowadził umysły słuchaczy do pożądanego stanu; jak stopniowo i zręcznie podsuwał im myśli, przeciw którym okrzyknęliby się, gdyby je wypowiedział wprost. Refleksje te w owym czasie przekraczały przeważnie zdolność mego pełnego ich pojmowania, ale pozostawiły po sobie nasiona, które wykiełkowały w odpowiedniej porze.

Przeczytałem też wówczas całego Tacyta, Juwenala i Kwintyljana i zaznajomiłem się z najważniejszymi dialogami Platona, a zwłaszcza Gorgiasem, Protagorasem i Rzeczpospolitą. Ojciec mój twierdził, że żadnemu autorowi nie zawdzięczał tyle w swym rozwoju duchowym, co Platonowi, żadnego też nie zalecał częściej młodym studentom. Mogę zaświadczyć to samo co do siebie. Metoda sokratesowska, której dialogi platońskie są głównym przykładem, jest niedościgniona, gdy chodzi o poprawianie błędów i wyjaśnianie konfuzyjnych skojarzeń, powstających w umyśle nieopanowanym należycie i poddającym się płytkiej frazeologii. Przywieranie do muru człowieka posługującego się mglistymi ogólnikami i zmuszanie go, by albo wyraził ściśle, co myśli, albo uznał, że nie wie, co mówi; ciągłe wypróbowywanie ogólnych twierdzeń na szczególnych przykładach; formalne obłożenie twierdzy wszelkiej abstrakcji, a to przez wybór jakiegoś szerszego jeszcze pojęcia i dzielenie go, aż dojdzie się do poszukiwanej rzeczy, której granice oznacza się następnie, odróżniając ściśle pomiędzy nią a każdym z pokrewnych przedmiotów, — wszystko to jest nieocenione jako przygotowanie do ścisłego myślenia i wszystko to, mimo mą wielką młodość, wywierało wpływ kształtujący zasadniczo mą umysłowość.

Czytając Platona i Demostenesa, nie musiałem tłumaczyć zdania po zdaniu, bo co się tyczy języka nie miałem

już z tymi autorami żadnej trudności, ale czytywałem ich ojcu głośno i odpowiadałem na pytania. Szczególna jednak uwaga, jaką ojciec zwracał na recytację (sam w tem celował) czyniła te głośne czytania bardzo przykrem zajęciem. Ze wszystkich rzeczy, jakich żądał ode mnie, niczego ja nie robiłem stale tak źle i przy niczem on nie tracił tak łatwo cierpliwości. Ojciec miał wielkie mniemanie o sztuce czytania, zwłaszcza zaś o jej części najbardziej zaniedbanej — modulowaniu głosu, którego zasady, oparte o logiczny rozbiór zdania, wpajał we mnie bardzo usilnie, upominając mię surowo za każde ich przekroczenie. Ale już wówczas zauważyłem (choć nie odważyłem się powiedzieć mu tego), że jakkolwiek ganił mię za złe przeczytanie jakiegoś zdania i mówił mi, jak powinienem je przeczytać, to jednak nigdy nie pokazywał mi, sam czytając, jak to należało przeczytać. Wadą całego jego, skądinąd godnego podziwu, sposobu wychowywania — jak wogóle wadą jego całego sposobu myślenia — było zbytne zaufanie do zrozumiałości rzeczy abstrakcyjnych, nie ucieleśnionych w niczem konkretnym. Dopiero znacznie później, gdy sam lub w towarzystwie rówieśników ćwiczyłem się w wymowie, zrozumiałem znaczenie owych zasad i dostrzegłem ich podłoże psychologiczne.

Dziełem, które w wielkiej mierze przyczyniło się do mej edukacji, w najlepszym znaczeniu tego słowa, były „Dzieje Indyj” mego ojca. Wyszło ono na początku roku 1818-go. Poprzedniego roku, gdy je drukowano, czytywałem ojcu próbne odbitki, lub raczej odczytywałem rękopis, podczas gdy on poprawiał odbitki. Ilość nowych idei, które posiadałem dzięki tej znakomitej książce, oraz podnieta i kierunek, które myśleniu mojemu nadały z jednej strony rozważania krytyczne nad społeczeństwem i cywilizacją, zawarte w części odnoszącej się do Hindusów, a z drugiej uwagi o instytucjach i dzia-

laniach rządowych, zawarte w części odnoszącej się do Anglików — wszystko to było niezmiernie użyteczne dla mych późniejszych postępów. I choć widzę teraz braki tego dzieła, gdy je porównać z jakimś wzorem doskonałości, to jednak wciąż jeszcze sędzę, że jest ono, jeśli nie najbardziej pouczającym, to jednym z najbardziej pouczających dzieł historycznych, jakie kiedykolwiek napisano, i jedną z książek, z których olbrzymią korzyść może odnieść umysł, kształtujący właśnie swe opinie.

Przedmowa — niezmiernie charakterystyczna dla mego ojca i przebogata w materiał myślowy — daje wierny obraz uczuć i nadziei, z jakimi tworzył „Dzieje”. Pisząc książkę przepełnioną poglądami opartymi o radykalizm demokratyczny, który wtedy uważano za skrajność, i traktując w niej z niezwykłą naówczas surowością konstytucję angielską, prawo angielskie i wszystkie stronnictwa i klasy, które posiadały w kraju większe znaczenie — mógł po jej ogłoszeniu oczekiwać rozgłosu, ale z pewnością nie korzyści praktycznych. Nie mógł wątpić, że przyczyni mu wrogów wśród najpotężniejszych czynników. Najmniej zaś życzliwości mógł spodziewać się od Kompanji Wschodnio-Indyjskiej ¹⁾, której przywilejom

¹⁾ Kompanja Wschodnio-Indyjska była początkowo prywatną instytucją, wyrosłą z przedsiębiorczości awanturniczo kupieckiej i z przywilejów handlowych udzielanych przez państwo za wielkie sumy. Z czasem Kompanja wybudowała całe rusztowanie polityczne, potrzebne do skutecznej eksploatacji handlu indyjskiego — miała własne sądownictwo, biła monetę, utrzymywała wojsko i twierdze i t. p. W miarę rozwijania się imperjalizmu wielko-brytyjskiego rząd angielski okrawał Kompanję z jej właściwości politycznych, aż wreszcie w r. 1858-ym upaństwowiono całą działalność administracyjną Kompanji.

handlowym był bezwzględnie przeciwny i o której działaniach politycznych wypowiedział tyle surowych sądów (co zresztą nie przeszkadzało mu w przemawianiu w niektórych miejscach książki na korzyść Kompanji, o ile sądził, że jej się to słuszenie należało).

Jednakowoż na wiosnę 1819-go roku, mniej więcej w rok po ogłoszeniu „Dziejów”, dowiedziawszy się, że dyrektorzy Kompanji pragną wzmocnić dział biur centralnych, zajmujących się korespondencją z Indjami — zgłosił kandydaturę i (zapiszmy to na dobro dyrektorów) został przyjęty. Otrzymał stanowisko w biurze korespondencyjnym, w którym przygotowywano dla dyrektorów projekty poleceń z zakresu głównych działów administracji. Na tem stanowisku, i na zajmowanem później stanowisku kierownika tego biura, ojciec uzyskał dzięki swym zdolnościom, dzięki dobremu imieniu i stanowczości charakteru taki wpływ na przełożonych, którzy pragnęli istotnie dobra Indyj, że mógł swe projekty poleceń, odzwierciadlające w znacznej mierze jego najgłębsze zapamiętania na sprawy miejscowe, przeprowadzać bez wielkich zmian przez cenzurę dyrektorów i rady nadzorczej. W „Dziejach” wyraził ojciec po raz pierwszy wiele właściwych zasad administracji Indyj; a jego polecenia, będące konsekwentnem zastosowaniem tych zasad, przyczyniły się więcej, niż cokolwiekby przedtem, do poprawy stosunków w Indjach i do nauczania miejscowych urzędników Kompanji, jak winni pojmować swą działalność.

To nowe zajęcie nie zmniejszyło uwagi, jaką ojciec poświęcał memu kształceniu. W tym samym 1819-ym roku przeszedł ze mną cały kurs ekonomji politycznej. Jego serdeczny przyjaciel Ricardo ogłosił był na krótko przedtem książkę, która stanowi epokę w dziejach ekonomji, a która nie byłaby nigdy ogłoszona, ani nawet napisana, gdyby nie

prośby i zachęty mego ojca ¹⁾). Bo Ricardo, najskromniejszy z ludzi, choć głęboko przekonany o prawdziwości swej doktryny, uważał, iż ma tak mało zdolności do wyłożenia jej należycie, że cofał się przed myślą o publikacji. Te same przyjacielskie zachęty skłoniły Ricarda, w rok czy dwa później, do przyjęcia mandatu do Izby Gmin, gdzie przez kilka pozostałych lat życia, przeciętego niestety w pełnej sile wieku, oddał tak wiele usług swoim i ojca mego poglądom w kwestjach ekonomicznych i innych.

Choć wielkie dzieło Ricarda znajdowało się już pod prasą, nie było jeszcze podręcznika, z którego studenci mogliby zapoznawać się z doktrynami ekonomicznymi. Wobec tego ojciec rozpoczął ze mną naukę rodzajem wykładów podczas naszych spacerów. Każdego dnia pokazywałem mu pisemne streszczenie tego, co mi wyłożył poprzedniego dnia i musiałem to przerabiać raz po raz, aż było jasne, ściśle i dość pełne. W ten sposób przeszedłem cały kurs ekonomji, a skrypta mych codziennych sprawozdań posłużyły ojcu później jako notatki, gdy pisał swe „Zasady Ekonomji Politycznej”. Potem dopiero czytałem Ricarda, streszczając codziennie swą lekturę i rozprawiając w miarę sił o zagadnieniach nasuwających się ubocznie.

Następnie przyszła kolej na Adama Smitha. Przy czytaniu tego dzieła ojciec uczył mię uzupełniać bardziej powierzchowne poglądy Smitha na ekonomję polityczną głębszemi naukami Ricarda i wykrywać, co było złudnego w dowodzeniach Smitha lub mylnego w jego wnioskach. Taki sposób kształcenia był doskonały do wytworzenia człowieka my-

¹⁾ Dawid Ricardo (1772—1823) był sztandarowym pisarzem grupy benthamowskiej (ob. Wstęp) w zakresie ekonomji. Dzieło, które Mill ma na myśli, to wydane w r. 1817-ym „Zasady ekonomji politycznej i opodatkowania”.

ślącego samodzielnie, ale trzeba było też, by go stosował myśliciel tak ścisły i energiczny, jak mój ojciec. Starając się wciąż usilnie, przesadnie nawet, rozbudzić działalność mych władz umysłowych, kazał mi wszystko wynajdywać samemu i wyjaśniał mi rzecz nie wcześniej, aż poczułem cały ciężar trudności. To też nietylko zaznajomił mię dokładnie z ówczesnym stanem logiki i ekonomji politycznej, ale uczynił ze mnie poszukiwacza w obu tych dziedzinach wiedzy. Niemal od samego początku zacząłem myśleć samodzielnie, trafiało się nawet, że miałem odmienne zdanie od ojca, choć przez długi czas co do mniej ważnych tylko kwestyj i mając jego sąd za ostateczny. Później zdarzało się, że go przekonywałem i zmieniałem jego mniemanie o pewnych szczegółach. Przytaczam to ku jego chwale, nie swojej: jest to dowód jego głębokiej rzetelności i zarazem prawdziwej wartości jego metody nauczania.

Na tem zakończyło się to, co można właściwie nazywać memi lekcjami: gdy miałem około 14-u lat, wyjechałem z Anglii na przeszło rok, a po powrocie, choć nauka moja odbywała się pod ogólnem kierownictwem ojca, nie był on już więcej mym nauczycielem. Przerwę przeto tutaj i cofnę się do kwestyj ogólniejszej natury, związanych z tą częścią mego życia i wykształcenia, którą obejmują poprzednie wspomnienia.

Punktem najbardziej dostrzegalnym w przebiegu nauki, który częściowo opisałem, jest wielki wysiłek, skierowany ku temu, by dać dziecku taką ilość wiedzy z zakresu wyższych gałęzi wykształcenia, jaką nabywa się rzadko (jeśli nabywa się wogóle) wcześniej, niż w wieku dorosłym. Wynik doświadczenia okazuje, jak łatwo tego dokonać i jasno oświeśla fatalne marnowanie tylu cennych lat, ile ich się zużywa na to trochę łaciny i greki, którego uczy się zwyczajnie chłopców w szkole; a marnotrawstwo takie wywołało u wielu reformato-

rów wychowania nieuzasadnione przypuszczenie, że należy wogóle wykreślić naukę tych języków z ogólnego kształcenia. Gdybym z natury miał umysł niezmiernie chwytliwy, lub gdybym posiadał bardzo dokładną i trwałą pamięć, albo miał charakter szczególnie czynny i energiczny — próba nie byłaby przekonywująca. Tymczasem co do tych wszystkich darów natury znajduję się raczej poniżej niż powyżej przeciętności: co ja mogłem osiągnąć, tego mógł z pewnością dokonać każdy chłopiec czy dziewczyna o średnich zdolnościach i zdrowej budowie ciała. Jeżeli więc dokonałem czegoś, zawdzięczam to, wśród innych szczęśliwych okoliczności, faktowi, że dzięki wczesnemu wykształceniu, które odebrałem od ojca, rozpocząłem drogę życia — mogę śmiało powiedzieć — z przewagą ćwierci stulecia ponad mymi rówieśnikami.

Był w tem wykształceniu pewien kardynalny punkt, na który już wskazywałem, a który więcej, niż cokolwiek innego, był przyczyną całego dobrego wyniku. Większa część młodości, której wpakowano do głowy wiele wiedzy, ma tem władze umysłowe nie wzmocnione, lecz przeładowane. Mają mózgi naszpikowane faktami oraz cudzemi gotowemi zdaniem i poglądami i to zastępuje im zdolność tworzenia własnych sądów. Dlatego to synowie wybitnych ojców, którzy nie szczędzili trudów na ich kształcenie, wyrastają tak często na papugi, powtarzające, czego je nauczono, i nie potrafią myśleć inaczej, jak tylko po szlakach, które dla nich ubito. Tymczasem moje wychowanie nie polegało na nabijaniu głowy. Ojciec nigdy nie pozwalał, by cokolwiek w mej nauce wyradzało się w zwykłe ćwiczenie pamięciowe. Cały jego wysiłek zmierzał ku temu, by zrozumienie nie tylko zawsze dostrzymywało kroku wyuczaniu się, ale by je, o ile możliwości, wyprzedzało. Cokolwiek można było wyszukać myśleniem, tego mi nigdy nie powiedziano, póki nie wyczerpałem wszystkich wysiłków na samodzielne wyznalezienie. O ile pamiętam,

wywiązywałem się z tego bardzo nieszczególnie: wspomnienia moje z tej dziedziny są pełne samych niepowodzeń.

Prawda, że niepowodzenia odnosiły się często do rzeczy, co do których w tak wczesnym okresie rozwoju nie mogło mi się udać lepiej. Przypominam sobie, że gdy pewnego razu — a miałem wówczas 13-y rok — użyłem słowa „idea”, ojciec zapytał mnie, co to jest idea i był niezadowolony, gdy bezskutecznie usiłowałem określić to słowo. Pamiętam też jego oburzenie, gdy użyłem rozpowszechnionego wyrażenia, że coś było prawdziwe w teorii, ale w praktyce wymagało poprawki, i gdy nadaremnie usiłowałem zdefiniować słowo „teoria”; wytłomaczył mi jego znaczenie i wykazał błędność wulgarnego wyrażenia, którego użyłem, tak dosadnie, że byłem przekonany, iż nie mogąc dać poprawnej definicji teorii i mówiąc o niej, jako o czemś, co mogło odbiegać od praktyki, okazałem niesłychaną ignorancję. W tem, zdaje mi się, a nawet napewno, postępował nierozsądnie — ale tylko co do tego, że gniewała go moja nieudolność. Uczeń, od którego nigdy nie wymaga się nic takiego, czego nie może zrobić, nigdy nie robi wszystkiego, co może.

Ojciec bardzo uważnie dbał o to, by w mem wychowaniu nie pojawiło się pewne zło, które łatwo wyrasta tam, gdzie jest wczesny rozwój i które go psuje, a mianowicie zarozumiałość. Czuwał bardzo pilnie, bym nie słyszał pochwał lub nie czynił pochlebnych dla siebie porównań między sobą a innymi. Z jego sposobu obcowania ze mną mogłem wynieść bardzo tylko mizerne mniemanie o sobie. Miarą porównania, na którą mi zawsze wskazywał, było nie to, co inni ludzie robili, lecz to, co człowiek mógł i powinien zrobić. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że wyniki, które osiągnąłem, były w mym wieku czemś niezwykle. Jeśli przypadkowo zauważyłem, że jakiś inny chłopiec umiał mniej odemnie — co zdarzało się rzadziej, niżby ktoś przypuszczał —

sądziłem nie, że umiałem wiele, lecz że tamten z tego lub innego powodu umiał mało lub że jego wiedza była inna, niż moja. Nie miałem w sobie pokory, ale nie miałem też arogancji. Nigdy nie przychodziło mi do głowy powiedzieć sobie: ja jestem taki a taki, lub ja potrafię zrobić to i to. Nie oceniałem siebie ani wysoko, ani nisko, poprostu nie oceniałem siebie wogóle. Jeśli myślałem coś o sobie, to tylko, że pozostałem w nauce raczej w tyle, ponieważ wiedziałem, że nigdy nie dociągam się do tego, czego ojciec wymaga ode mnie.

Pamiętam dobrze miejsce w Hyde-Parku (miałem wtedy czternasty rok życia i miałem właśnie na dłuższy czas wyjechać z domu rodzicielskiego), gdzie ojciec powiedział mi, że gdy poznam nowych ludzi, spostrzegę, iż nauczono mnie wielu rzeczy, których zazwyczaj nie zna młodzież w moim wieku; że może skłoni to wiele osób do chwalenia mię za to. Szczegółów tego, co mi ojciec mówił, nie pamiętam, ale wiem, że skończył na tem, iż cokolwiek umiem więcej od innych, tego nie można przypisać mej własnej zasłudze, lecz tej niezwyklej korzyści, jaka mi przypadła w udziale, że miałem ojca, który potrafił mię uczyć i chciał poświęcać na to trud i czas; że nie mam czem chwalić się, jeśli umiem więcej, niż inni, którzy nie byli w tak korzystnem położeniu, lecz że byłoby raczej wstydem, gdybym w tych warunkach nie umiał więcej.

Jasne, że celu tego, jak wielu innych w systemie wychowawczym mego ojca, nie możnaby było osiągnąć, gdyby ojciec nie trzymał mię starannie zdaleka od zażyłości z innymi chłopcami. Pilnował, by mię ustrzec nie tylko przed psującym wpływem, który chłopcy wywierają jedni na drugich, ale także przed zaraźliwą wulgarnością myślenia i odczuwania. Godził się zaś, bym za to płacił niższością w tem, czem głównie zajmują się uczniacy we wszystkich krajach. Braki w mem wykształceniu dotyczyły głównie rzeczy, których

chłopcy uczą się, gdy muszą troszczyć się sami o siebie i gdy przebywają razem w licznej grupie. Dzięki wstrzemięźliwości i długim pieszym wędrówkom wyrosłem zdrow i zahartowany, choć nie muskularny, nie mogłem też popisywać się zręcznością ani siłą i nie znałem zwykłych ćwiczeń gimnastycznych. Nie mogę powiedzieć, by mi odmawiano zabaw lub czasu na nie. Choć nie miałem wakacji — aby nie tracić przyzwyczajenia do pracy, a nie zasmakować w próżniactwie — miałem każdego dnia dość wolnego czasu do zabawy. Ponieważ jednak nie miałem towarzystwa rówieśników, a potrzebę fizycznej ruchliwości zaspakajały spacer, przeto zabawy moje, przeważnie samotne, miały naogół charakter spokojny, jeśli nie książkowy i mało dawały podniecia do nabycia innego rodzaju biegłości, niż ta, którą rozwijały moje studia. To też długi czas nie umiałem wziąć się do niczego, wymagającego zręczności rąk, a do pewnego stopnia nieudolność ta pozostała mi na zawsze; umysł mój i ręce wykonywały pracę bardzo niezgrabnie, jeśli to była praca zastosowana do jakichś praktycznych szczegółów; stale zasługiwałem sobie na naganę wskutek nieuwagi, roztargnienia i w ogólności niedbalstwa myślowego, gdy chodziło o sprawy życia codziennego.

Ojciec był skrajnym przeciwieństwem w tych szczegółach: jego zmysły i uwaga były zawsze czujne; zdecydowanie i energia cechowały całe jego zachowanie się, wprowadzał je też w życie na każdym kroku; to właśnie, obok zdolności, wytwarzało silne wrażenie, które wywierał na wszystkich, co stykali się z nim osobiście. Ale dzieci energicznych rodziców wyrastają często na niedołęgów, bo polegają na rodzicach i rodzice są energiczni za nich. Wykształcenie, które ojciec mi dawał, nadawało się znacznie więcej do wyuczenia mnie, jak *wiedzieć*, niż jak *robić*. Ojciec uchronił mnie wprawdzie przed demoralizującymi wpływami życia szkolnego, ale

nie starał się zastąpić niczem jego wpływu, zaprawiającego do życia praktycznego. Jakikolwiek zdatności nabył on sam bez trudności lub osobliwego ćwiczenia się, te same — ma-
wiał — powinienem ja nabyć również łatwo.

ROZDZIAŁ II.

WPŁYWY MORALNE WE WCZESNEJ MŁODOŚCI. CHARAKTER I OPINJE OJCA.

W wychowaniu mojem, jak wogóle w czyjemkolwiek wychowaniu, wpływy moralne, które są o tyle ważniejsze od wszystkich innych, są też najbardziej złożone i najtrudniej wymienić je z jaką taką dokładnością.

Przekonania etyczne mego ojca miały wiele w sobie z przekonań filozofów greckich; wyznawał je zaś z siłą i stanowczością, które charakteryzowały wszystko, co w nim było. Już w bardzo wczesnym wieku, kiedy czytywałem z ojcem Ksenofonta *Memorabilia*, dzieło to i komentarze ojca napełniły mnie głębokim szacunkiem dla Sokratesa, który stał mi przed oczyma jako wzór idealnej doskonałości; dobrze też sobie przypominam, jak ojciec wpajał we mnie naukę wypływającą z „Herkulesa na rozstajnych drogach”. Nieco później oddziaływał na mnie silnie wysoki poziom moralny, odbijający się w dziełach Platona. Ojciec zawsze wszczepiał we mnie cnoty „mężów na miarę Sokratesa”: sprawiedliwość, wstrzeżliwość (którą stosował bardzo szeroko), prawdomówność, wytrwałość, gotowość podejmowania trudów, a zwłaszcza pracy; szanowanie dobra publicznego; ocenianie ludzi według zasług, a rzeczy wedle wewnętrznej użyteczności;

życie wytężone, w przeciwieństwie do wygodnego opuszczania się i pogażania sobie.

Ale choć bezpośrednia nauka moralności działa wiele, pośrednia działa więcej. To też wpływ, jaki ojciec wywierał na mój charakter, nie polegał na tem tylko, co mówił lub co robił osobiście w tym celu, lecz także — i to bardziej nawet — na tem, jakiego rodzaju był człowiekiem.

W poglądach na życie łączył zapatrywania stoików, epikurejczyków i cyników — nie w nowoczesnem, lecz starożytnem znaczeniu tego słowa. Co do zalet osobistych przeważał w nim stoik. Zapatrywania etyczne miał epikurejczyka. Ale (i to był czynnik cyniczny) nie miał przekonania do uciech — przynajmniej w latach późniejszych, o których mogę w tym względzie mówić wiarogodnie. Nie był nieczuły na przyjemności, ale mawiał, że cena, którą, przynajmniej w obecnym stanie społeczeństwa, trzeba za nią płacić, jest przeważnie wygórowana. Sądził, że największą ilość zawodów życiowych należy przypisać przecenianiu uciech. Zgodnie z tem, wstrzemięźliwość w tem szerokiem znaczeniu, jakie jej nadawali filozofowie greccy — to znaczy wstrzemięźliwość zatrzymująca się tuż w miejscu, gdzie kończy się umiarkowanie we wszelkiem używaniu — była u niego, jak u nich, ogniskiem zasad wychowawczych. Wpajanie we mnie tej cnoty przez ojca zajmuje wielkie miejsce w mych wspomnieniach dzieciństwa. Uważał życie ludzkie za rzecz w istocie niewiele wartą — skoro już minie świeżość młodości i niezaspokojonej ciekawości. Był to temat, o którym nie mówił często, a zwłaszcza, rzecz prosta, w obecności osób młodych; ale gdy się zdarzało, twierdził to zdecydowanym tonem głębokiego przekonania. Mógł czasem powiedzieć, że gdyby życie było tak urządzone, jak być powinno, przez dobry rząd i dobre wychowanie, byłoby warte zachodu; ale o tej nawet możliwości nie wyrażał się nigdy entuzjastycznie. Nie zmie-

niał nigdy zdania co do tego, że cenniejsze od wszystkich innych są radości intelektualne. Wysoko cenił zadowolenie wynikające z odczuwania czyjejs życzliwości i zwykł był mawiać, że nie znał żadnego szczęśliwego starca, chyba tego, który był zdolny odżyć w przyjemnościach młodzieży. Do wszelkich uczuć gwałtownych i do wszystkiego, co powiedziano lub napisano na ich pochwałę, żywił największą pogardę. Uważał je za rodzaj szaleństwa. „Intensywny” — oznaczało u niego pogardliwą krytykę. Wielki nacisk, jaki czasy nowożytne kładą na uczucia, uważał za aberację w stosunku do przykazań etycznych świata starożytnego. Uczucia same przez się, uważał, nie są godne ani pochwał ani nagan. Określenia takie, jak: słuszne i niesprawiedliwe, dobre i złe, można było, wedle niego, odnieść jedynie do *postępowania* — do uczynków i zamierzeń; niema bowiem uczuć, któreby nie mogły prowadzić i istotnie nie prowadziły często, już to do dobrych, już też do złych uczynków: przecież sumienie nawet, które jest pragnieniem słusznego postępowania, często skłania ludzi do działań niesprawiedliwych.

Wierny zasadzie, że celem pochwały i nagany winno być odstręczanie od złego postępowania a zachęcanie do słusznego, nie pozwalał pobudkom wpływać na pochwałę czy nagane. Czyn, który uważał za zły, ganił równie surowo, gdy pobudką było poczucie obowiązku, jak gdy działający świadomie popełnił coś złego. Sądząc np. postępowanie inkwizytorów, nie byłby im przyznał, jako okoliczności łagodzącej, że szczerze wierzyli, iż palenie heretyków jest nakazem sumienia. Chociaż jednak nie pozwalał uczciwości zamiarów umniejszać sądu, potępiającego uczynki, to jednak wzgląd na nie odbijał się w pełni na sposobie, w jaki oceniał charaktery. Nikt nie cenił więcej odeń sumiennosci i prawości intencji, nikt nie był mniej zdolny do szanowania kogokolwiek, u kogo nie był pewien tych zalet; a tak samo

mierzili go ludzie, których inne braki mogły skłaniać do złego postępowania. Równie np. był mu wstrętny, kto bronił złej sprawy z fanatyzmu, jak ten, kto ją popierał z własnego interesu, sądził bowiem, że tamten może w praktyce być szkodliwszy. Podobnie jego niechęć do wielu błędów myślenia miała w sobie coś z poczucia moralnego. Wszystko to znaczy poprostu, że ojciec — w stopniu niegdyś powszechnym, ale obecnie bardzo niezwykłym — pozwalał uczuciom przenikać do swych przekonań; trudno też doprawdy pojąć, jak ktoś, kto posiada wiele jednych i drugich, mógłby tego nie czynić. Ci tylko, którzy nie dbają o przekonania, będą to uważać za nietolerancję, kto natomiast — mając przekonania, które uważa za ogromnie ważne, a ich przeciwieństwa za niezmiernie szkodliwe — pragnie dbać o dobro powszechne, ten z konieczności będzie czuł odrazę do ludzi, uważających za złe to, co on uważa za słuszne, a widzących dobro tam, gdzie on dostrzega zło. Z czego nie wynika zresztą, by człowiek taki miał być (i właśnie ojciec mój nie był) nie czuły na zalety przeciwnika, lub by oceniał ludzi na podstawie ogólnikowego uprzedzenia, a nie na podstawie całokształtu ich charakteru.

Jest zrozumiałe, że człowiek o takich przekonaniach i o takim charakterze, wywierał silny wpływ moralny na umysł, który kształtował, i że jego nauki etyczne nie grzeszyły niedociągnięciami lub pobłażliwością. Czego natomiast brakło głównie w jego stosunku moralnym do dzieci, to czułości. Wydaje mi się, że miał znacznie więcej uczuć, niż zwykle okazywał, i znacznie więcej zdolności do kochania, niż ich się w nim rozwinęło. Podobny był do wielu Anglików w tem, że wstydził się objawiania uczuć i przez brak ich okazywania doprowadzał same uczucia do zaniku. Jeżeli zważyć dalej, że miał niebezpieczne stanowisko jedyne go nauczyciela i że z natury łatwo się rozdrażniał, to nie sposób nie współczuć wielce

z tym ojcem, który robił tak wiele dla swych dzieci i tak bardzo byłby sobie cenił ich przywiązanie, który jednak musiał czuć, że obawa przed nim wysusza same źródła tego przywiązania. Później, z wiekiem, zmieniło się to — młodsze dzieci czule kochały ojca; a jeśli nie mogły tego powiedzieć o sobie, to jednak pewne, że byłem mu zawsze bardzo oddany.

Co się tyczy mojego wychowania, to waham się z wypowiedzeniem zdania, czy surowość ojca przynosiła mi zysk czy stratę. Nie pozbawiała mnie ona szczęśliwego dzieciństwa. Nie wierzę też, że samą siłą przekonywania i łagodnymi słowami można skłonić chłopców do pilnego i, co o tyle trudniejsze, wytrwałego przykładania się do suchej i żmudnej nauki. Dzieci muszą robić wiele rzeczy, muszą zwłaszcza uczyć się wielu takich, przy których twarda dyscyplina i obawa przed karą są nieodzownymi środkami. Niewątpliwie winien jest pochwały wysiłek nowoczesnej pedagogji, by uczynić naukę młodzieży możliwie łatwą i zajmującą. Ale jeżeli posuwa się tę zasadę tak daleko, by wymagać uczenia się *tylko* tego, co jest łatwe i interesujące, to poświęca się jeden z głównych przedmiotów wychowania. Cieszy mnie zanik dawnego brutalnego i tyranicznego systemu nauczania, któremu, co prawda, udawało się wymusić przyzwyczajenie do pilności; ale wydaje mi się, że nowe metody wychowują rasę ludzi, którzy będą niezdolni do czynienia czegokolwiek, co im jest niemiłe. To też nie wierzę, żeby można było wyrzec się postrachu, jako czynnika wychowawczego; ale z pewnością nie powinien to być główny czynnik i jeśli przeważa tak dalece, że wyklucza miłość i zaufanie dziecka do tych, których wskazaniom winno ono wierzyć bez zastrzeżeń, i że zamyka w naturze dziecka źródła szczerzej i naturalnej otwartości — wówczas jest złem, które znacznie umniejsza moralne czy duchowe korzyści reszty wychowania.

Podczas tego pierwszego okresu mego życia kilka tylko osób bywało często w domu ojca. Byli to przeważnie ludzie mało znani w świecie, ale do których pociągała go ich wartość osobista i mniejsze lub większe podobieństwo poglądów przy najmniej politycznych (co nie trafiało się wówczas tak często, jak później). Z zainteresowaniem i pożytkiem przysłuchiwałem się ich rozmowom. Pracując stale w gabinecie ojca, zapoznałem się z jego najdroższym przyjacielem, Dawidem Ricardo, którego zachowanie się, pełne życzliwości i uprzejmości, bardzo pociągało młodzież i który, gdy zacząłem studjować ekonomję polityczną, zapraszał mię do swego domu i na przechadzki, by rozmawiać ze mną o tym przedmiocie. Bywałem też (mniej więcej od r. 1817-go lub 1818-go) częstym gościem u p. Hume'a, który urodzony w tych samych stronach Szkocji, co ojciec, i będąc, zdaje się, jego młodszym kolegą w szkołach, przypominał ojcu, po swym powrocie z Indyj, znajomość z młodych lat, a dostawszy się, jak wielu innych, pod silny wpływ umysłowości i charakteru mego ojca, zgodził się za jego namową na kandydowanie do Izby Gmin i zdobył sobie jako parlamentarzysta zaszczytne miejsce w historii naszego kraju.¹⁾ Częściej jeszcze spotykałem się z p. Benthamem, dzięki ścisłej zażyłości, jaka łączyła go z moim ojcem.²⁾ Nie

¹⁾ Józef Hume (nie należy go, oczywiście, mieszać z Dawidem Hume'm, słynnym filozofem, zmarłym na rok przed urodzeniem się przyjaciela Milla, o którym mowa) był znany jako poseł niesłychanie pilny i zawzięty osobliwie na oszczędności budżetowe. Bardzo zły i naprzykrzający się mówca, był jednak szanowany w parlamencie za bystrość, wytrwałość i rzeczowość. Miał też poza parlamentem wielką popularność, dzięki uczynności i bezinteresowności: „Patrzcie — pisało współcześnie o rozmiarach jego korespondencji — przyszedł właśnie listonosz. Czy nie pozostawił przypadkiem przez omyłkę u p. Hume'a listów dla całej dzielnicy?”

²⁾ Ob. Wstęp, str. 16.

wiem, kiedy się poznali, ale to pewna, że ojciec był pierwszym wybitniejszym Anglikiem, który dokładnie rozumiał i w głównych zarysach przyjął ogólne poglądy Benthama na moralność, rząd i prawo; stąd płynęła ich wzajemna sympatja i zażyłość.

Bentham miał brata generała, któremu zawdzięczam jednoroczny pobyt we Francji. Zaprosił on mię w roku 1820-ym na sześć miesięcy do siebie, na południe Francji, a odwiedzi-ny te przedłużyły się dzięki uprzejmości gospodarza niemal do roku. Generał Bentham, choć umysłem odmienny od swego starszego brata, był człowiekiem bardzo uzdolnionym, szczególnie zaś do mechaniki. Żona jego, córka głośnego chemika, doktora Fordyce, była kobietą o silnej woli, charakterze zdecydowanym i wielkim zmysle praktycznym. Rodzina składała się z syna (wybitnego botanika) i trzech córek, z których najmłodsza była starsza ode mnie o dwa lata. Winienem im wiele wdzięczności za to, czego się tam nauczyłem i za wprost rodzicielską opiekę nad sobą. Podczas tego pobytu we Francji nabyłem wprawy w języku francuskim i zaznałomiłem się z literaturą francuską; brałem też lekcje różnych ćwiczeń cielesnych, w których jednak nie poczyniłem postępów; a w Montpellier chodziłem na znakomity kurs wykładów urządzony w ciągu zimy na wydziale przyrodniczym; słuchałem wykładów z chemji, zoologii, logiki i wyższej matematyki.

Ale największą może korzyścią było to, że przez cały rok oddychałem swobodną atmosferą życia duchowego na kontynencie. Nie umniejszał tej korzyści fakt, że nie mogłem tego wówczas w pełni ocenić, ani nawet świadomie odczuć. Ponieważ stykałem się bardzo mało z życiem angielskiem, a tych kilka osób, które znałem, byli to przeważnie ludzie zajmujący się sprawami publicznymi bezinteresownie i wielkodusznie, przeto nie miałem pojęcia o niskim poziomie moralnym tego, co w Anglii nazywa się dobrem towarzystwem.

Uważano tam, że postępowanie musi być zawsze skierowane ku poziomym i nikłym celom, brak podniosłych uczuć objawiał się kpinami z wszelkiego ich okazywania i powszechnem (wyjąwszy niewiele osób z pośród ludzi usposobionych bardziej religijnie) unikaniem przyznawania się do głębszych zasad działania — chyba przy tych stereotypowych okazjach, kiedy to takie przyznawanie się należy do kostjumu, przywdziewanego na okolicznościowe obrzędy. Nie mogłem wówczas znać ani oceniać różnicy pomiędzy temi obyczajami a sposobem życia Francuzów, których błędy są może równie wielkie, ale przecież inne; u których uczucia normalnie przenikają wzajemne stosunki ludzkie; a choć uczucia te często ulatniają się wraz z wypowiadającym je słowem, to jednak w szerokich warstwach narodu utrzymują się one żywe i grają wielką rolę w życiu wielu osób. Nie wiedziałem też wówczas, do jakiego stopnia u normalnego Anglika brak zainteresowania się rzeczami nie obchodzącemi go osobiście i zwyczaj nie mówienia z innymi (a nie wiele też z samym sobą) o rzeczach, do których go coś pociąga, sprawiają, że jego uczucia i zdolności umysłowe pozostają nierozwinięte lub rozwijają się tylko w kilku i to bardzo ograniczonych kierunkach.

Wszystko to zrozumiałem dopiero znacznie później, ale już wówczas odczuwałem, choć nie zdawałem sobie jasno z tego sprawy, różnicę pomiędzy szczerą i przyjazną towarzyskością, cechującą stosunki osobiste we Francji, a angielskim sposobem bycia, przy którym każdy działa tak, jak gdyby wszyscy inni, z małemi wyjątkami, byli albo wrogami albo nudziarzami. Prawda, że we Francji zalety i wady charakteru indywidualnego i narodowego wydobywają się bardziej na powierzchnię, niż w Anglii; ale naogół ludzie zwykli tam okazywać przyjazne uczucia wobec każdego — i nawzajem ich

oczekiwać — jeśli tylko niema szczególnych przyczyn do przeciwnego postępowania. W Anglii można coś podobnego powiedzieć jedynie o najlepiej wychowanych ludziach w wyższych sferach i w górnej części sfer średnich.

Podczas przejazdu przez Paryż spędziłem pewien czas w domu p. Say'a, wybitnego ekonomisty, który był przyjacielem mego ojca i korespondował z nim, odkąd go poznał, bawiąc w Anglii w rok czy dwa po zawarciu pokoju.¹⁾ Był to człowiek z późniejszego okresu Rewolucji Francuskiej, piękny okaz francuskiego republikanina w najlepszym znaczeniu, jeden z tych, którzy nie ugięli nigdy kolan przed Bonapartem, choć on nęcił ich do tego — prawdziwie godny, dzielny i światły człowiek. Żył cicho, pracując wiele i ciesząc się wielkimi sympatjami tak w życiu publicznym, jak prywatnym. Utrzymywał stosunki z wielu wodzami stronnictwa liberalnego i w domu jego poznałem różne znane osobistości, z pośród których miło mi wspomnieć Saint - Simona, wówczas jeszcze nie założyciela szkoły filozoficznej i religij i uważanego jedynie za zdolnego oryginała.²⁾ Główną korzyścią, jaką wyniosłem

¹⁾ Jan Baptysta Say (1767 — 1832) był we Francji pierwszym wykładowcą ekonomji politycznej. Zasluga jego polega głównie na przejrzywym układzie i popularyzacji doktryny liberalizmu ekonomicznego.

²⁾ Hrabia Klaudjusz Henryk de Saint - Simon (1760 — 1825) był jednym z utopistów - prekursorów nowoczesnego socjalizmu. Wychodził z zasady (dziś wyglądającej blado, ale wówczas rewolucyjnej), że „wszystkie urządzenia społeczne winny mieć za cel poprawę bytu moralnego, umysłowego i fizycznego klasy najliczniejszej i najuboższej”. Podkreślając nieustannie znaczenie pracy, domagał się, by państwem zarządzili ludzie przodujący w nauce i na polu przemysłu. Gdy wybuchła wielka rewolucja, rzekł się tytułu hrabiowskiego, występował jako „obywatel Simon”, później zdobył z powrotem majątek, który mu zabrała rewolucja, a zarazem powrócił do tytułu rodowego, żył rozrzutnie, ale i dobroczynnie, znów stracił wszystko, co miał, nie

z tego towarzystwa, było silne i trwałe zainteresowanie się liberalizmem kontynentalnym, którego rozwój obserwowałem odtąd tak samo, jak wydarzenia w polityce angielskiej. Była to rzecz całkiem w owym czasie u Anglików niezwykła, wpływająca bardzo zbawiennie na mój rozwój, bo nie pozwalała mi popaść w błędy, które popełnia się zawsze w Anglii i od których nie był wolny mój ojciec nawet, przy całej swej wyższości ponad przesady — że mianowicie sądzi się o sprawach całego świata na podstawie poglądów czysto angielskich. W lipcu 1821-go roku powróciłem do Anglii i edukacja moja poszła na nowo dawnym trybem.

ROZDZIAŁ III.

OSTATNI OKRES WYCHOWANIA I POCZĄTKI SAMODZIELNYCH STUDJÓW.

Przez rok czy dwa po powrocie z Francji uczyłem się po dawnemu, z dodatkiem kilku nowych przedmiotów nauki. Gdy przyjechałem, ojciec wykończył właśnie do druku swe „Zasady ekonomji politycznej” i kazał mi na rękopisie doko-

tracąc jedynie nigdy pędu do rzucania wszelkiego rodzaju projektów poprawy stosunków społecznych. W czasie kongresu wiedeńskiego ogłosił broszurę, w której wzywał parlament francuski i angielski, by podjęły ideę zreorganizowania społeczeństwa europejskiego na tej podstawie, że „wszystkie narody europejskie, zachowując własne rządy parlamentarne, uznają przewagę parlamentu ogólnego ustanowionego ponad wszystkimi rządami narodowymi i wyposażonego we władzę rozsądzania sporów pomiędzy niemi”. Nic dziwnego, że z takimi poglądami na sto lat przed Ligą Narodów Saint - Simon mógł uchodzić za „zdolnego oryginała”.

nywać ćwiczeń, które Bentham praktykował na wszystkich swych dziełach: chodziło o wypisywanie na marginesie krótkich streszczeń każdego ustępu, które ułatwiały potem osądzanie (i poprawianie) porządku myślowego i ogólnego charakteru wykładu.

Tej zimy lub następnej czytałem po raz pierwszy historję Rewolucji Francuskiej. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że zasady demokratyczne, które podówczas wszędzie w Europie znaczyły tak beznadziejnie mało, przed trzydziestu laty we Francji wzięły były górę nad wszystkim i były treścią wiary całego narodu. Widać z tego, że miałem poprzednio bardzo słabe pojęcie o tem wielkiem wstrząśnieniu. Wiedziałem jedynie, że Francuzi zburzyli absolutną monarchję Ludwika XIV i XV, posłali na szafot króla i królową, zgilotynowali wiele osób, z których jedną był Lavoisier, i wkońcu ulegli despotyzmowi Bonapartego. Odtąd temat ten zajmował olbrzymie miejsce w mych myślach, łączył się bowiem z wszystkimi memi młodzieńczemi aspiracjami do godności rycerza demokratyzmu. To co zdarzyło się tak niedawno, mogło przecież łatwo przydarzyć się znowu: a najwyższą chwałą, jaką mogłem sobie wyobrazić, było figurowanie z powodzeniem lub bez powodzenia, w roli żyrondisty w konwencie angielskim.

W czasie zimy 1821/22 p. John Austin, z którym ojciec zapoznał się podczas mego pobytu we Francji, zgodził się uprzejmie na udzielanie mi nauki prawa rzymskiego ¹⁾). Ojciec,

¹⁾ Jan Austin (1790 — 1859) był znakomitym profesorem prawa, świetnym analitykiem. O trwałej wartości jego nauki świadczy okoliczność, że jego „Wykłady nauki prawa” ukazały się w siódmem wydaniu w r. 1911-ym. „John Austin — pisał Guizot — był jednym z najwybitniejszych ludzi, jednym z najrzadszych umysłów i jednym z najszlachetniejszych serc, jakie znałem”.

choć czuł odrazę do chaosu barbaryzmów, nazwanego „prawem angielskiem”, myślał dla mnie o zawodzie adwokackim, jako o tym, który naogół przedstawiał mniejsze niekorzyści, niż inny. Owóż lekcje u p. Austina, który przyswoił sobie najlepsze myśli Benthama i sam rozwinął je dalej, były nie tylko cennym wprowadzeniem do nauk prawnych, ale także ważną częścią mego ogólnego wykształcenia.

W owym to czasie, gdy zaczynałem uczyć się prawa, ojciec zapoznał mię z głównymi rozważaniami Benthama, w interpretacji sporządzonej dla kontynentu, a w istocie dla całego świata, przez Dumonta w dziele *Traité de Législation*. Książka ta stanowiła epokę w mem życiu, jeden z punktów zwrotnych w dziejach mego rozwoju umysłowego.

Już moje poprzednie wykształcenie było w pewnym sensie kursem benthamizmu. Zawsze uczono mię przykładąć do wszystkiego benthamowską miarę „największej szczęśliwości”, znałem też dyskusję na jej temat, zawartą w nieogłoszonym „Dialogu o Rządzie”, który ojciec mój napisał na wzór dialogów platońskich. Mimo to zaraz z pierwszych stron Benthama wrażenie trysnęło na mnie z całą siłą nowości. Uderzył mię zwłaszcza rozdział, w którym Bentham rozprawił się z rozpowszechnionym w etyce i nauce prawa sposobem rozumowania, opartym o frazesy w rodzaju „prawa natury”, „słuszności”, „zmysłu moralnego”, „naturalnej prawości” i t. p., i charakteryzował go jako zakapturzony dogmatyzm, przy pomocy którego pisarze narzucają czytelnikowi własne uczucia, przybrane w brzmiące słowa. Nie zwróciłem przedtem uwagi, że zasada Benthama kładła kres temu wszystkiemu. Teraz spłynęło na mnie uczucie, że wszyscy poprzedni moraliści byli pokonani i że odtąd zaczyna się nowa era myślenia. Gdy zamknąłem ostatni tom *Traité*, byłem inną istotą. Zasada użyteczności, pojęta tak, jak ją Bentham pojmował — i zastosowana w ten sposób, w jaki stosowano ją w tych

trzech tomach — stała się kluczem sklepienia ponad poszczególnymi częściami składowymi mej wiedzy i wiary. Nadała ona jednolitość mym pojęciom o rzeczach. Posiadałem teraz zwarte zapatrywania, miałem doktrynę, filozofję i wiarę, której propagandę można było uczynić głównym celem zewnętrznego życia.

Potem czytywałem od czasu do czasu inne z ważniejszych dzieł Benthama, opublikowane już to przez niego samego, już też w opracowaniu Dumonta. Była to moja prywatna lektura, podczas gdy pod kierunkiem ojca studjowałem wyższe działy psychologii analitycznej. Czytałem więc Locke'a „Szkic o umyśle ludzkim” i wypisywałem dokładne streszczenia każdego rozdziału z nasuwającymi się mi uwagami; poczem odczytywałem to ojcu i przedyskutowywałem z nim szczegółowo. W ten sam sposób spreparowałem dzieło Helvetiusa „O duchu”, które czytałem z własnej woli. To streszczanie pod okiem cenzorskim ojca było bardzo pożyteczne, bo zmuszało mię do ścisłego ujmowania i wyrażania doktryn psychologicznych, bez względu na to, czy je przyjmowałem jako prawdę, czy też uważałem tylko za cudze poglądy. W tym to czasie ojciec zaczął pisać swój „Rozbiór umysłu”. Miał on swobodną głowę do tego dzieła jedynie w czasie swego dorocznego urlopu, który trwał od czterech do sześciu tygodni: zaczął je w lecie 1822-go i pracował nad niem przez szereg wakacyj do r. 1829-go, roku ogłoszenia go drukiem, i pozwalał mi czytać rękopis w miarę narastania. Z innych głównych pisarzy angielskich z dziedziny psychologii czytałem Berkeley'a, Hume'a, Reida, Stewarta i Browna.

Odtąd moje zajęcia umysłowe zaczęły polegać więcej na pisaniu, niż na czytaniu. W lecie r. 1822-go napisałem

swoją pierwszą rozprawę dyskusyjną. Mało ją sobie przypominam — poza tem, że atakowałem w niej to, co uważałem za przesadę arystokratyczny, wedle którego bogaci mają lub mogą mieć wyższe zalety moralne, niż biedni. Była to praca czysto dialektyczna, bez żadnej deklamacji, choć temat mógł ją podsuwać młodemu pisarzowi, bo w tej dziedzinie byłem i pozostałem bardzo nieudolny. Sucha argumentacja, to była jedyna rzecz, na którą mogłem się zdobyć i o którą się kusiłem; choć biernie poddawałem się łatwo oddziaływaniu wszelkiego rodzaju stylu poetyckiego czy krasomówczego, zwracającego się do uczuć poprzez rozum. Ojciec, któremu pokazałem rozprawę dopiero po jej wykończeniu, był z niej zadowolony, a nawet, jak mi powiedziano, sprawiła mu przyjemność; ale prawdopodobnie pragnąc, abym rozwijał w sobie nie tylko zdolności do czysto logicznego rozumowania, radził mi w przyszłości ćwiczyć się w układaniu mów. Wobec tego korzystając ze swej znajomości świata greckiego i mówców ateńskich, napisałem dwie mowy, jedną oskarżającą, a drugą broniącą Peryklesa przed zarzutem, że nie wyruszył do walki z Lacedemończykami, gdy ci napadli na Attykę. Potem pisywałem w dalszym ciągu wypracowania na tematy znacznie przekraczające moje zdolności, przyniosły mi one jednak wielką korzyść dzięki wprawie, której przez to nabierałem i dzięki dyskusjom z ojcem, które się stąd wywijały.

Zacząłem też w owym czasie prowadzić rozmowy na ogólne tematy z wykształconymi ludźmi, z którymi się coraz częściej stykałem. Dwaj przyjaciele mego ojca, do których zbliżyłem się najbardziej, byli to p. Grote i p. Jan Austin. Znajomość ich obu z ojcem była niedawna, lecz szybko przeszła w zażyłość. P. Grote miał około 25 lat, kiedy p. Ricardo przedstawił go ojcu, i usilnie starał się przebywać w jego to-

warzystwie¹⁾). Odwiedzałem go często i z rozmów z nim o rzeczach polityki, etyki i filozofii, miałem nietylko korzyść praktyczną, ale i przyjemność przyjaznego obcowania z człowiekiem wysokich wartości umysłowych i moralnych, których dowiódł potem życiem swem i pismami. P. Austin, starszy od Grote'a o cztery czy pięć lat, był najstarszym synem młynarza, który wzbogacił się na dostawach podczas wojny i — sądząc po synach, wszystkich nieprzeciętnie zdolnych i nienagannego charakteru — musiał być człowiekiem niepospolitej wartości. Jeden z tych synów, ten, o którym właśnie mowa i który wslawił się dziełami prawniczymi, służył jakiś czas w wojsku. Wyszedłszy z armji, przygotowywał się do adwokatury. Nie był on bynajmniej, jak p. Grote, uczniem mego ojca, ale własną drogą doszedł do podobnych przekonań w bardzo wielu kwestjach. Był to człowiek o zdecydowanej indywidualności i wielkich zdolnościach duchowych, które okazywał w całej pełni w rozmowie — taka mianowicie była siła i bogactwo w jego wyśłowieniu, gdy podniecony dyskusją bronił swych poglądów, i tak widoczna była jego nietylko silna, lecz także rozważna i skupiona wola. Mimo te swoje zalety nie dokonał jednak wielkich dzieł. Miał tak wysokie pojęcie o tem, co należy zrobić, a tak przesadne mniemanie o swych własnych brakach, że nietylko psuł wiele swych prac przez to, że je przeładowywał, ale poświęcał tyle czasu i wysiłków na zbyteczne studia i rozważania, że gdy praca winna była być na ukończeniu, wpadał zazwyczaj z przemęczenia w chorobę, doprowadziwszy przedsięwzięcie zaledwie do połowy. Wskutek tego owoc pracy całego jego życia był mały w porównaniu z tem, co mógł stworzyć. Ale co stworzył,

¹⁾ Jerzy Grote (1794 — 1871) znany jest głównie jako historyk Grecji. Pochowany w kościele Westminster Abbey, wśród mężów najzasłużeńszych.

to najkompetentniejsi sędziowie cenią niesłuchanie wysoko ¹⁾, mógłby też być powoływać się na to, że dla wielu ludzi rozmowa z nim była nie tylko źródłem wiedzy, ale i czynnikiem kształcenia charakteru. Na mnie miał wpływ niezmiernie korzystny, wpływ w najlepszym znaczeniu moralny. Interesował się mną szczerze i z dobrocią, znacznie więcej, niż można było spodziewać się w stosunku do młodzika po człowieku starszym i do tego z natury surowym.

Młodszy jego brat, Karol Austin, z którym w owym czasie spotykałem się często, miał również wielki na mnie wpływ, choć bardzo odmienny. Był on o kilka tylko lat starszy ode mnie i właśnie wówczas skończył uniwersytet w Cambridge, na którym zabłysnął bystrością umysłu i zdolnościami krasomówczymi. Przez niego zapoznałem się z Macaulay'em i wielu innymi, którzy potem wsławili się w literaturze i polityce i w których otoczeniu przysłuchiwałem się dyskusjom na różne, częściowo nowe dla mnie tematy ²⁾. Wpływ młodszego Austina na mnie, tem różnił się od wpływu innych osób, o których wspominałem, że było to oddziaływanie starszego rówieśnika, a nie dojrzałego człowieka na chłopca. Dzięki niemu to poczułem się pierwszy raz nie jak uczeń przed nauczycielami, lecz jak mężczyzna między mężczyznami. Karol Austin wywierał na wszystkich wrażenie bezgranicznej siły i zdolności, które w połączeniu z tak oczywistą stanowczością woli i charakteru mogły mu — zdawało się — zdobyć pano-

¹⁾ Ob. przyp. na str. 66.

²⁾ Z Karolem Austinem przydarzyło się, co często dzieje się z przedwcześnie wybujałymi młodzieńcami: rozplynął się w przeciętności. Zostawszy adwokatem, dorobił się wprawdzie olbrzymiego majątku, ale w życiu publicznym i intelektualnym swego pokolenia nie odegrał żadnej roli. Gdy umarł w 26 lat po wycofaniu się z kariery adwokackiej, wielu jego dawnych przyjaciół i wielbicieli ze zdziwieniem dowiedziało się, że żył jeszcze do niedawna...

wanie nad światem. Ci, co go znali, — czy byli jego przyjaciółmi, czy nie — sądzili zawsze, że odegra ważną rolę w życiu publicznem. Lubił zadziwiać a nawet zdumiewać. Niepodobny w tem do swego brata, który zwalczał ciasną interpretację i ciasne stosowanie zasad benthamizmu, przedstawiał, przeciwnie, doktrynę tę w jak najjaskrawszej formie, przesadzając wszystko, co mogło drażnić czyjeś mniemanie. Wszystkiego tego bronił z takim zacięciem i żywością i przedstawiał to tak przyjemnie i zarazem tak przekonywująco, że zawsze albo wychodził zwycięsko albo dzielił honory pola ¹⁾).

W zimie r. 1922/23 powziąłem plan założenia małego towarzystwa złożonego z młodych ludzi, zgodnych ze sobą co do pewnych zasad podstawowych — uznających w szczególności użyteczność jako miarę w etyce i polityce — towarzystwo, w któremby zbierano się co dwa tygodnie na dyskusję. Nie wartoby było wspominać o tem, gdyby nie to, że dałem temu towarzystwu miano utylitarystycznego. Nikt przedtem nie przybrał nazwy utylitarysty i z tego skromnego źródła trafiło słowo to do języka potocznego. Nie ja je wymyśliłem: znalazłem je w pewnej noweli. Ze zwykłem u mło-

¹⁾ Jak interesujące mogły być te dysputy, świadczy następująca scena opisana przez biografa wielkiego historyka angielskiego Macaulay'a. W szereg lat po opuszczeniu uniwersytetu w Cambridge Karol Austin i Macaulay, którzy obaj byli gwiazdami w tamtejszym świecie studenckim, spotkali się w posiadłości wspólnego przyjaciela, prowadzącego wielki dom. Przy śniadaniu wyniknął między Austinem a Macaulay'em spór co do pewnego zagadnienia naukowego. „Gdy skończono jeść, ustawili sobie krzesła po obu stronach kominka i rozmawiali z sobą poprzez leżącą przed kominkiem rogożkę, jak za dawnych czasów uniwersyteckich. Całe towarzystwo, panie, artyści, politycy i zwykli pieczeniarze, tworzyło milczący krąg dokoła obu wychowanków Cambridge'u i — z krótką przerwą na obiad — nie ruszało się z miejsca, póki dzwonek nie ostrzegł, że czas ubierać się do kolacji”.

dzieży upodobaniem do hasel sztandarowych pochwyciłem to słowo i przez kilka lat nazywałem siebie i innych tem mianem sekciarskiem.

Ponieważ poglądy, które wyznawaliśmy, poczęły zwracać uwagę, powtarzali to określenie obcy i przeciwnicy, tak iż weszło ono w powszechne użycie wtedy właśnie, gdy ci, którzy je pierwsi przyjęli, odrzucili je wraz z innymi cechami sekciarstwa. Towarzystwo nasze składało się początkowo zaledwie z trzech członków, z których jeden, będąc sekretarzem Bentham'a, uzyskał pozwolenie na odbywanie naszych zebrań w jego domu. Zdaje się, że liczba członków nie doszła nigdy do dziesięciu, istniało zaś to towarzystwo około trzech i pół lat. Co do mnie, głównem jego znaczeniem — poza tem, że mogłem tam wprawiać się w przemawianiu — była okoliczność, że zetknąłem się z kilku młodymi ludźmi, którzy podówczas byli znacznie mniej zaawansowani, niż ja, których zatem przez jakiś czas byłem przywódcą, wpływając znacznie na ich rozwój umysłowy.

W maju 1823-go r. ojciec mój zdecydował o mem zajęciu zawodowem i stanowisku na przeciąg najbliższych trzydziestu pięciu lat, uzyskując dla mnie posadę w Kompanji dla Indyj Wschodnich, w biurze korespondencji z Indjami, bezpośrednio pod sobą. Przyjęto mię zwykłym trybem na najniższe stanowisko służbowe — z tem, że z początku przynajmniej będę posuwał się naprzód wedle starszeństwa; ale rozumiało się, że odrazu będę użyty do opracowywania projektów pism i w ten sposób będę przygotowywał się do objęcia wyższych stanowisk. Projekty moje wymagały, oczywiście, przez pewien czas wielu poprawek, ale wkrótce zapoznałem się dobrze ze swemi czynnościami i potrafiłem w ciągu kilku lat stać się głównym korespondentem w jednym z najważniejszych oddziałów. Trwało to aż do mego zamianowania kierownikiem biura, na dwa zaledwie lata przed cza-

sem, kiedy zwinięcie Kompanji, jako ciała politycznego, spowodowało moje ustąpienie. Nie znam wśród dzisiejszych zajęć zarobkowych żadnego, któreby lepiej, niż to moje ówczesne, nadawało się dla kogoś, kto nie będąc niezależny majątkowo, pragnąłby część dnia poświęcać prywatnym studjom. Pisania artykułów dziennikarskich nie można zalecać temu, kto ma kwalifikacje do dokonania czegoś w literaturze lub nauce: nietylko ze względu na niepewność tego rodzaju zarobkowania, dla pisarza zwłaszcza, który ma sumienie i nie chce służyć innym poglądom, niż tylko swoim — ale także dlatego, że rzeczy, z których pisania można żyć, nie są rzeczami, które same żyją i nigdy pisarz nie daje w nich tego, co jest w nim najlepsze. Książki, które mają kształtować przyszłych myślicieli, pisze się zbyt długo, a gdy są napisane, zdobywają sobie naogół zbyt małą wziętość, aby można było polegać na nich, jako na środkach utrzymania. Kto żyje z pióra, musi spełniać literacką czarną robotę, która zazwyczaj zajmuje tyle czasu, że dla własnych prac pozostaje mniej swobody, niż przy zajęciach biurowych, a działa to też na umysł znacznie bardziej denerwująco i męcząco.

Osobiście zawsze odczuwałem obowiązki biurowe jako wypoczynek po innych zajęciach umysłowych, którym oddawałem się równocześnie. Obowiązki te wymagały dość nęczenia inteligencji, aby nie stawać się przykrą robotą mechaniczną, ale przecież nie tyle, aby męczyć umysł człowieka, przyzwyczajonego do myślenia oderwanego i do starannych opracowań literackich. Zajęcie to jednak, jak wszystkie zajęcia, miało i przykre strony. Mało mi zależało na utracie możliwości zdobycia majątku i zaszczytów, nastroczających się w niektórych zawodach, a zwłaszcza w adwokaturze, o której, jak już powiedziałem, myślano dla mnie. Nie było mi natomiast obojętne wykluczenie z parlamentu i z życia publicznego. Odczuwałem też silnie bardziej bezpośrednią przykrość zamknię-

cia w Londynie: urlop, który wyznaczała Kompanja, nie przekraczał czterech tygodni w roku, a ja tymczasem miałem wielki pociąg do życia na wsi i pobyt mój we Francji wzbudził we mnie silne zamiłowanie do podróży. Choć jednak nie mogłem folgować tym chęciom, nigdy nie poświęcałem ich całkowicie. Przez cały rok spędzałem niedziele przeważnie na wsi, gdy zaś pozostawałem w Londynie, urządzałem sobie w tym dniu długie przechadzki za miasto. Urlop miesięczny spędzałem przez kilka lat na wsi u ojca; potem część czasu schodziła na pieszych wędrówkach z kimś z moich przyjaciół; później jeszcze odbywałem dalsze podróże, sam lub z przyjaciółmi. Na Francję, Belgię i Nadrenję wystarczał czas corocznych wakacyj, gdy zaś dwukrotnie z rozkazu lekarzy uzyskałem dłuższy urlop, zwiedziłem Szwajcarję, Tyrol i Włochy. Na szczęście obie te podróże wypadły dość wcześnie, aby dać mi korzyść i urok wspomnień na długi okres czasu.

Jak słusznie ktoś zauważył, fakt, że na swem stanowisku urzędowem miałem sposobność zaznajomienia się bezpośrednio z praktyką prowadzenia spraw publicznych, był bardzo cenny dla mej pracy w charakterze krytyka sądów i urządzeń mego czasu. Nie powiem, aby przygotowywanie na papierze postanowień, mających wejść w życie na drugiej półkuli, dawało samo przez się dużo znajomości życia. Ale zajęcie to przyzwyczajało mię do dostrzegania trudności wszelkich rozstrzygnięć i do wynajdywania środków, mogących je usunąć. Dawało mi następnie sposobność obserwowania, jak i dlaczego pewne środki nie wywołują oczekiwanych skutków. Przedewszystkiem zaś było ono cenne przez to, że czyniło mię kółkiem w maszynierji, która działała na zasadzie solidarności. Jako pisarz oddający się spekulacjom filozoficznym, nie potrzebowałem zwracać uwagi na nikogo i we własnych rozumowaniach nie byłbym natknął się na przeszkody, które nasuwają się przy praktycznem zastosowaniu

oderwanych pomysłów. Ale jako prowadzący korespondencję polityczną, nie mogłem wydać polecenia lub wyrazić opinii, nie przekonawszy różnych osób, bardzo ode mnie odmiennych, że rzecz była możliwa do zrobienia. Przyzwyczajało mi to do ubierania myśli w formę najłatwiej wpajającą je w umysły nieprzygotowane; równocześnie zaś zaznajamiałem się z trudnościami poruszania zbiorowościami ludzkimi, z koniecznością kompromisu i sztuką poświęcania rzeczy nieistotnych dla istotnych. Uczylem się, jak uzyskiwać najwięcej, co można, gdy nie można uzyskać wszystkiego: uczyłem się nie oburzać i nie zniechęcać, gdy nie mogłem całkowicie postawić na swoim, a natomiast być zadowolonym, gdy udało mi się przeprowadzić choćby najdrobniejszą część swych chęci, a jeśli i to się nie powiodło — znosić z zupełną równowagą ducha, że mię przegłosowano.

ROZDZIAŁ IV.

MŁODZIENCZA PROPAGANDA.

THE WESTMINSTER REVIEW.

Choć musiałem tak wiele czasu poświęcać zajęciom biurowym, nie zaniedbywałem własnych zajęć, owszem oddawałem się im z wielką energią. W owym to czasie zacząłem pisywać do prasy: czasem notatki o książkach, częściej artykułiki o jakimś nonsensie wypowiedzianym w parlamencie lub o jakiejś usterce prawa, albo o błędzie, popełnionym przez urzędy lub sądy. Co do usterek prawodawstwa i sądownictwa, to wyjąwszy Bentham'a i ojca mego, nikt do owego czasu nie wyrzekł był słowa przeciw tej najślabszej

stronie urządzeń angielskich. Było to powszechną niemal wiarą Anglików, że prawa angielskie, że sądownictwo angielskie, nieopłacani sędziowie angielscy — to wzory doskonałości. Nie przesadzę, twierdząc, że po Benthamie, który dostarczył głównych materiałów, największą zasługę w niszczeniu tego niemądrego przesądu miał Jan Black, wydawca *Morning Chronicle*, gazety, do której pisywałem. Był to człowiek ogromnie czytany, doskonale poinformowany, wielkiej uczciwości i prostoty umysłu. Otworzył on nieustający ogień na ów przesąd, przedstawiając absurdalność i błędy ustawodawstwa i sądownictwa, aż wreszcie wpoił do pewnego stopnia w umysły ludzkie odczuwanie fatalnego stanu. Co do różnych innych jeszcze kwestyj stał się wyrazicielem opinii, które znacznie wyprzedzały mniemania, wypowiedane normalnie w dziennikach. Black bywał często u mego ojca i p. Grote mawiał, że po rannym artykule poniedziałkowym poznaje zawsze, czy p. Black spotkał się z mym ojcem w niedzielę. Black był jednym z najważniejszych z pośród wielu kanałów, przez które opinie ojca oddziaływały na zewnątrz i czyniły zeń taką potęgę w kraju, jaką rzadko kiedy zdołał uzyskać prywatny człowiek — i to jedynie dzięki sile umysłu i charakteru; była to zaś potęga, która działała często najskuteczniej tam, gdzie najmniej była widoczna i gdzie najmniej podejrzewano jej istnienie.

Zaznaczyłem już, jak wiele z tego, co zdziałali Ricardo, Hume i Grote, było po części wynikiem jego zachęt i jego perswazji. Broughamowi był dobrym duchem we wszystkim, co tamten zdziałał na polu pedagogji, reformy prawa, czy innych zagadnień¹⁾. A zbyt liczne są pomniejsze stru-

¹⁾ Henryk Brougham (1778 — 1868) wyrósł na dziennikarstwie i adwokaturze na wysokie stanowiska publiczne. Człowiek niezmiernie ruchliwy, był przez długie lata jedną z czołowych figur w angielskim życiu politycznem.

mienie, któremi toczył się jego wpływ, by je tu wyliczać. Ten wpływ miał teraz rozszerzyć się znacznie przez założenie *The Westminster Review*.

Potrzeba organu radykalnego, któryby przeciwstawiał się dwom czasopismom *The Edinburgh Review* i *The Quarterly Review*, stojącym wówczas u szczytu sławy i wpływów, była od wielu lat przedmiotem rozmów mego ojca z Benthamem; układali sobie, że ojciec będzie redaktorem, ale myśl ta nie oblokła się nigdy w realne kształty. Wreszcie w roku 1823-im p. Bentham postanowił zacząć wydawać pismo swoim kosztem i ofiarował stanowisko redaktora memu ojcu, który jednak odmówił ze względu na swoje zajęcie urzędowe. Powierzono więc redakcję p. Bowringowi, który wówczas był kupcem w City, a posiadając wiele zalet osobistych, będąc gorącym wielbicielem Benthama i utrzymując żywą korespondencję z liberałami wszystkich krajów, mógł nadawać się doskonale do rozprzestrzeniania sławy i doktryn Benthama po całym świecie. Ojciec mój mało stykał się z Bowringiem, ale wiedział o nim dość, by wyrobić sobie mniemanie, że był to człowiek całkowicie innego typu, niż ten, któregooby uważał za właściwego na stanowisku redaktora pisma politycznego i filozoficznego. To też nie dobrze wróżył przedsięwzięciu i żałował Benthama, że nie tylko on sam straci pieniądze, ale że prawdopodobnie pismo zdyskredytuje zasady radykalne. Nie mógł jednakże opuścić p. Benthama i przyrzekł napisać artykuł do pierwszego zeszytu. Miała to być ogólna krytyka *The Edinburgh Review* od początku jej ukazywania się, ojciec polecił mi więc przeglądnąć wszystkie roczniki tego pisma i wynotować artykuły interesujące ze względu na swe zalety lub wady. Ta rozprawa mego ojca była główną przyczyną sensacji, którą wywołało ukazanie się *The Westminster Review*, jest to bowiem tak w pomyśle, jak i w wykonaniu, jedna z jego prac, wywierających najsilniejsze wrażenie. Tak potężnego

ataku na stronnictwo i politykę whigów nie widziano nigdy przedtem; nie sądzę też, iżby poza moim ojcem, ktokolwiek z żyjących wówczas, był zdolny do napisania tego artykułu ¹⁾).

Ani ojciec mój ani większa część tych, którzy potem pomagali pismu, nie spodziewali się niczego dobrego, gdy w kwietniu r. 1824-go ukazał się pierwszy zeszyt i zgotował nam miłą niespodziankę. Przeciętna wartość artykułów była wyższa, niż oczekiwaliśmy i jak na pierwszy numer sprzedaż szła nadzwyczajnie. Wobec tego ojciec w dalszym ciągu pisywał artykuły; napisał też raz p. Austin, raz również p. Grote, pisywali moi towarzysze, a ja sam dostarczyłem trzynastu artykułów. Od czasu do czasu ukazywały się dobre artykuły innych znajomych ojca i moich. Na ogół jednak pismo nie zadowalało nikogo z tych, którym zasady radykalne leżały istotnie na sercu. Nie było niemal numeru, któryby nie zawierał kilku rzeczy bardzo nas rażących już to ze względu na wypowiedziane opinie, już też ze względu na dobry smak lub poprostu przez nieudolność. My, młodzi, powtarzaliśmy z przesadą niekorzystne sądy, które wyrażali ojciec mój, Grote, dwaj Austini i inni; z młodzieńczej gorliwości utrudnialiśmy bardzo życie obu wydawcom. Nie wątpię, że zarzuty nasze co najmniej równie często były niesprawiedliwe, jak słuszne i jestem pewny, że gdyby pismo prowadzono zgodnie z poglądami nas

¹⁾ W owym czasie różnica pomiędzy dwoma odwiecznymi stronnictwami — torysów i whigów — była już mocno zatarta. Chodziło jedynie o odcienie: torysi upatrywali źródło władzy we własnym prawie korony, whigowie zaś (pamiętający obalenie Stuartów) w woli parlamentu; w praktyce jednak oba stronnictwa były za silną władzą centralną i oba nie gardziły korupcją polityczną. Radykali uważali nawet whigów za gorszych, gdyż — zdaniem ich — torysom można było przyznać szczerą w reakcyjności, podczas gdy whigowie łudzili pozorami liberalizmu i proponowali półśrodki, przedłużające jedynie zły stan rzeczy.

młodych, nie byłoby lepsze, a nawet może nie byłoby tak dobre.

Bądź co bądź pismo narobiło hałasu. Był to czas znany jako epoka wzrostu liberalizmu. Minęły obawy i rozdrażnienia, związane z wojną z Francją, ludzie zaczęli znów myśleć o polityce i fala opinii parła ku reformom. Odnowienie się na kontynencie ucisku wywieranego przez stare rody panujące, jawne poparcie przez rząd angielski sprzysiężenia przeciw wolności, zwanego Św. Przymierzem, a także olbrzymi wzrost długu państwowego i opodatkowania po tak długiej i kosztownej wojnie — wszystko to wywołało wielką niepopularność rządu i parlamentu. Radykalizm pod wodzą Burdett'ów i Cobbett'ów¹⁾ tak wzmógł się na znaczeniu, że sfery urzędowe zaniepokoiły się poważnie. Coraz to w innej stronie budził się duch opozycji przeciw różnym nadużyciom. Wytrwała krytyka wydatków publicznych, jakiej dokonywał p. Hume, poczęła silnie oddziaływać na opinię publiczną i wymusiła wiele pomniejszych oszczędności na niechętnym rządzie. Ekonomia polityczna zdobyła sobie mocną pozycję w dziedzinie spraw publicznych, dzięki petycji kupców londyńskich o wolny handel i dzięki szlachetnym wysiłkom Ricarda w ciągu kilku lat jego żywota parlamentarnego. Zaczęło się też stopniowo burzenie systemu protekcyjnego, którego ostatnie ślady usunął dopiero Gladstone w r. 1860-ym.

¹⁾ Sir Francis Burdett był jednym z tych rodowitych arystokratów angielskich, których duch przekory skłaniał — i skłania do dziś dzień — do wstępowania, wbrew wszelkich tradycjom, do stronnictw skrajnie lewicowych, gdzie powaga ich nazwiska i pomoc pieniężna, jaką przynoszą, są bardzo pożądanym sukursem. William Cobbett natomiast był typem agitatora z calizny ludowej — namiętnym orędownikiem reform radykalnych, przytem świetnym dziennikarzem, redaktorem i wydawcą słynnego „*Political Register*”.

Nic dziwnego, że w tym czasie, kiedy liberalizm stawał się hasłem dnia, gdy u góry prawiono o potrzebie poprawy urządzeń, a od dołu domagano się głośno zupełnej zmiany ustroju parlamentu, nic dziwnego, że w tym czasie zwracało na siebie uwagę regularne pojawianie się głosu jakgdyby nowej szkoły pisarzy, którzy uważali się za prawodawców i teoretyków tych nowych tendencji. Siła przekonania, z jaką pisali w czasie, gdy rzadko kto miał równie silną wiarę w ściśle określoną teorię; zuchwałość, z jaką wyruszali w pole przeciw obu istniejącym stronnictwom politycznym; ich otwarte i bezkompromisowe zwalczanie wielu powszechnie przyjętych pojęć, budzące podejrzenia, że w cichości ducha wyznają poglądy jeszcze bardziej rażące, niż te, do których się jawnie przyznają; talent i werwa, przebijające się przynajmniej w artykułach mojego ojca, i pojawianie się za nim orszaku wystarczącego do wypełniania pisma; wreszcie fakt, że pismo kupowano i czytano — wszystko to sprawiało, że t. zw. szkoła Bentham'a zajęła w myśleniu filozoficznym i politycznym więcej miejsca, niż go miała dotąd i niż go miała później, gdy inne równie poważne szkoły powstały w Anglii.

Ta rzekoma szkoła nie istniała inaczej, jak tylko w ten sposób, że ojciec mój skupiał dokoła siebie pewną ilość młodych ludzi, którzy w większej lub mniejszej mierze przejmowali od niego zdecydowane sądy filozoficzne i polityczne. Mniemanie, że Bentham był otoczony gromadą uczniów, którzy z ust jego brali opinie, jest bajką. Bentham oddziaływał swymi dziełami, i to szerzej i głębiej, niż mój ojciec. Ma on znacznie większe imię w historii. Ale ojciec wywierał daleko większy urok osobisty. Dowodzenia jego były tak mocne i pouczające, że poszukiwano z nim rozmowy i w ten sposób opinie jego rozchodziły się szeroko. Nie znałem człowieka, któryby tak potrafił posługiwać się w ustnej dyskusji swymi najlepszymi myślami. Doskonałe opanowanie wielkiego wykształ-

cenia, gładkość i wyrazistość wyślowienia, wreszcie powaga i siła wykładu czyniły ojca jednym z najbardziej przekonywających rozmówców; a miał też zawsze w zanadrzu mnóstwo dykteryjek, sam śmiał się serdecznie i z ludźmi, których lubił, był ożywionym, wesołym towarzyszem. Siła jego zasadzała się zresztą nie tylko, a nawet nie głównie, na rozsiewaniu poglądów, lecz objawiała się jeszcze więcej dzięki zalecie, której niezwykłą rzadkość nauczyłem się potem dopiero cenić w całej pełni: objawiała się mianowicie w wyczuleniu zmysłu spraw publicznych, w zwracaniu uwagi przedewszystkiem na dobro całości, co rozgrzewało do życia i pobudzało do działalności każdy załazek podobnej cnoty w każdym, kto zbliżał się do niego; w budzeniu pragnienia jego pochwały, a obawy przed naganą; w podporze moralnej, którą rozmowa z nim i nawet samo jego istnienie stanowiły dla tych, co zmierzali do tego samego celu; wreszcie w dodawaniu otuchy ludziom, upadającym na duchu i w tej silnej wierze, jaką (choć w poszczególnych przypadkach nie miewał złudzeń) odczuwał zawsze co do potęgi rozumu, co do znaczenia ogólnego postępu i co do dobra, które jednostki mogą zdziałać, byleby zdobyły się na rozsądny wysiłek.

Tak to opinie ojca mojego nadawały głównie ton małej grupie młodych ludzi, którzy byli pierwszymi propagatorami tego, co później nazwano „radykalizmem filozoficznym”. Dla ich sposobu myślenia charakterystyczne było połączenie punktu widzenia Benthama ze stanowiskiem nowoczesnej ekonomii i z metafizyką Hartley’a. Zasada ludnościowa Malthus’a¹⁾ była

¹⁾ Tomasz Malthus (1766 — 1834) wychodził z zasady, że podczas gdy ludność mnoży się w postępie geometrycznym, to środków na jej utrzymanie przybywa jedynie w postępie arytmetycznym. Wynika stąd przeludnienie, brak środków egzystencji do dostatecznego podziału pomiędzy wszystkich i coraz większe zubożenie ludu. Jako środek przeciw przeludnieniu, Malthus, który był pastorem, zalecał cnotę czystości, późne zawieranie małżeństw i wstrzemięźliwość.

również łącznikiem pomiędzy nami. Poza tem, w kwestjach polityki odznaczała nas zawsze bezgraniczna wiara w skuteczność dwóch rzeczy: rządów reprezentacyjnych i zupełnej swobody dyskusji. Ojciec mój polegał tak całkowicie na wpływie rozsądnej argumentacji na umysły ludzkie, byleby tylko umożliwić jej do nich dostęp, że uważał, iż osiągnie się wszystko, jeśli nauczy się całą ludzkość czytać, jeśli wszelkie opinie będą dochodziły do niej w słowie lub piśmie i jeżeli będzie ona mogła wybierać przedstawicielstwo, któreby objawiało jej zdanie. Sądził, że parlament, przestawszy reprezentować interes klasowy, będzie miał na celu interes powszechny — uczciwie i rozumnie; bo lud, dostatecznie oświecony, wybierze sobie na ogół dobrych przedstawicieli i pozostawi im daleko idącą swobodę. To też rządy arystokratyczne — rządy kilku osób pod jakąbądź możliwą postacią — były w jego oczach jedyną przeszkodą do urzeczywistnienia takiego zarządzania sprawami publicznymi, przy którym byłby wyzyskany cały zapas inteligencji, istniejącej wśród danej ludności. Rządy takie odrzucał przeto jak najbardziej stanowczo i demokratyczne prawo wyborcze było głównym artykułem jego wiary politycznej — nie na zasadzie hasła wolności, praw człowieka czy jakiego innego frazesu, którym doówczas zwykle broniono demokracji, lecz jako najistotniejszy środek do uzyskania dobrego rządu. W tej kwestji upierał się również tylko przy tem, co wydawało mu się istotą rzeczy, było mu zaś stosunkowo obojętne, czy forma rządów będzie monarchiczna, czy republikańska; gdy tymczasem Bentham uważał instytucję króla jako „jeneralnego deprawatora” za wielce szkodliwą.

Opinie swoje wyznawaliśmy z młodzieńczym fanatyzmem. Chcieliśmy naśladować filozofów francuskich XVIII-go wieku i spodziewaliśmy się, że dokonamy niemniejszych dzieł. A nikt z naszej grupki nie przesadzał w tej dziecinnej ambicji

tak, jak ja. Przyznaję, że tak częsty a mylny obraz benthamisty, jako jedynie maszyny rezonującej, nie był co do mnie, przez dwa lub trzy lata mego życia, całkiem nieprawdziwy. Gorliwa chęć służenia dobru ludzkości była najsilniejszym z mych uczuć i zabarwiała wszystkie inne. Ale w owym czasie była to gorliwość o charakterze intelektualnym: nie tkwiła korzeniami w naturalnej życzliwości dla ludzi, choć uczucie to zajmowało należyte miejsce w mych pojęciach etycznych. Nie łączył się z niem też jakiś wielki entuzjazm dla idealnej szlachetności, na którą w wyobraźni byłem wprowadzie bardzo wrażliwy, ale której pełnemu zrozumieniu brak było wówczas głównej odżywki — kultury poetyckiej — podczas gdy miałem wyrobiony w sobie nadmiar przeciwnych skłonności, do czystej logiki mianowicie i do analizy.

Tak się składało, że wszystkie pojęcia, do których przywiązywaliśmy największą wagę, atakowano wówczas argumentami uczuciowymi. Użyteczności zarzucano, że jest zimną kalkulacją; ekonomji, że jest bez serca; doktrynom malthuzjańskim, że sprzeciwiają się naturalnym uczuciom ludzkości. Odpowiadaliśmy na to zarzutem „sentymentalności”, który wraz z „deklamacją” i „mglistymi ogólnikami” służył nam jako zwykły wyraz potępienia. Choć mieliśmy zazwyczaj słuszość wobec naszych przeciwników, skutek tego był taki, że uprawiania uczuć, (z wyjątkiem uczuć obowiązku publicznego i prywatnego) nie ceniliśmy bardzo wysoko i że zajmowało ono bardzo niewiele miejsca w naszych myślach, a zwłaszcza w moich. Co nam głównie zaprzętało uwagę, to odnosiło się do zreformowania panujących przekonań. Uznając znakomite zalety niesamolubnej życzliwości i umiłowania sprawiedliwości, nie spodziewaliśmy się przecież odrodzenia ludzkości po tych uczuciach, lecz po wpływie wykształconego intelektu, oświecającego egoistyczne popędy. Choć oddziaływanie w tym ostatnim kierunku przez ludzi, któ-

rych samych poruszają szlachetniejsze pobudki, jest niezmiernie ważnym czynnikiem rozwojowym, nie sędzę, iżby ktokolwiek z ówczesnych a żyjących jeszcze dziś benthamistów czy utylitarystów uważał je obecnie za główny środek poprawy ludzkiego postępowania.

Z tego zaniedbywania uczuciowości, tak w teorii jak w praktyce, wpływało, rzecz prosta, niedocenianie poezji i w ogólności wyobraźni, jako czynnika natury ludzkiej. Ale po prawdzie wielu z nas rozczytywało się dużo w poezjach i co tyczy się mnie, (a także mego ojca) należałoby powiedzieć nie, że nie lubiłem poezji, lecz że byłem wobec niej teoretycznie obojętny. Na długi czas zanim rozszerzyłem odpowiednio podstawę swej wiary intelektualnej, uzyskałem niezmiernie cenną kulturę poetycką dzięki najgłębszemu podziwowi dla żywotności i charakterów postaci bohaterskich, zwłaszcza zaś bohaterów filozofji. Ten sam podniosły wpływ, jakiego tylu dobroczyńców ludzkości, jeśli wierzyć własnym ich słowom, doznało przy czytaniu „Żywotów” Plutarcha, wywarł na mnie platoński Życiorys Sokratesa i niektóre nowocześnie biografje, przedewszystkiem Condorceta „Życie Turgota” — książka nadająca się doskonale do wzbudzania entuzjazmu w najlepszym rodzaju, bo zawierająca opis jednego z najrozumniej i najszlachetniej prowadzonych żywotów, wykonany piórem jednego z najrozumnijszych i najszlachetniejszych ludzi. Bohaterska cnota tych głośnych wyznawców sympatycznych mi opinij, wywierała na mnie głębokie wrażenie. To też wracałem wciąż do tych książek, jak inni wracają do ulubionych poetów, gdy pragną wznieść się w wyższe sfery uczuć i myśli.

Jakoś na przełomie 1824-go i 1825-go r. p. Bentham, otrzymawszy swe skrypta „Dowodów sądowych” od p. Dumonta (którego książka oparta o tę pracę ukazała się właśnie wówczas p. t. *Traité des Preuves Judicières*), postanowił ogło-

sić oryginał i umyślił sobie mnie jako tego, który mógłby przygotować rzecz do druku. Chętnie podjąłem się tego zadania, które zajęło mi niemal cały wolny czas przez rok mniej więcej, nie licząc czasu, który spędziłem później, doglądając tłoczenia pięciu grubych tomów. Bentham trzykrotnie w znacznych odstępach czasu zabierał się do tego traktatu, za każdym razem w inny sposób i nie oglądając się na poprzednią redakcję. Owóż zadanie moje polegało na zgęszczeniu tych trzech mas rękopiśmiennych w jedno dzieło. Brałem przy tem za podstawę ostatnią redakcję i wtłaczałem do niej z obu poprzednich to, co zachowało swą wagę. Musiałem też rozplątywać te wtrącone i nawiasowe zdania Benthama, których zawilóść była większa od cierpliwości czytelnika, siłającego się na zrozumienie. P. Bentham życzył sobie następnie, bym próbował sam uzupełnić luki, które pozostawił, na jego więc prośbę przeczytałem najpoważniejsze traktaty o środkach dowodowych w angielskiej procedurze sądowej i przedyskutowałem kilka przepisów z tej dziedziny, które nadały się do zaczepienia, a które uszły uwagi Benthama. Odpowiedziałem też na kilka zarzutów, podniesionych przeciw jego doktrynom przez recenzentów książki Dumonta i dodałem kilka uzupełniających uwag o niektórych bardziej abstrakcyjnych częściach przedmiotu, jak np. o teorii nieprawdopodobieństwa i niemożliwości. Część polemiczna tych dodatków była pisana w tonie bardziej pewnym siebie, niż przystało tak młodemu i niedoświadczonemu autorowi, jakim byłem wówczas; ale nie myślałem nigdy o wysuwaniu własnej osoby, lecz jako bezimienny wydawca Benthama wpadłem w ton swego autora, nie uważając tego za niewłaściwe ani dla niego, ani dla przedmiotu, choć mogło to być niewłaściwe dla mnie. Nazwisko moje jako wydawcy zostało umieszczone na książce już po jej wydrukowaniu, a stało się to na wyraźne życzenie p. Benthama, od którego daremnie usiłowalem go odwieść.

Czas strawiony przy tej pracy wydawniczej był doskonale zużyty dla rozszerzenia mych wiadomości: „Podstawy rozumowe dowodów sądowych” to jedno z najbogatszych w treść dzieł Benthama; zawiera ono, prócz kwestyj bardziej specjalnych, dokładny wykład błędów i braków ówczesnego prawa angielskiego, jako że nie ogranicza się do samego postępowania dowodowego, lecz obejmuje — poprzez ilustrujące epizody — całokształt procedury czy praktyki Westminster Hallu¹⁾. Bezpośrednia korzyść była więc już niemałej wagi,

¹⁾ Westminster Hall—dawna siedziba trybunałów londyńskich. O wyglądzie prawa w epoce Benthama czytamy u jednego z najnowszych autorów (E. Neff'a): „Ogólne prawo angielskie było niezorganizowaną masą starodawnych zwyczajów feodalnych, którą interpretacja sędziowska doprowadzała krętą drogą do jakiegoś takiego podobieństwa zastosowania do zmieniających się warunków społecznych. To też laik nie mógł zrozumieć prawa... Kradzież kieszonkowa już jednego szylinga, fałszerstwo dokumentów, fałszowanie drobnej monety i kradzież kur z ogrodzenia karano równie surowo jak zdradę lub ojcostwo... Zawitości techniczne i srogość prawa karnego osłabiały w znacznej mierze jego skuteczność; przestępca naogół wymykał się dzięki jakiejś furtce w przepisie prawnym, albo dzięki temu, że świadkowie nie chcieli zeznawać, lub sędziowie uznawać winy, skoro uznanie takie pociągało za sobą tak niewspółmierne kary. Chociaż mniej więcej jedna piąta tylko z tych skazańców rzeczywiście ponosiła śmierć, mimo to w jednym tylko więzieniu londyńskim powieszono w ciągu dziesięciu miesięcy 96 ludzi. Prawo cywilne było niemal w równie złym stanie... Adwokaci nie zaniedbywali wykorzystywania okoliczności, które czyniły ich usługi niezbędnymi, i wyciskali olbrzymie honoraria z otumanionych klientów. Drobnostkowa procedura, poprzedzająca uzyskanie przesłuchania; odległość trybunałów; przrzucanie spraw z trybunału do trybunału; szykany przy doręczaniu aktów; częste unieważnianie całego poprzedniego przewodu z powodu jakiejś omyłki formalnej i t. d. — wszystko to składało się na narastanie honorarjów i częste rujnowanie stron, wiodących spór. Rząd pogarszał jeszcze to zło, pobierając opłaty od wszelkich skarg, które w najdrobniejszych nawet sprawach dochodziły do nie mniej niż 24-ch funtów po stronie samego oskarżyciela tylko” (24-y funty = 1.000 zł.).

zyskałem zaś jeszcze coś z tego zajęcia: rozwinęło ono bardzo moje zdolności pisarskie. Cokolwiek pisałem później, było znacznie lepsze od wszystkiego, co napisałem przedtem. Jak wiadomo, w późniejszym wieku Bentham pisał stylem ciężkim i rozwlekłym, a to wskutek nadmiaru zalet i pragnienia ścisłości, które sprawiało, że wtrącał nawias w nawiasie w serce każdego zdania, aby czytelnik uprzytomniał sobie wraz z głównem twierdzeniem odrazu wszystkie ograniczenia i uwypuklenia — tak iż wkońcu czytanie tych zdań stawało się dla nieprzyzwyczajonego niesłychanie nużącym. Natomiast styl jego wcześniejszych prac jest wzorem żywości i łatwości w połączeniu z obfitością materiału; a tego wcześniejszego stylu było wiele świetnych przykładów w rękopisach „Dowodów” i wszystkie starałem się zachować. Ten długi kurs nauki pisarskiej wpłynął znacznie na kształtowanie się mego własnego stylu — tem bardziej, że wczytywałem się usilnie w innych jeszcze pisarzy francuskich i angielskich, którzy łączyli w wysokim stopniu gładkość z siłą, jak np. Goldsmith, Fielding, Pascal, Wolter i Courier. Dzięki tym wpływom styl mój utracił oschłość, widoczną w mych wcześniejszych pracach.

Zajęcia pisarskie nie odwodziły mię od dalszego samokształcenia się. W tym to czasie zacząłem z kilku przyjaciółmi uczyć się po niemiecku. Odtąd przez kilka lat studjowaliśmy razem — z wielką dla mnie korzyścią. Przyszło nam mianowicie na myśl, by przez wspólne czytania i dyskusje studjować różne gałęzie wiedzy, które pragnęliśmy opanować. Było nas około dwunastu, p. Grote użyczył nam pokoju w swym domu, zbieraliśmy się więc tam dwa razy w tygodniu od wpół do dziewiątej rano do dwunastej, o której to godzinie większość z nas musiała podążać do swych codziennych zajęć. Pierwszym naszym przedmiotem była ekonomja, za podstawę zaś do dyskusji posłużyła nam przedewszystkiem

książka mego ojca o „Zasadach ekonomji politycznej”. Jeden z nas czytał głośno jakiś rozdział, poczem otwieraliśmy dyskusję, rozważając starannie punkt po punkcie, póki wszyscy nie byli przekonani; rozprawialiśmy też o wszelkich nasuwających się ubocznych kwestjach, nie ustając, aż rozplątaliśmy wszystkie napotkane węzły. Nieraz dyskusja nad jednym zagadnieniem trwała kilka tygodni, przyczem w przerwach między naszymi zebraniem łamaliśmy sobie setnie głowy nad trudnościami, które wyłoniły się z dyskusji. Skończywszy książkę ojca, przestudjowaliśmy w ten sam sposób dzieła innych ekonomistów — z wielkim pożytkiem dla wszystkich uczestników tych bardzo sumiennych dyskusyj. Ja osobiście skorzystałem z nich w swych późniejszych pracach ekonomicznych, a wspomnę też, że wśród zmian, które ojciec wprowadził do trzeciego przejrzanego wydania „Zasad”, kilka opierało się na krytykach podniesionych w naszych rozprawach.

Gdy mieliśmy już dość ekonomji, zabraliśmy się w ten sam sposób do logiki (od tego to czasu zacząłem myśleć o napisaniu książki o logice), poczem rzuciliśmy się na psychologję. Na tem skończyły się nasze ćwiczenia. Zawsze uważałem, że od tych zebrań zaczęło się moje samodzielne myślenie, na nich bowiem nabyłem, lub bardzo wzmocniłem, tę właściwość swego umysłu, której przypisuję wszystko, czego dokonałem, lub dokonam w dziedzinie rozważań filozoficznych: żeby mianowicie nigdy nie zatrzymywać się w pół drogi przy rozwiązywaniu trudności; nigdy nie porzucać zagadki, lecz wracać do niej raz po raz, póki nie będzie wyjaśniona, nigdy nie pozostawiać ciemnych zaułków jakiejś materji bez zbadania, ponieważ nie wydają się ważnemi, nigdy nie sądzić, że rozumie się jakąś część tematu, zanim zrozumie się całość.

Nasze wystąpienia na publicznych zebraniach w czasie od roku 1825—1830-go zajmują wiele miejsca w mojem ówczesnem życiu, trzeba więc coś o nich powiedzieć. Istniało od pewnego czasu stowarzyszenie owenistów, zwane Towarzystwem Współdzielczem, które co tydzień zbierało się na publiczne dyskusje¹⁾. Na wiosnę r. 1825-go jeden z nas zetknął się przypadkowo z kilku członkami tego stowarzyszenia i uczestniczył w jednym czy dwóch zebraniach. Wówczas ktoś podał myśl, byśmy udali się tam wszyscy i stoczyli walną bitwę. Plan ten wykonaliśmy w porozumieniu z głównymi członkami Towarzystwa, którzy byli z tego zadowoleni, wolać utarczkę z przeciwnikami, niż letnią dyskusję we własnem kółku. Jako przedmiot rozprawy wybrano kwestję ludnościową i z naszej strony Karol Austin wystąpił z świetną przemową: walka toczyła się potem przez przeciąg pięciu czy sześciu zebrań tygodniowych przed natłoczoną salą. Gdy zaś ta debata się skończyła, rozpoczęliśmy nową na temat ogólnej wartości systemu Owena — i znów dysputy trwały około trzech miesięcy. Był to bardzo zażarty pojedynek pomiędzy owenistami a ekonomistami, których oweniści uważali za swych

¹⁾ Robert Owen (1771—1858) jest jednym z przodków socjalizmu. Dorobiwszy się własnymi siłami wielkiego majątku, począł w swej fabryce w New Lanark (zatrudniającej wkońcu 2500 osób) stosować teorię, że charakter ludzki jest dziełem okoliczności, że więc stwarzając dobre warunki, można wpłynąć kształcąco na charakter. Wprowadził nieznanne gdzieindziej urządzenia, zapewniające wygodę pracy i podnoszące dobrobyt robotników — z doskonałym wynikiem dla zyskowności przedsiębiorstwa i podniesienia się stanu moralnego robotników. Pierwszy wprowadził szkoły dla dzieci poniżej wieku szkolnego i dał początek ruchowi współdzielczemu. „Wszystkie ruchy społeczne” — pisał Engels — „wszystkie rzeczywiste postępy, jakie zaszły w Anglii w interesie robotników, wiążą się z nazwiskiem Owena”.

najzaciętszych wrogów, ale zarazem były to spory całkowicie przyjacielskie.

Wielkie zainteresowanie, jakie wywołały te debaty, sprawiło, że wyłoniła się myśl założenia stowarzyszenia, uprawiającego dyskusje publiczne. Postanowiliśmy zbierać się raz na dwa tygodnie w pewnej restauracji i wkrótce mieliśmy okazałą listę członków, wśród których było kilku członków parlamentu i najbardziej znani mówcy ze stowarzyszeń akademickich. Ciekawą ilustracją tendencji owego czasu jest, że główną trudność sprawiało nam zwerbowanie na członków dostatecznej ilości mówców torysowskich. Niemal wszyscy, których mogliśmy zaprząć do roboty, byli liberałami różnego rodzaju i stopni. Wielu zajęło potem wybitne miejsca w życiu publicznym lub w literaturze. Początek był jak najbardziej obiecujący. Ale gdy trzeba było naznaczyć przewodniczącego i znaleźć kogoś, kto by otworzył pierwszą dyskusję, okazało się, że nikt z naszych sław nie chce podjąć się ani jednego ani drugiego obowiązku. Nareszcie znaleźliśmy do jednej i do drugiej funkcji kandydata w osobie człowieka, którego znałem mało, ale o którym twierdzono, że miał w Oxfordzie reputację wielkiego oratora. Nadszedł ważny dzień, sala była pełna, zjawili się wszyscy nasi sławni mówcy, by nas krytykować, ale nie by nam pomagać. Przemówienie mówcy oxfordskiego było najzupełniej nieudane. To wywołało odrazu przygnębienie, niewielu zabierało następnie głos i żaden z mówców nie dawał najlepszego z tego, na co go było stać. Przedsięwzięcie skończyło się całkowitem fiaskiem i sławy oratorskie, na które liczyliśmy, zabrały się i poszły, aby już więcej nie wrócić, pozostawiając mi jedynie nauczkę w postaci lepszej znajomości świata.

Ten nieoczekiwany wynik zmienił cały mój stosunek do projektu. Nie myślałem pierwotnie o większym uczestnictwie lub częstszym mówieniu, ale teraz spostrzegłem, że powodze-

nie przedsięwzięcia zawisło od nowych ludzi i wobec tego wziąłem się sam do pchania taczki; otworzyłem nowe zebranie i odtąd przemawiałem w każdej niemal dyskusji. Rzecz szła z początku bardzo po grudzie, dopiero w następnym sezonie, 1826/7, zaczęło się poprawiać. Pozyskaliśmy dwóch doskonałych mówców torysowskich, wzmocniły się też szeregi radykalne i w ten sposób prawie każda dyskusja stawała się regularną bitwą pomiędzy „radykałami filozoficznymi” a prawnikami torysowskimi; zaczęto też mówić o naszych dysputach i różne znane i szanowane osobistości poczęły przychodzić, by się nam przysłuchiwać. Działo się tak jeszcze więcej w następnych latach, gdy pojawili się w stowarzyszeniu zwolennicy Coleridge’a ¹⁾, tworząc drugi odłam liberalny, a nawet radykalny, o podłożu zupełnie odmiennem od benthamizmu, który atakowali gwałtownie. Nowi członkowie wprowadzali do naszych rozpraw ogólne doktryny i sposoby myślenia reakcji kontynentalnej przeciw filozofii XVIII w. i dodawali do spierających się dotychczas stron trzecią, i to bardzo ważną stronę wojującą — tak iż stowarzyszenie nasze stało się niezłym wykładnikiem ruchu myślowego w najwykształceńszych sferach nowego pokolenia. W dyskusjach naszych każda strona dobywała ze swego arsenału najsilniejszych argumentów opartych o jak najbardziej filozoficzne zasady i rzucała je w wir zaciętych sporów. Taka praktyka była dla nas, oczywiście, bardzo użyteczna i mnie zwłaszcza wielce się przydała. Coprawda nigdy nie nabyłem prawdziwej płynności wystąpienia i zawsze miałem złą wymowę, ale przecież uzyskiwałem tyle, że mnie słuchano. A ponieważ zawsze pisałem swe przemówienia, gdy ze względu na temat

¹⁾ Samuel Coleridge (1772—1834) znany jest głównie jako poeta i krytyk. Jako filozof nie posiadał własnego systemu, odzwierciedlał jedynie poglądy filozofów niemieckich.

forma wydawała się ważną, przeto rozwinąłem bardzo swą zdolność wyrazistego pisania; wykształciłem też w sobie wrażliwość ucha na potoczystość i rytm i nabyłem umiejętności w y p o w i a d a n i a zdań, mając odrazu kryterjum ich zdolności oddziaływania w reakcji mieszanego audytorjum.

Stowarzyszenie i przygotowywanie się do dyskusji wraz z przygotowywaniem się do rannych rozmów, które równocześnie trwały w dalszym ciągu, zajmowało większą część mego wolnego czasu. To też poczułem ulgę, gdy na wiosnę 1828-go r. przestałem pisywać do *Westminster Review*. Ostatni artykuł kosztował mnie więcej pracy, niż którykolwiek z poprzednich, ale była to rzecz wykonana z zamiłowaniem: obrona działaczy z początków Rewolucji francuskiej przed fałszywym przedstawieniem ich w duchu toryсовskim przez Walter Scott'a w przedmowie do „Życia Napoleona”. Ilość książek, które przeczytałem do tej pracy, robiąc sobie wyciągi i notatki — a nawet ilość tych, które musiałem sobie kupić (bo w owym czasie nie było bibliotek publicznych ani wypożyczalni książek, z których możnaby dzieła naukowe zabierać do domu) — była znacznie większa, niż przedmiot zasługiwał na to bezpośrednio; ale majaczył mi się wówczas zamiar napisania historii rewolucji francuskiej, a choć nigdy go nie urzeczywistniłem, zbiory moje przydały się później wielce Carlyle'owi do podobnego celu ¹⁾).

¹⁾ Chodzi, oczywiście, o Carlyle'a słynną „Rewolucję Francuską”. Oddając mu do dyspozycji swe książki, Mill wyświadczył wielką przysługę niezamożnemu Carlyle'owi, niestety jednak odegrał w dziejach „Rewolucji Francuskiej” także bardzo żalosną rolę. Carlyle mianowicie, ukończywszy pierwszy tom, dał rękopis do przeczytania Millowi. Wskutek niefortunnego wypadku, którego jednak można było uniknąć, rękopis ten uległ zniszczeniu w czasie, kiedy był powierzony Millowi. Rozpacz Milla była tak wielka, że aż pocieszał go sam Carlyle, choć miał tem więcej powodów do zmartwienia, że nie zachował notatek i musiał całą pracę rozpocząć od początku.

ROZDZIAŁ V.

PRZESILENIE W MYM ROZWOJU
UMYSŁOWYM. O STOPIEŃ WYŻEJ.

Przez kilka lat od tej chwili pisywałem bardzo mało i nieregularnie, a przerwa ta była dla mnie bardzo korzystna. Niemalże mianowicie miała dla mnie znaczenie okoliczność, że mogłem ze spokojem ducha przetrwać swe myśli i dać im dojrzeć, bez ogłaszania ich odrazu drukiem. Gdybym był dalej pisywał, byłoby to przeszkadzało ważnemu przeobrażaniu się mych opinii i mego charakteru, które dokonywało się w owych latach. Żeby zrozumieć tę odmianę, musimy cofnąć się nieco wstecz.

Od zimy 1821-go roku, gdy po raz pierwszy przeczytałem coś Benthama, zwłaszcza zaś od założenia *Westminster Review*, miałem to, co można nazwać celem w życiu: chciałem być reformatorem świata. Własne swe szczęście utożsamiałem z tym celem, a przyjaciele, na których mi zależało, to byli współnicy w tym mozie. Starałem się po drodze zrywać tyle kwiatów, ile mogłem, ale jedynie po tej działalności spodziewałem się poważnego i trwałego zadowolenia. To też cieszyłem się, że życie me układało się szczęśliwie, skoro źródło szczęścia umieściłem w czemś nieprzemijającym i odległym, tak iż można było doń wciąż się zbliżać, ale nie można było nigdy wyczerpać przez zupełne osiągnięcie.

Przez szereg lat myśli o powszechnym postępie i o moim udziale wraz z innymi w walce o ten rozwój, wydawała mi się najzupełniej wystarczającą do uczynienia całego życia interesującym i ożywionem. Ale nadszedł czas, kiedy obudzilem się niby ze snu. Stało się to jesienią 1826-go roku. Byłem w ponurem usposobieniu, jak to zdarza się każdemu

od czasu do czasu, kiedy to nic nie cieszy, a co kiedy indziej sprawiałoby przyjemność, wydaje się głupiem lub obojętnem. Poczęło mi się wówczas nasuwać pytanie: przypuśćmy, że osiągnąłeś wszystkie cele życiowe, że wszystkie upragnione przez ciebie zmiany w urządzeniach społecznych i prądach umysłowych mogłyby być całkowicie w tej chwili osiągnięte — czy byłoby to dla ciebie wielką radością i szczęściem? A odpowiedź, którą mi świadomość podsuwała nieodparcie, brzmiała: „Nie!” Zacząłem tedy upadać na duchu: załamał się cały fundament, na którym było zbudowane moje życie. Szczęście swe oparłem na ciągłym poszukiwaniu pewnego celu, teraz cel ten utracił urok, jakże więc mogły pociągać środki jego osiągnięcia? Zdawało mi się, że nie pozostało nic, dla czego wartoby było żyć.

Z początku spodziewałem się, że widnokrąg jakoś sam się wypogodzi. Ale nie. Nie mogłem przespać tej troski, jak przesypia się drobne przykrości życiowe. Co rano budziłem się z świeżą świadomością żałosnego faktu. Myśl owa prześladowała mię w każdym towarzystwie, przy każdym zajęciu; zaledwie na kilka minut opuszczała mię czasem. Przez szereg miesięcy chmura wisząca nade mną gęstniała i gęstniała. Dąłemnie szukałem ulgi w ulubionych książkach — tych pomnikach dawnego szlachectwa i wielkości, z których zawsze czerpałem ożywczą podniechę. Czytałem je teraz bez odczuwania dawnego uroku, nabrałem więc przekonania, że moja miłość ludzkości i bezinteresowne pragnienie jej udoskonalenia wyczerpały się. Nie szukałem pociechy w mówieniu innym o swych uczuciach. Gdybym był kochał kogoś dostatecznie, by uczynić zwierzenia ze swych trosk koniecznością, nie byłbym znalazł się w takich opałach. Czułem ponadto, że męka moja nie była interesująca, ani nie zasługiwała na szacunek. Nie było w niej nic budzącego sympatję. Rada — gdybym był wiedział, gdzie jej szukać — byłaby była bezcenna. Sło-

jedno, a nienawidzimy drugiego, że jedne czynności czy rozważania sprawiają nam przyjemność, a inne przykrość dlatego, że pod wpływem wychowania lub doświadczenia łączą się z danymi rzeczami idee przyjemne lub przykre. W związku z tem słyszałem zawsze od ojca (i sam byłem o tem przekonany), że celem wychowania powinno być tworzenie możliwie najsilniejszych asocjacyj zbawiennego rodzaju: łączenie idei przyjemności ze wszystkim, co jest korzystne dla wielkiej całości, a idei przykrości z tem, co jej przynosi uszczerbek. Tę doktrynę uważałem za niezwykłą. Ale teraz zdało mi się, gdym spojrzał wstecz, że nauczyciele moi zajmowali się powierzchownie tylko środkami tworzenia i utrzymywania tych zbawiennych asocjacyj. Zdawało się mianowicie, że zawierzyli całkowicie starym oklepanym środkom: pochwalę i naganie, nagrodzie i karze. Owóż nie wątpię, że dzięki tym środkom, byle zacząć je stosować wcześniej i używać ich konsekwentnie, można wytworzyć silne asocjacje przykrości i przyjemności, a zwłaszcza przykrości, i można wszczepić pragnienia i odrazy, któreby niezmiennie trwały do końca życia. Ale musi zawsze być coś sztucznego i przypadkowego w asocjacjach wytworzonych tą drogą. Przykrości i przyjemności w ten sposób siłą złączone z rzeczami, nie są z niemi związane naturalnym węzłem; to też sądzę, że jeśli asocjacje te mają trwać, muszą nabrać dość wcześniej takiej ścisłości, iżby nie można ich było rozwiązać, gdy zdolność analizowania zacznie działać. Bo zrozumiałem teraz to, czemu przedtem zawsze niedowierzałem — że mianowicie przyzwyczajenie do analizowania ma skłonność do wypierania uczuć: i istotnie tak jest wówczas, gdy nie kształci się żadnego innego przyzwyczajenia myślowego i duch analityczny pozostaje bez swych naturalnych uzupełnień i poprawek. Doskonałość analizy (rozumowałem) polega na tem, że prowadzi ona do osłabienia i podminowania wszystkiego, co jest

wynikiem przesądu; że wyrabia w naszych umysłach zdolność do oddzielania idei, które przypadkowo tylko się zczepiły. Przyzwyczajenia analityczne mogą wzmocnić asocjacje pomiędzy środkami a celami, ale prowadzą naogół do osłabienia tych, które są, żeby tak powiedzieć, poprostu kwestją uczuć. Sprzyjają one zatem wytwarzaniu się rozwagi i jasności myślenia, ale podgryzają się, jak robak, pod korzenie cnót i silnych uczuć.

Wszyscy, którzy zwracali na siebie moje spojrzenia, uważali, że przyjemność sympatyzowania z ludźmi istotami i uczucia, czyniące z dobra innych, a zwłaszcza z dobra ludzkości szeroko pojętej, cel istnienia, są największem i najpewniejszym źródłem szczęścia. O prawdzie tego byłem przekonany, ale sama świadomość, że pewne uczucie uczyniłoby mię szczęśliwym, gdybym je miał, nie dawała mi jeszcze tego uczucia. Wychowanie moje, myślałem sobie, nie umiało wytworzyć we mnie tych uczuć i to dostatecznie silnych, by oprzeć się trawiącemu wpływowi analizy, podczas gdy cały przebieg wykształcenia zakorzenił przedwcześnie w mym umyśle przyzwyczajenie do analizy. W ten sposób stawałem się rozbitkiem odrazu na początku swej podróży, mając statek dobrze zaopatrzony i ster, ale nie mając żagli.

Takie to myśli gnębiły mię podczas melancholijnej zimy r. 1826 — 1827. Przez ten czas nie byłem niezdolny do swych zwykłych zajęć: pracowałem mechanicznie siłą przyzwyczajenia. Tak się wprawiłem do pewnego rodzaju zajęć umysłowych, że mogłem wykonywać je, choć wszelki duch z nich uleciał. Ułożyłem nawet i wygłosiłem kilka mów w naszym towarzystwie dyskusyjnem — jak i z jakim powodzeniem, nie wiem. Z czterech lat ciągłego przemawiania w tem towarzystwie, to jest jedyny rok, o którym niemal nic sobie nie przypominam.

Często zadawałem sobie pytanie, czy mógłbym lub czy byłem obowiązany żyć dalej, jeśliby trzeba było życie spędzać w ten sposób. Zwykle odpowiadałem sobie, że nie sądzę, że mógłbym wytrzymać dłużej, niż rok. Ale gdy upłynęła niespełna połowa tego czasu, wązki promień światła padł na me ponure myśli. Czytałem przypadkowo „Pamiętniki” Marmontel’a i doszedłem do ustępu, w którym opowiada on o śmierci swego ojca, o rozpaczliwym położeniu rodziny i o nagłym natchnieniu, dzięki któremu on sam, wówczas mały chłopiec, odczuł i w rodzinie swej wzbudził uczucie, że będzie dla nich wszystkim i zastąpi im wszystko, co stracili. Wyobraziłem sobie żywo tę scenę i wzruszyłem się tem do łez. Pierzchła dławiąca myśl, że wszystkie uczucia we mnie zamarły. Stopniowo okazywało się, że zwykłe wydarzenia życiowe mogą znów sprawiać mi przyjemność, że mogłem znów cieszyć się wesołością, słońcem, błękitem niebios, książkami, rozmowami i zajmowaniem się sprawami publicznymi. W ten sposób chmury rozchodziły się powoli, a choć miewałem nawroty przygnębienia, nie byłem jednak już nigdy tak nieszczęśliwy, jak przedtem.

Doświadczenia tego okresu wywarły w dwóch kierunkach bardzo wyraźny wpływ na moje poglądy i na mój charakter. Przedewszystkiem sprawiły, że przyjąłem teorię życia bardzo niepodobną do swej dotychczasowej, zbliżoną natomiast do nieznannej mi wówczas całkowicie teorii Carlyle’a. Nie zachwiałem się nigdy w przekonaniu, że szczęśliwość jest próbą wszelkich reguł postępowania i celem życia. Ale odtąd uważałem, że cel ten można osiągnąć wówczas tylko, gdy nie czyni go się celem bezpośrednim. Ci tylko są szczęśliwi, tłumaczyłem sobie, których myśli są skierowane ku jakiemuś przedmiotowi innemu, niż ich własna szczęśliwość: ku szczęściu innych, ku poprawie ludzkości, lub nawet jakiejś sztuce albo studjom, uprawianym nie jako środek, ale jako idealny

cel w sobie. Ludzie dążący w ten sposób do czegoś innego, znajdują szczęście po drodze. Druga zmiana w mych poglądach polegała na tem, że zacząłem wówczas dopiero nadawać wewnętrznej kulturze jednostki właściwe miejsce wśród warunków zadowolenia ludzkiego. Przestałem przywiązywać wyłączną niemal wagę do układania zewnętrznych okoliczności i usprawniania człowieka do rozumowania i do działania. Odtąd kultywowanie uczuć stało się jednym z głównych punktów mej wiary etycznej i filozoficznej.

Zacząłem teraz rozumieć to, co przedtem słyszałem lub czytałem o znaczeniu poezji i sztuki dla rozwoju kultury człowieka. Jedyną sztuką, dającą mi od dzieciństwa przyjemność, była muzyka, której najlepszy wpływ (w tem przewyższa ona może wszystkie inne sztuki) polega na podniecaniu zapału i tych uczuć wzniosłego rodzaju, które tkwią już w charakterze, ale które podnieta ta rozżarza i wykształca. W tym to czasie poznałem „Oberona” Webera i cudowne melodie tej opery wielkiem mi były ukojeniem. Psuła jednak tę przyjemność myśl, że zadowolenie, jakie daje muzyka, znika w miarę przyzwyczajania się do niej. Bardzo to charakterystyczne dla ówczesnego stanu moich pojęć, że poważnie trapiła mnie myśl, iż kombinacje muzyczne mogą się wyczerpać. Oktawa składa się z pięciu tylko tonów i dwóch półtonów, które można połączyć ze sobą jedynie w ograniczonej ilości sposobów, a tych drobna tylko część jest piękna. Owóż zdawało mi się, że te piękne sposoby są już po większej części odkryte, a nie może być wielu Mozartów, Weberów, którzyby odkrywali całkiem nowe przebogate pokłady piękna muzycznego. To źródło niepokoju wyda się może podobnem temu, które trapiło owych filozofów laputańskich, co to obawiali się, by słońce się nie wypaliło.¹⁾ Łączyło się to jednak z najlepsze-

¹⁾ Laputa, wyspa latająca z podróży Gullivera; Swift umieścił na niej karykatury niektórych uczonych swego czasu.

mi cechami mego charakteru i z jednym dobrym punktem, który można było znaleźć w mem bardzo nieromantycznym i bynajmniej nie godnem poszanowaniu nieszczęściu. Bo choć przygnębienia mego — przynajmniej przyjrawszy mu się uczciwie — nie można było nazwać inaczej niż egoistycznym, wytworzonem przez rozpadnięcie się (jak sądziłem) mego warsztatu szczęścia, to jednak zagadnienie losu ludzkości tkwiło wciąż w mych myślach i nie można go było oddzielić od mego własnego losu.

Ten stan myśli moich i uczuć sprawił, że zaznajomienie się z pismami Wordswortha²⁾ (jesienią 1828-go r.) stało się ważnym wypadkiem w mem życiu. Zabrałem się do zbioru jego poezji ze zwykłej ciekawości. W najgorszym okresie mego przygnębienia przeczytałem po raz pierwszy całego Byrona, aby przekonać się, czy poeta, który podobno celował w odtwarzaniu silnych uczuć, potrafi wzbudzić i we mnie jakieś uczucia. Nie trudno zgadnąć, że lektura ta nie podziałała na mnie dobrze — przeciwnie, stan umysłu poety był podobny do mojego. Z pism jego biła skarga człowieka, który zaznał już do syta wszystkich przyjemności i który sądził, że życie jest czcze — jak i mnie się to wydawało. Jego Harold i Manfred dźwigali ten sam ciężar, który mnie przygniatał; a nie byłem usposobiony do szukania pociechy w gwałtownej namiętności zmysłowej jego Giaurów lub ponurości jego Larów. Owóż podczas, gdy Byron zupełnie nie odpowiadał memu stanowisku, Wordsworth odpowiadał mi właśnie całkowicie.

Co uczyniło poezję Wordsworth'a lekarstwem dla mnie, to to, że wyrażały nietylko zewnętrzne piękno, ale stany uczuć i myśli, rozbudzonych przez widok piękna. Pod ich wpływem

²⁾ William Wordsworth (1770 — 1850), poeta laureatus, spóźniony rousseau'ista.

uczulem się odrazu lepszym i szczęśliwszym. Okazało się, że przeszedł on te same doświadczenia, co ja; że i on przekonał się, że pierwsza świeżość młodzieńczej radości życia nie trwa; ale że szukał kompensaty i znalazł ją — na drodze, na której uczył teraz mnie jej poszukiwać. Wynik był taki, że stopniowo, ale całkowicie, zdołałem otrząsnąć się ze swego przygnębienia i nie podlegałem mu już nigdy.

Tak się złożyło, że wpływ Wordsworth'a spowodował moje pierwsze oświadczenie publiczne o mym nowym sposobie myślenia i moje odłączenie się od towarzyszy, którzy nie zaznali podobnej przemiany. W owym czasie osobą, z którą mogłem najłatwiej porównywać zdania o tego rodzaju przedmiotach, był Jan Roebuck;¹⁾ skłoniłem go zatem do przeczytania Wordsworth'a i istotnie z początku zdawało się, że wiele w nim znajduje upodobania. Ale ja, podobnie jak większość wielbicieli Wordsworth'a, stałem się ostrym przeciwnikiem Byrona — i ze względu na jego poezję i ze względu na jego wpływ na charakter. Natomiast Roebuck, którego wszystkie instynkty pchały do działania i do walki, był pełen uwielbienia dla Byrona, i pisma jego uważał za poezję życia ludzkiego, podczas gdy dzieła Wordsworth'a wydawały mu się poezją kwiatów i motyli. Postanowiliśmy rozegrać spór w naszym towarzystwie dyskusyjnym i przez dwa wieczory rozprawialiśmy o zasługach Byrona i Wordswortha, porównując je, przedstawiając swe odmienne teorie poezji i ilustrując je długimi recytacjami. Była to pierwsza dyskusja na poważny temat, w której Roebuck i ja znaleźliśmy się po przeciwnych stronach. Odtąd rozdział między nami rozszerzał się coraz więcej, choć przez kilka lat w dalszym ciągu

¹⁾ Ten przyjaciel Milla znany jest w angielskich annałach politycznych z tego, że w ciągu swej kilkudziesięcioletniej kariery parlamentarnej był stale w opozycji.

stykaliśmy się z sobą blisko. Z początku główna różnica zdań między nami odnosiła się do pielęgnowania uczuć. Roebuck był pod wielu względami bardzo odmienny od tego, co powszechnie uważa się za typ benthamisty czy utilitarysty. Był miłośnikiem poezji i wielu sztuk pięknych. Lubił bardzo muzykę, teatr, zwłaszcza zaś malarstwo i sam z wielką łatwością rysował udatne krajobrazy. Ale nie można mu było nigdy wytłumaczyć, iżby te rzeczy mogły być w jakimkolwiek stopniu pomocne przy kształtowaniu charakteru. Osobiście był bardzo uczuciowy. Ale jak większość uczuciowych Anglików, uważał, że uczucia bardzo mu przeszkadzają. Charakter angielski i angielskie warunki społeczne tak rzadko umożliwiają wydobywanie szczęśliwości z okazywania sympatyj, że nie można dziwić się, jeśli Anglik w swych poglądach na życie małą im przypisuje wartość. W innych krajach wybitne znaczenie uczuć, jako czynnika dającego jednostce szczęście, jest przeważnie aksjomatem nie ulegającym dyskusji; natomiast angielscy myśliciele po większej części uważają je, zdaje się, za zło konieczne — potrzebne do tego, by działania ludzkie utrzymywać w granicach życzliwości i współczucia. Roebuck był — tak przynajmniej się wydawało — tego rodzaju Anglikiem.

Podczas, gdy zażyłość moja z Roebuckiem zmniejszała się, poczęłem zbliżać się coraz bardziej do naszych przeciwników z obozu Coleridge'a w Towarzystwie Dyskusyjnym, Fryderyka Maurice'a i Jana Sterlinga,¹⁾ którzy obaj bardzo mi byli pomocni w mym rozwoju. Ze Sterlingiem staliśmy się wkrótce bardzo zażyłymi przyjaciółmi; przywiązałem się do

¹⁾ Maurice został ogólnie szanowanym pastorem; pisał bardzo wiele, wciągając zagadnienia polityki społecznej do zajęć duszpasterskich. Sterlinga, który zmarł młodo, unieśmiertelnił przyjaciel jego Carlyle, pisząc jego „Życiorys”.

niego więcej, niż do kogokolwiek. Bo też był to człowiek najgodniejszy przyjaźni. Jego charakter szczery, serdeczny, miły i wylewny; miłość prawdy widoczna zarówno w najważniejszych sprawach, jak w najdrobniejszych; natura szlachetna i gorąca, broniąca namiętnie przyjętych poglądów, ale starająca się zarówno oddać sprawiedliwość przeciwnym doktrynom i ich wyznawcom, jak zwalczać ich błędy; wreszcie równe poszanowanie dwóch kardynalnych zasad: wolności i obowiązku — wszystko to pociągało mię, tak jak wszystkich, którzy go znali zbliska. Nie trudno mu było, z tym otwartym umysłem i sercem, podać mi dłoń ponad przepaścią, która dzieliła dotąd nasze poglądy. Powiedział mi, jak to on sam i inni sądzili o mnie ze słyszenia, jako o człowieku wykrygowanym, umiejącym jedynie powtarzać poglądy, które mu wtłoczono w umysł; i jaka zmiana zaszła w jego uczuciach, gdy podczas dyskusji o Wordsworth'ie i Byronie przekonał się, że Wordsworth był mi równie bliski, jak jemu i jego przyjaciółom. Słabość zdrowia wkrótce rozwiąła wszystkie jego plany życiowe i zmusiła go do mieszkania zdala od Londynu, tak że po roku lub dwu naszej znajomości widywaliśmy się tylko z rzadka. Ale gdy spotykaliśmy się, to jak bracia.

Po r. 1829-ym przestałem uczęszczać do Towarzystwa Dyskusyjnego. Miałem dość przemawiania i chciałem rozwijać swe studia i rozważania bez potrzeby natychmiastowego stwierdzania nazewnątr ich wyników. Widziałem, że ruszowanie mych dawnych i wyuczonych poglądów załamuje się w wielu nowych miejscach, a nie pozwalałem mu nigdy rozsypać się w kawałki, lecz wciąż biedziłem się nad podpieraniem go na nowo. Nigdy w okresach przejściowych nie chciałem, choćby na najkrótszy czas pozostawać w zamieszaniu pojęć. Przyjąwszy jakąś nową ideę, nie mogłem spocząć, póki nie uzgodniłem jej ze swemi dawnymi poglądami i nie

przekonałem się dokładnie, jak dalece jej następstwa winny je zmodyfikować.

Dzięki polemikom, które musiałem tak często prowadzić, broniąc teorii rządu wyłożonej w pismach Bentham'a i ojca mego, a także dzięki zaznajomieniu się z innemi szkołami myślenia politycznego, zwróciłem uwagę na wiele rzeczy, których doktryna ta, pragnąca być teorią rządu w ogólności, nie obejmowała, choć powinna była je objąć. Ale dotąd uważałem raczej, że przy stosowaniu tej teorii do praktyki trzeba porobić pewne poprawki, niż że są w tej teorii błędy. Mnie-małem, że polityka nie może być nauką, osobiście nauką doświadczalną i że zarzuty czynione teorii benthamowskiej, iż jest teorią, iż postępuje *apriori* zapomocą ogólnych rozumowań zamiast doświadczeń po myśli Bacon'a — że zarzuty te świadczą o zupełnej nieznajomości zasad Bacon'a i warunków badań doświadczalnych. W tym momencie ukazał się w *Edinburgh Review* słynny atak Macaulay'a na ojca mego „Szkic o Rządzie”. To dało mi wiele do myślenia.

Widziałem, że pojęcia Macaulay'a o logice polityki są błędne, że oświadczał się za empirycznym traktowaniem zjawisk politycznych, przeciw filozoficznemu; że nawet w fizyce jego sposoby filozofowania mógłby być uznać Kepler, ale byliby odrzucili Newton i Laplace. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że choć ten był nieprzyzwoity (błąd, z którego autor później usprawiedliwiał się szeroko i z szacunkiem), to jednak tkwiła prawda w niektórych jego krytykach skierowanych przeciw traktowaniu tematu przez mego ojca; że założenia ojca były istotnie za ciasne i obejmowały małą tylko ilość ogólnych prawd, z których wypływały ważne dla polityki następstwa. Tożsamość interesów pomiędzy ciałem rządzącem a ogółem społeczeństwa nie jest jedyną rzeczą, od której zależy dobry rząd; nie można też tej tożsamości interesów zapewnić przez same warunki wyborów. Wcale mię nie zadowa-

łał sposób, w jaki ojciec mój odpowiedział na zarzuty Macaulay'a. Powinien był, mojem zdaniem, usprawiedliwić się, oświadczając: „Nie pisałem rozprawy naukowej o polityce, przedstawiłem jedynie argument za reformą parlamentu”. Tymczasem ojciec traktował dowodzenie Macaulay'a jako po prostu nieracjonalne, jako atak na zdolność rozumowania, jako przykład powiedzenia Hobbesa, że gdy rozum jest przeciw człowiekowi, człowiek pójdzie przeciw rozumowi. To mię zastanowiło. Pomyślałem sobie, że u podstaw metody filozoficznej, którą ojciec stosował do polityki, było istotnie coś bardziej błędnego, niż przypuszczałem dotąd. Ale nie od razu rozróżniałem, na czym błąd polegał. Dopiero w czasie innych moich studjów rozjaśniło mi się nagle w głowie. Dostrzegłem mianowicie, że obaj, Macaulay i ojciec mój, nie mieli słuszności; jeden ponieważ upodobał metodę filozofowania w polityce do czysto doświadczalnej metody chemii — drugi ponieważ słusznie przyjąwszy metodę dedukcyjną, wybrał jednak złą: nie tę właściwą, którą posługują się dedukcyjne gałęzie filozofji przyrody, ale niewłaściwą w danym przypadku metodę czystej geometrii. W ten sposób powstała podstawa ideowa pod to, co ogłosiłem później w „Logice nauk moralnych”; ustaliło się też teraz całkiem wyraźnie moje nowe stanowisko wobec dawnych zapatrywań politycznych.

Jeśli by mię kto zapytał, jaki *system* filozofji politycznej postawiłem na miejscu tego, który porzuciłem, odpowiedziałbym, że żaden: jedynie przeświadczenie, że prawdziwy system jest czemś bardziej złożonem i różnostronnem, niż przypuszczałem poprzednio i że jego zadaniem jest dostarczenie nie szeregu wzorowych instytucyj, ale zasad z których można wyprowadzić urządzenia właściwe wśród danych okoliczności. Poddawałem się teraz wpływom myśli europejskiej, to znaczy kontynentalnej, a zwłaszcza wpływom reakcji w. XIX-go przeciw XVIII-emu. Między innemi uderzyła mię

w szczególności myśl, że umysł ludzki ma wykreślony pewien porządek rozwoju, w którym jedne rzeczy muszą poprzedzać drugie — porządek, który rządy i reformatorzy ducha publicznego mogą do pewnego stopnia zmodyfikować, ale nie bez ograniczeń; że wszystko, co dotyczy urządzeń politycznych, jest względne, a nie absolutne, i że różne stopnie rozwoju ludzkiego nie tylko *będą* miały, ale *powinny* mieć różne urządzenia; że rząd zawsze albo jest w rękach albo przechodzi do rąk najmocniejszej siły w społeczeństwie i że to, co stanowi tę siłę, nie polega na urządzeniach, ale urządzenia polegają na niem; że wszelka teoria czy filozofia polityki, tak samo jak filozofia historii, ma za przesłankę teorię postępu ludzkiego. Takie to poglądy, naogół słuszne, wypowiadali w sposób przesadny i gwałtowny myśliciele, do których dzieł teraz głównie zaglądałem i którzy — jak to zwykle bywa z reakcją — mieli oczy zamknięte na tę połowę prawdy, którą widzieli myśliciele w. XVIII-go.

Więcej, niż inni, wpłynęli na mój sposób myślenia politycznego pisarze francuscy ze szkoły St. Simona, z których niektórymi dziełami zapoznałem się w r. 1829-ym. Było to jeszcze we wcześniejszym okresie ich spekulacji, kiedy to nie uczynili jeszcze religji ze swej filozofji ani nie ułożyli swego planu socjalizmu. Dopiero zaczęli kwestjonować zasadę własności dziedzicznej. Nie byłem bynajmniej gotów iść z nimi ta daleko, uderzył mię natomiast silnie ich pogląd na naturalny porządek postępu ludzkości, zwłaszcza zaś ich podział całej historii na okresy organiczne i krytyczne. Podczas okresów organicznych (twierdzili) ludzie przyjmują z silnem przekonaniem jakieś pozytywne wierzenia, które obejmują władzę nad ich działaniem i zawierają mniej lub więcej prawdy i przystosowania się do potrzeb ludzkości. Pod ich wpływem rozwijają się tyle, ile jest to możliwe, poczem z nich wyrastają; wtedy zaś nastaje okres krytycyzmu, w którym ludzie tracą

swe dawne przekonania, nie nabywając żadnych nowych o charakterze ogólnym i autorytatywnym — z wyjątkiem przekonania, że dawne były fałszywe. Okres greckiego i rzymskiego politeizmu, dopóki wykształceni Grecy i Rzymianie istotnie weni wierzyli, był okresem organicznym, po którym nastąpił krytyczny czy sceptyczny okres greckich filozofów. Nowy okres organiczny nastał z chrześcijaństwem, odpowiedni zaś okres krytyczny rozpoczął się reformacją, trwał odtąd i trwa ciągle i nie może ustać całkowicie, póki triumf jakiejś dalej jeszcze posuniętej wiary nie rozpocznie nowego okresu organicznego.

Myśli te nie cechowały wyłącznie St. Simonistów, przeciwnie, były one ogólną własnością Europy, lub przynajmniej Niemiec i Francji. Ale, jak sądziłem, nikt nie usystematyzował ich tak, jak ci pisarze, ani nie uwypuklił tak cech charakterystycznych okresu krytycznego; nie znałem bowiem wówczas wykładów Fichtego p. t. „Zarys obecnej epoki”. Coprawda, u Carlyle’a znajdowałem gorzkie wyrzekania na „wiek niewiary” i wogóle na obecny wiek, które — podobnie jak większość współczesnych — uważałem za namiętny protest na rzecz dawnych sposobów wierzenia. Ale co w tych wyrzekaniach było słuszne, to, zdawało mi się, było spokojniej i bardziej filozoficznie wyłożone przez St. Simonistów. Pośród ich dzieł było też jedno, które zdaniem mojem znacznie przewyższało inne, w którem ogólna myśl dojrzała do czegoś o wiele bardziej określonego i pouczającego. Było to jedno z wczesnych pism Augusta Comte’a, który wówczas nazywał sam siebie, a nawet ogłaszał się na karcie tytułowej, uczniem St. Simona. W rozprawie tej Comte po raz pierwszy wyłożył swą doktrynę o naturalnem następstwie trzech stadiów w każdym dziale wiedzy ludzkiej: naprzód teologicznego, następnie metafizycznego i wreszcie pozytywnego; i twierdził, że nauka o społeczeństwie musi podlegać temu samemu prawu, że sy-

stem feodalny i katolicki był końcowym okresem teologicznego stanu wiedzy społecznej, protestantyzm zaś początkiem, a doktryny rewolucji francuskiej dokonaniem się stanu metafizycznego — stan pozytywny miał dopiero nadejść.

Główną korzyścią, jaką uzyskałem podówczas z myśli, podsunętych mi przez St. Simonistów i Comte'a, było to, że wyrobiłem sobie jaśniejsze pojęcie o charakterze ery przejściowej w poglądach ludzkich i przestałem uważać moralne i intelektualne cechy takiej ery za normalne właściwości ludzkości. Poprzez obecny czas głośnych dysput, lecz powszechnie słabych przekonań, patrzyłem w przyszłość, która połączy najlepsze wartości okresu krytycznego z najlepszymi zaletami organicznego: z jednej strony nieograniczoną wolność myśli, nieskrępowaną swobodę działania indywidualnego, byle bez urazy bliźnich — z drugiej zaś przekonania o słusznym i niesłusznym, pożytecznym i zgubnym, głęboko wyryte w uczuciach przez wczesne wychowanie i powszechną zgodność odczuwania i tak silnie ugruntowane w rozumie i w prawdziwych wymaganiach życia, że nie trzeba ich będzie stale co pewien czas odrzucać i zamieniać na inne, tak jak się to działo z wszystkimi dotychczasowymi wierzeniami czy to religijnymi, czy etycznymi, czy też politycznymi.

Comte wkrótce potem rozstał się z St. Simonistami i na szereg lat straciłem go z oczu, jak również jego pisma. Natomiast w dalszym ciągu zajmowałem się St. Simonistami. Z nieustannym rozwojem ich doktryn zaznajamiał mnie jeden z ich najzagorzalszych wyznawców, Gustaw d'Eichthal, który wówczas przebywał dość długo w Anglii. Poznałem w roku 1830-ym ich przywódców Bazarda i Infantina; i póki tylko trwało ich publiczne nauczanie i werbowanie zwolenników, czytywałem niemal wszystko, co pisali. Ich krytyka obiegujących doktryn liberalnych wydawała mi się pełną ważnej prawdy i częściowo dzięki ich dziełom otworzyły mi się oczy

na bardzo ograniczoną i czasową wartość starej ekonomii politycznej, która uważa własność prywatną i dziedziczenie za nieusuwalne fakty, a wolność produkcji i wymiany za ostatnie słowo postępu społecznego. Plan stopniowo rozwinięty przez St. Simonistów, wedle którego społeczność zarządzałaby na własny rachunek swą pracę i swym kapitałem — przyczem każdy musiałby wykonać przypadającą nań część pracy już-to jako myśliciel, już-to jako nauczyciel, artysta lub wytwórca, wszyscy zaś byłiby rozklasyfikowani wedle swych zdolności i wynagradzani wedle dokonanej roboty — wydawał mi się znacznie wyższym opisem socjalizmu od projektu Owena. Ich cel uważałem za godny pożądanego i racjonalny, jakkolwiek proponowane przez nich środki mogły nie okazać się skutecznymi. I choć nie wierzyłem w praktyczność ani dobre działanie ich maszynierji społecznej, czułem, że obwieszczanie takiego ideału społeczeństwa ludzkiego może nadać tylko dobry kierunek wysiłkom skierowanym ku temu, by zbliżyć obecny stan społeczeństwa do jakiegoś wymarzonego poziomu. Ceniłem ich przedewszystkiem za to, za co ich najbardziej okrzyczano — za odwagę i wyzbycie się przesądów przy traktowaniu zagadnienia rodziny, zagadnienia najważniejszego ze wszystkich i wymagającego wprowadzenia gruntowniejszych zmian, niż jakiegokolwiek inne urządzenia społeczne, ale którego niemal żaden reformator nie miał odwagi dotknąć. Ogłaszając zupełną równość mężczyzn i kobiet i całkowicie nowy porządek rzeczy co do ich wzajemnych stosunków, St. Simoniści, wraz z Owenem i Fourierem¹⁾, zasłużyli sobie na wdzięczną pamięć przyszłych pokoleń.

¹⁾ Karol Fourier (1772—1835), obok St. Simona — którego zwalczał — największy z francuskich ideologów o odcieniu socjalistycznym, chciał zreformować stosunki społeczne przez ujęcie całej ludności w falanstery, t. j. gminy złożone z 1.500 — 2.000 osób, rządzących się na zasadzie zgodnego pojmowania wspólnych interesów i osiągających szczęście dzięki harmoniji współżycia.

Opowiadając o tym okresie swego życia, wymieniałem te tylko z mych nowych wrażeń, które, niby punkty zwrotne, znaczyły drogę postępu mego sposobu myślenia. Ale tych kilka wybranych punktów daje bardzo niewystarczające pojęcie o ilości myśli na najróżniejsze tematy, jakie przesunęły mi się przez głowę podczas tych lat przejściowych. Wiele z nich, co prawda, polegało na odkrywaniu na nowo rzeczy znanych całemu światu, w które przedtem nie wierzyłem lub które lekceważyłem. Nie mniej przeto takie odkrywanie na nowo dawało mi pełne posiadanie prawdy czerpanej z samego źródła, a nie przyjętej tradycyjnie, jako komunał. W ten sposób nabytki ustawiały się w nowem świetle, które godziło je z prawdami tkwiącemi niewzruszenie w mych dawnych poglądach. Całe moje nowe myślenie służyło do ugruntowania tych poglądów i usunięcia błędnych ujęć lub pomieszania myśli, które psuły ich skuteczność. Tak na przykład w czasie późniejszych nawrotów mej depresji doktryna t. zw. konieczności filozoficznej ciążyła nad mem istnieniem, jak zмора. Męczyłem się, medytując nad tem, aż stopniowo poczęło mi się ukazywać światło. Dostrzegłem, że słowo konieczność, jako nazwa doktryny o przyczynie i skutku w zastosowaniu do ludzkich działań, pociąga za sobą asocjację, która wprowadza w błąd i która była główną przyczyną ubezwładniającego mię przygnębienia: zrozumiałem, że choć okoliczności kształtują nasz charakter, to jednak własne nasze życzenia mogą przyczynić się wielce do ukształtowania tych właśnie okoliczności; i że tem, co w doktrynie wolnej woli jest istotnie podniosłe i szlachetne, jest przekonanie, że posiadamy rzeczywistą moc nad formowaniem własnego charakteru; że wola nasza, wpływając na niektóre okoliczności, może zmienić przyszłe nasze zwyczaje lub zdolności chcenia. Wszystko to było całkowicie zgodne z doktryną o okolicznościach, lub raczej było tą właśnie doktryną właściwie zrozumianą. Od

tego czasu odróżniałem wyraźnie teorię okoliczności od fatalizmu i wykreśliłem całkowicie wprowadzające w błąd słowo konieczność. Teoria, gdy ją pojąłem, jak należy, od razu przestała być zniechęcającą i nie ugiąłem się już pod ciężarem (tak przygniatającym dla tego, kto chce być reformatorem poglądów) uważania jednej doktryny za prawdziwą, a przeciwnej za korzystną ze stanowiska moralnego. W późniejszych latach wydawało mi się, że proces myślowy, dzięki któremu wybrnąłem z tego dylematu, może oddać innym podobną przysługę; stanowi on też obecnie rozdział o Wolności i Konieczności w ostatniej księdze mego systemu logiki.

Co do polityki znów — choć nie uznawałem już doktryny, wyłożonej w „Szkicu o Rządzie”, jako teorii naukowej; choć przestałem uważać demokrację parlamentarną za zasadę bezwzględną i widziałem w niej kwestję czasu, miejsca i okoliczności; choć patrzyłem teraz na wybór urządzeń politycznych raczej jako na zagadnienie moralne i wychowawcze, niż jako na kwestję interesów materialnych, sądząc, że powinno się je rozstrzygnąć głównie przez wzgląd na to, jakie jest najbliższe wielkie stadium rozwojowe w życiu i kulturze danego narodu i jakie urządzenia najprawdopodobniej urzeczywistnią to stadium; — mimo to jednak zmiana ta w przesłankach filozofii politycznej nie wpłynęła na zmianę mych praktycznych zapatrywań politycznych na współczesne potrzeby kraju. Tak samo, jak przedtem, byłem radykałem i demokratą w stosunkach europejskich, a zwłaszcza w stosunkach angielskich. Uważałem, że przewaga, jaką w konstytucji angielskiej cieszyły się klasy arystokratyczne, szlachta i bogacze, jest złem, które należy zwalczać wszelkimi środkami — nie ze względu na rozłożenie podatków, lub podobne drobne niedogodności, ale ze względu na demoralizujący wpływ na kraj. Demoralizujący przedewszystkiem dlatego, że postępowanie rządu stawało się przykładem grubej niemoralności pu-

blicznej, a mianowicie przewagi interesu prywatnego nad publicznymi i nadużywania władzy prawodawczej dla korzyści klasowych. Następnie zaś — i to w wyższym jeszcze stopniu — dlatego, że skoro tłum szanuje zawsze najbardziej to, co w danym stanie społeczeństwa jest kluczem do władzy i skoro w urządzeniach angielskich bogactwo, dziedziczne czy nabyte, było niemal wyłącznem źródłem znaczenia politycznego, przeto bogactwo i oznaki bogactwa stawały się niemal jedyną rzeczą istotnie respektowaną i życie ludu było głównie poświęcone pogoni za niemi. Myślałem, że póki wyższe i bogatsze klasy dzierżą ster rządów, wykształcenie i poprawa bytu mas ludowych są sprzeczne z interesem egoistycznym tych klas, bo muszą podnieść zdolności ludu do zrzucenia jarzma. Jeśli natomiast demokracja uzyska znaczny, może nawet główny udział w rządach, wówczas interesem klas zamożnych będzie popieranie wykształcenia ludu, aby zapobiec istotnie szkodliwym pomyłkom, a zwłaszcza tym, któreby prowadziły do niesprawiedliwych pogwałceń własności. Na tej podstawie nie tylko byłem gorliwym zwolennikiem urządzeń demokratycznych, lecz poważnie pragnąłem, by doktryny Owena, St. Simonistów i wszystkich innych przeciwników własności prywatnej rozszerzyły się wśród ubogich klas; nie dlatego, iżbym uważał te doktryny za słuszne, lub pragnął, by wprowadzono je w życie, ale dlatego, by otworzyły się oczy wyższych klas na okoliczność, iż więcej grozi im od biedaków pogrążonych w ignorancji, niż od biednych wykształconych.

W tym stanie umysłu zastała mię francuska rewolucja lipcowa. Wzbudziła we mnie najwyższy entuzjazm i stworzyła mi nową egzystencję. Udałem się natychmiast do Paryża, gdzie przedstawiono mię Lafayette'owi i gdzie nawiązałem długotrwałe stosunki z kilku przywódcami skrajnego stronnictwa ludowego. Po powrocie rzuciłem się, jako pisarz, w wir ówczesnych dyskusyj politycznych. Przez kilka

najbliższych lat pisywałem dużo do dzienników. Artykuły te nie nastęrczały mi wprawdzie sposobności do rozwijania szerszych widnokręgów myślowych, ale z początkiem roku 1831-go próbowałem w serji artykułów p. t. „Duch Czasu” wyłożyć niektóre ze swych nowych zapatrywań, a zwłaszcza wykazać w charakterze współczesnej epoki niewłaściwości i wady, znamionujące przejście od systemu poglądów, które już się zużyły, do innego, kształtującego się dopiero. Artykuły te były, jak przypuszczam, pisane stylem staromodnym i nie dość żywe ani uderzające, by mogły kiedykolwiek pociągnąć czytelników prasy codziennej; ale gdyby nawet były znacznie bardziej zajmujące, to jednak w owej szczególnej chwili, kiedy wisiły w powietrzu wielkie zmiany polityczne, rozprawy takie były nie na czasie i całkowicie chybiały celu. Jedyne skutki, jakie, o ile mi wiadomo, wywołały, był ten, że Carlyle, żyjący wówczas na ustroniu w Szkocji, czytał je w swej samotni i powiedziawszy sobie (jak mi mówił potem) „tu jest jakiś nowy mistyk”, dopytywał się po powrocie do Londynu w jesieni, kto był ich autorem i stąd powstała nasza znajomość. Wspominałem już o wcześniejszych pracach Carlyle’a, jako o jednych z tych, które rozszerzyły me początkowo ciasne wierzenia; nie sądzę jednak, iżby pisma te same przez się mogły być wyrzeć taki wpływ na moje zapatrywania. Zawarte w nich prawdy, podane były w postaci i w szacie jak najmniej nadającej się do tego, by otworzyć im drogę do umysłów w rodzaju mojego. Wydawały się mglistą mieszaniną poezji i niemieckiej metafizyki, w której jedyną jasną rzeczą była silna niechęć do przeważnej ilości poglądów, będących podstawą mego sposobu myślenia: do utylitaryzmu, do nauki o okolicznościach i do przywiązywania jakiegokolwiek znaczenia do demokracji, logiki, ekonomji politycznej. To też nie nauczyłem się niczego wprost od Carlyle’a, lecz dopiero w miarę, jak otwierały mi się oczy na pewne prawdy

poprzez dzieła bardziej odpowiadające mej umysłowości, w miarę tego odnajdywałem te same prawdy w jego pismach. Wtedy istotnie wspaniała siła, z jaką je uwydatniał, wywierala na mnie głębokie wrażenie i przez długi czas byłem jednym z jego najgorętszych wielbicieli. Ale pisma jego przynosiły mi pożytek nie jako filozofja, która naucza, lecz jako poezja, która pobudza. W tym nawet czasie, kiedy zaczęła się nasza znajomość, nie posunąłem się jeszcze był dość daleko na drodze swego nowego myślenia, by oceniać go w całej pełni; naplepszym tego dowodem, że gdy pokazał mi rękopis swego *Sartor Resartus*, najlepszego i największego ze swych dzieł, które właśnie podówczas ukończył — mało zwróciłem na nie uwagi; coprawda, gdy ukazało się w dwa lata później, czytałem je z entuzjastycznym podziwem i prawdziwą rozkoszą.

Choć różniliśmy się tak zasadniczo w swych poglądach filozoficznych, nie mniej przeto starałem się utrzymywać z Carlyle'm stosunki przyjacielskie. Przekonał się on wkrótce, że nie byłem „nowym mistykiem” i gdy lojalnie napisałem do niego, przedstawiając dokładnie wszystkie te poglądy, o których wiedziałem, że jak najbardziej mu się nie podobają, odpowiedział mi, że główna różnica między nami polega na tem, iż „niema we mnie jeszcze nic z mistyka”. Nie wiem, kiedy wyrzekł się oczekiwania, że się nim kiedykolwiek stanę, ale choć poglądy obu nas uległy w następnych latach znacznym zmianom, nie zbliżyliśmy się przecież w swych sposobach myślenia o wiele więcej do siebie, niż podczas tych pierwszych lat naszej znajomości. Bądź co bądź nie uważałem się za kompetentnego sędziego Carlyle'a. Rozumiałem, że on był poetą, a ja nie; że był człowiekiem intuicji, którym ja nie byłem; i że jako taki nie tylko widział na długo przedemną wiele rzeczy, za które ja mogłem podążać jeno utykając i to dopiero, gdy mi je wskazano, ale że bardzo prawdo-

podobnie mógł on widzieć wiele rzeczy, które dla mnie były niedostrzegalne wówczas nawet, gdy mi na nie wskazano.

Wśród intelektualistów, których znałem zdawna, najwięcej punktów stycznych miałem ze starszym Austinem. Powiedziałem już, że zawsze był przeciwny naszemu początkowemu sekciarstwu, później zaś, podobnie jak ja, uległ nowym wpływom. Otrzymaawszy nominację na profesora prawa na uniwersytecie londyńskim, przebywał jakiś czas w Bonn i przygotowywał tam swe wykłady; wówczas to wpływy niemieckiej literatury, niemieckiego charakteru i stanu społecznego dokonały bardzo wyraźnej zmiany w jego poglądach na życie. Było w jego nowych poglądach, które przyjął, i w dawnych, które zachował, wiele powodów do sympatji pomiędzy nami. Tak samo, jak ja, nigdy nie przestał być utylitarystą i przy całym upodobaniu do Niemców i uznaniu dla ich literatury nie pogodził się nigdy w najmniejszym stopniu z metafizyką wrodzonych zasad. Wyznawał coraz bardziej rodzaj religji niemieckiej, religję poezji i uczuć z drobnym dodatkiem dogmatów pozytywnych; w polityce natomiast (i tu różniliśmy się najbardziej) nabył graniczącej z pogardą obojętności dla postępu i rozwoju urządzeń demokratycznych, choć podobał mu się socjalizm, jako najskuteczniejszy środek zmuszenia klas dzierżących władzę do wychowywania ludu.

Czułem teraz, że oddaliłem się bardzo daleko od tonu myślenia i odczuwania mego ojca: dalej niż okazałoby się w rzeczywistości, gdybyśmy byli rozmówili się otwarcie i spokojnie. Ale ojciec nie był człowiekiem, od którego możnaby było oczekiwać spokojnego i otwartego rozmówienia się na temat podstawowych punktów doktryny — przynajmniej nie rozmówienia się z tym, którego mógł uważać jako do pewnego stopnia uciekiniera z pod swego sztandaru. Na szczęście niemal zawsze zgadzaliśmy się najzupełniej co do bieżących zagadnień politycznych, które zajmowały go bardzo i dostar-

czyły często tematu do rozmów. O sprawach, co do których różniliśmy się, rozmawialiśmy mało. Wiedział, że przyzwyczajenie do samodzielnego myślenia, które utrwalił we mnie jego sposób wychowania, doprowadzało mię czasem do poglądów różnych od jego zapatrywań, i od czasu do czasu dostrzegał, że niezawsze mówiłem mu, jak wielkie to były różnice. Nie spodziewałem się niczego dobrego, a tylko przykrości dla nas obu, po dyskusji o różnicach pomiędzy nami; to też nigdy ich nie wyrażałem, chyba że wypowiadał jakiś pogląd lub jakieś uczucie, które mię odpychały — i to wypowiadał w sposób, który milczenie moje uczyniłby nieszczerością.

ROZDZIAŁ VI.

POCZĄTEK NAJCENNIJSZEJ PRZYJAŹNI W MEM ŻYCIU. ŚMIERĆ OJCA. ZAJĘCIA DO R. 1840-go.

W okresie rozwoju umysłowego, który teraz właśnie osiągnąłem, zawarłem przyjaźń, co stała się zaszczytem i głównem błogosławieństwem mego żywota, a także źródłem wielkiej części wszystkiego, czego próbowałem dokonać lub spodziewam się jeszcze zrobić dla postępu ludzkiego. W roku 1830-ym poznałem panią, która po dwudziestoletniej przyjaźni zgodziła się zostać moją żoną; miałem wówczas rok 25-y, a ona 23-i. Z rodziną jej męża było to odnowienie starej znajomości. Jego dziadek mieszkał swego czasu w najbliższem sąsiedztwie domu mego ojca i nieraz zapraszano mię, gdy byłem chłopcem, na zabawę do ogrodu starego pana. Był on doskonałym okazem dawnego purytanina szkoc-

kiego; poważny, surowy i krzepki, lecz bardzo dobry dla dzieci, na które ludzie tacy wywierają trwałe wrażenie. Choć całe lata upłynęły od mego poznania się z panią Taylor, zanim stosunki nasze stały się zażyłe, to jednak bardzo rychło nabrałem przekonania, że jest ona najbardziej godną podziwu ze wszystkich osób, jakie znałem kiedykolwiek. Nie trzeba wyobrazać sobie, że była — lub że ktokolwiek w tym wieku, w jakim ją ujrzałem po raz pierwszy, mógł być — tem, czem stała się później. Najmniej zaś mogło tak być z nią, u której prawem natury była praca nad sobą samą, postęp we wszystkich najdalszych kierunkach. Do czasu kiedy ją poznałem, jej bogata i silna natura rozwijała się głównie zgodnie z tradycyjnym typem ducha kobiecego. Na zewnątrz była osobą piękną i dowcipną, z tonem naturalnej wytworności, którą odczuwał każdy, kto zbliżał się do niej. Na wewnątrz była kobietą o głębokich i silnych uczuciach, o bystrej i intuitywnej inteligencji i o naturze wysoce poetycznej i myślącej. Wydano ją młodo zamąż za człowieka jak najbardziej prawego, dzielnego i szanownego, z dobrem wykształceniem, liberała z przekonań, ale człowieka nie posiadającego tych upodobań intelektualnych i artystycznych, które uczyniłyby go jej towarzyszem; był jej jednakże stałym i serdecznym przyjacielem, którego przez całe życie prawdziwie szanowała, żywiąc doń najgłębsze przywiązanie i opłakując go najszczerzej, gdy umarł. Ponieważ upośledzenie społeczne kobiet pozbawiało ją możliwości oddziaływania na otaczający ją świat w całej pełni, przeto życie jej płynęło wśród samotnych rozmyślań, w które wносиły odmianę zażyłe stosunki z niewielkim kołem przyjaciół.

Miałem to szczęście, że dostałem się do tego kółka i wkrótce spostrzegłem, że łączy ona w sobie zalety, co do których bywałem dotąd bardzo zadowolony, gdy je znajdowałem oddzielnie u swych znajomych. Zarówno w najwyż-

szych okręgach filozofji, jak co do najdrobniejszych praktycznych zagadnień codziennego życia, umysł jej był doskonałym instrumentem, docierającym do samego sedna kwestji, chwytającym zawsze istotną myśl lub zasadę. Dokładność i szybkość jej władz umysłowych i zdolności uczuciowych mogłaby była, przy jej rozwiniętej wyobraźni, uczynić z niej znakomitego artystę — tak samo jak jej ognista i czuła dusza i jej mocna wymowa byłyby z pewnością uczyniły z niej wielkiego mówcę, a jej głęboka znajomość natury ludzkiej i bystre orjentowanie się w życiu praktycznem byłyby — w czasie, kiedyby taka karjera była otwarta dla kobiet — zapewniły jej wybitne miejsce wśród ludzi rządzących ludzkością. A przytem jej zdolności umysłowe były podporządkowane charakterowi moralnemu najszlachetniejszemu i najbardziej zrównoważonemu ze wszystkich, jakie spotkałem kiedykolwiek w życiu.

Fakt, że dane mi było utrzymywać stosunki intelektualne z istotą o takich zaletach, musiał mieć jak najkorzystniejszy wpływ na mój rozwój; chociaż skutek był tylko stopniowy i wiele lat upłynęło, zanim jej i mój rozwój umysłowy poczęły iść naprzód w tem zupełnem koleżeństwie, jakie wkońcu osiągnęły. Zysk mój był znacznie większy od tego, jaki mogłem sam przysparzać; choć ona, która do poglądów swych doszła drogą intuicji opartej o silne odczuwanie, mogła niewątpliwie doznawać pomocy i zachęty od kogoś, kto w wielu kierunkach doszedł do takich samych wyników drogą studjów i rozumowań. Z pewnością też, przy szybkości jej rozwoju duchowego, umysł jej, który wszystko zmieniał na wiedzę, brał ode mnie, jak z innych źródeł, wiele swych materiałów. To, co jej zawdzięczam, w dziedzinie nawet intelektualnej, jest w szczegółach niemal nieskończone; o ogólnym charakterze jej wpływu, kilka słów da pojęcie, bardzo zresztą niedoskonałe.

Myśli tych, którzy — śladem najmędrszych i najlepszych ludzi — są niezadowoleni z istniejących warunków życia i którzy wszystkie swe uczucia wkładają w dążność do ich poprawy, poruszają się na dwóch głównie płaszczyznach. Jedna, to płaszczyzna celów ostatecznych, zasadniczych składników najwyższego ideału życia ludzkiego. Na drugiej znajduje się to, co jest bezpośrednio użyteczne i w danym stanie rzeczy możliwe do osiągnięcia. W obu tych dziedzinach nauczyłem się od niej więcej, niż ze wszystkich innych źródeł razem wziętych. A prawdę powiedziawszy, na tych dwóch skrajnych terenach znajduje się przedewszystkiem istotna pewność. Moja siła natomiast znajdowała się w całkowicie niepewnym i śliskim okręgu pośrednim — okręgu teorii, czyli nauk moralnych i politycznych: jeśli chodzi o wnioski, do jakich tu doszedłem, to winienem jej wdzięczność za mądry sceptycyzm, który nie powstrzymując mnie przed uczciwem rozwiązywaniem wszelkich wątków myślowych, bez względu na wyniki, ostrzegał mnie przecież przed przyjmowaniem lub ogłaszaniem tych wyników z takim zaufaniem, jakiego nie uzasadnia natura tego rodzaju spekulacji; sprawiał on też, że nie tylko gotów byłem przyjąć, ale chętnie witałem i skrzętnie poszukiwałem jaśniejszych pojęć i lepszych dowodów — co do kwestyj nawet, nad którymi jak najwięcej przemyślałem. Spadały na mnie częste pochwały (na które sam częściowo tylko zasłużyłem) za to, że pisma moje mają charakter bardziej praktyczny, niż prace większości myślicieli, którzy podobnie zajmowali się szerokimi uogólnieniami. Owóż pisma, w których zauważono te zalety, nie były dziełem jednego umysłu, lecz powstały z zespolenia dwóch, z których jeden był właśnie wybitnie praktyczny w swych sądach i w swem dostrzeganiu rzeczy aktualnych, co mu nie przeszkadzało patrzeć z wysoka w daleką przyszłość i śmiało przewidywać jej rozwój.

Jednakowoż w czasie, o którym mówię, był to jeden tylko z wielu wpływów, wśród których kształtowały się drogi mego przyszłego rozwoju; a nawet wówczas, gdy stał się — jak słusznie mogę powiedzieć — naczelną zasadą mego rozwoju umysłowego, nie zmieniał ścieżki, po której kroczyłem, lecz sprawiał jedynie, że szedłem śmiało a zarazem ostrożniej w tym samym kierunku. Jedyny rzeczywisty przewrót, jaki kiedykolwiek zaszedł w mych sposobach myślenia, już był dokonany. Nowe moje skłonności wymagały pod pewnemi względami potwierdzenia, pod innemi umiarkowania; ta zaś istotna zmiana poglądów, jaka jeszcze miała nastąpić, odnosiła się do polityki i polegała z jednej strony na większem zbliżeniu się do pewnego rodzaju socjalizmu (o ile chodzi o ostateczne cele ludzkości), a z drugiej na przesunięciu się mego ideału politycznego od czystej demokracji, jak ją pospolicie pojmują jej zwolennicy, ku tej jej zmodyfikowanej formie, którą wyłożyłem w swych „Rozważaniach o rządach przedstawicielskich”.

Ta ostatnia zmiana, która zachodziła bardzo stopniowo, zaczęła się od przeczytania a raczej przestudjowania Tocqueville'a „Demokracji w Ameryce”. Znakomita ta książka wpadła mi do rąk zaraz po ukazaniu się; znalazłem w niej wykład dobrych stron demokracji tak przekonywający, jak nie natknąłem równego u najbardziej nawet zapalonych demokratów. Specyficzne niebezpieczeństwa, będące złą stroną demokracji jako rządu większości liczbowej, były również jaszkrawo oświetlone i poddane mistrzowskiej analizie, ale nie jako powody do opierania się temu, co autor uważał za nieunikniony wynik rozwoju postępowego ludzkości, lecz jako słabe punkty rządów ludowych, uzasadniające konieczność wznoszenia szanów ochronnych i dodania pewnych poprawek tak, aby otwierając szeroko drogę rozwojowi korzystnych tendencji, zneutralizować lub stępić przeciwnę. Byłem teraz

przygotowany do rozważań w tym duchu i odtąd myśli moje poruszały się coraz bardziej tą samą koleją, choć następujące po sobie modyfikacje mych praktycznych zapatrywań politycznych rozłożone były na wiele lat.

Tematem stycznym, co do którego również wiele skorzystałem od Tocqueville'a, było podstawowe zagadnienie etatyzmu. Przenikliwa analiza filozoficzna, której poddawał doświadczenia amerykańskie i francuskie, doprowadziła go do przywiązywania jak największej wagi do tego, by lud sam wykonywał możliwie jak najwięcej ze zbiorowych zadań społeczności, bez jakiegokolwiek wtrącania się władzy wykonawczej. Uważał faktyczną działalność polityczną poszczególnego obywatela nie tylko za jeden z najsukuteczniejszych środków do rozwinięcia u ludu uczuć społecznych i zmysłu praktycznego — tak ważnych same przez się i tak niezbędnych do dobrego rządu — ale także za szczególnie środek zapobiegawczy przeciw niektórym charakterystycznym niedomaganiom demokracji i za niezbędną ochronę przeciw jej wyradzaniu się w ten jedyny despotyzm, jaki istotnie grozi w nowoczesnym świecie: przeciw rządowi absolutnym głowy władzy wykonawczej nad gromadą oddzielnych jednostek, wszystkich równych lecz wszystkich niewolnych. Coprawda nie było bezpośredniego niebezpieczeństwa z tego źródła po angielskiej stronie kanału, gdzie dziewięć dziesiątych wewnętrznych spraw, które gdzieindziej spadają na rząd, załatwia się drogami niezależnymi od rządu; gdzie nie tylko odrzuca się etatyzm na podstawie rozumowanych dowodów, ale czuje się też dość niewyrozumowane uprzedzenie; gdzie ślepa niechęć do wtrącania się rządu stoi na przeszkodzie najkorzystniejszemu nawet wykonywaniu władzy ustawodawczej, w kierunku mianowicie poprawiania nadużyć tego, co pretenduje do nazwy samorządu, ale jest zbyt często egoistycznym zaprzeczaniem interesów miejscowych przez oligarchję lokalną, ograniczoną

i łowiącą ryby w mętnej wodzie. Ale im pewniejsze było, że szeroki ogół zabrnął w błędy po stronie przeciwnej etatyzmowi, tem większe było niebezpieczeństwo, by filozofowie-reformatorzy nie popadli w błąd przeciwny i nie zamykali oczu na wady, których bolesne doświadczenie było im oszczędzone. Ja sam w owym właśnie czasie uczestniczyłem bardzo czynnie w obronie ważnych projektów (jak np. wielka reforma prawa ubogich z r. 1834-go), przeciw nierozsądnym hałasom, opartym o uprzedzenia antyetatystyczne; i gdybym nie był uczył się u Tocqueville'a, nie wiem, czy nie popadłbym, podobnie jak wielu reformatorów przede mną, w skrajność przeciwną tej, którą — jako rozpanoszoną w swej ojczyźnie — stale zwalczałem. Tak zaś płynąłem ostrożnie pomiędzy dwoma błędami i — czy udało mi się czy nie pociągnąć linję między nimi dokładnie we właściwym miejscu — bądź co bądź uwydatniałem równie silnie błędy po obu stronach i uczyniłem sposoby pogodzenia korzyści obu rozwiązań przedmiotem poważnych studjów.

Tymczasem nastąpił wybór pierwszego parlamentu po reformie¹⁾; weszło doń kilku z moich najbardziej znanych przyjaciół i znajomych radykałów — Grote, Roebuck, Buller, sir William Molesworth, John i Edward Romilly'owie i in.;

¹⁾ Mill mówi tu o pierwszej wielkiej reformie wyborczej z roku 1832-go. Stan rzeczy przed reformą był fatalny. Nazwano go połączeniem przeżytków średniowiecznych z późniejszymi nadużyciami władzy królewskiej. Prawo wysyłania posłów przysługiwało mianowicie tym gminom, którym stopniowo przyznała je Korona, ponieważ zaś od końca XVII-go w. nie wprowadzano żadnych zmian do listy uprawnionych gmin, przeto łatwo wyobrazić sobie następstwa. Niektóre z gmin, posiadających prawo głosowania, wogóle przestały istnieć lub obejmowały kilka rodzin, mimo to jednak wysyłały posła, to znaczy, że faktycznie wysyłał go wielki właściciel ziemski, do którego należały grunty danej gminy. Podobnie do rąk wielkich właścicieli przeszły małe miejscowości, którym Korona w ciągu wieków nadawała

poza tem kilku zasiadało już w parlamencie. Ci, którzy sami siebie uważali za radykałów filozoficznych i których tak nazywali przyjaciele, mieli teraz doskonałą sposobność okazania na korzystniejszym od dawniejszego stanowisku, ile są warci; to też spodziewaliśmy się z ojcem po nich wiele. Nadzieje te jednak zawiodły. Ludzie ci byli uczciwi i wiernie trwali przy swych poglądach, gdy przychodziło do głosowania. Gdy proponowano środki jaskrawo sprzeczne z ich zasadami, występowali mężnie i narażali się na wszelkie przykrości, a nie opuszczali słusznej sprawy. Ale naogół działali bardzo mało w kierunku szerzenia jakichkolwiek poglądów; mieli mało przedsiębiorczości, mało byli czynni: pozostawiali kierownictwo grupy radykalnej starym praktykom, jak Hume i O'Con-

prawo wyborcze specjalnie w celu zapewnienia sobie pożądanego składu parlamentu. Niektóre z tych miejscowości wchodziły w skład dóbr wielkomagnackich, ale niektóre można było nabywać — za wielkie sumy oczywiście. W ten sposób szereg osób z pośród arystokracji lub wzbogaconych arystów mianował posłów — przedstawicieli ludu... Natomiast pozbawione były prawa wysyłania posłów rozwijające się z błyskawiczną szybkością miasta wielkoprzemysłowe, jak Manchester, Birmingham i in. To też, jak pisze historyk: „większość izby gmin była wybierana przez mniej, niż 15.000 osób. Trzydzieści pięć miejscowości, nie mających wogóle niemal ani jednego głosującego, wysyłało 70-u posłów; 90 posłów pochodziło z 46 miejscowości o niewielej, niż 50-u głosujących i t. d. Osiemdziesięciu czterech ludzi nominowało faktycznie 157 członków parlamentu, ponadto zaś 150 członków wybierano na polecenie patronów”.

Reforma z r. 1832-go zmieniła ten stan rzeczy o tyle, że nadała prawo wysyłania posłów rozrosłym ośrodkom miejskim, odebrała je natomiast tym drobnym gminom, w których lęła się korupcja, zwiększyła następnie ilość mandatów w ludniejszych okręgach i uczyniła prawo wyborcze zawisłem nie od posiadania gruntu, jak przedtem, lecz od opłaty czynszu mieszkalnego w pewnej wysokości. To też punkt ciężkości życia politycznego przeniósł się teraz do miejskich klas średnich.

nell¹⁾. Wyjątek należy uczynić na rzecz jednego lub dwu z młodszych; a co do Roebucka, to pozostanie trwałym tytułem pamięci, że zaraz w pierwszym roku swego zasiadania w Izbie dał początek ruchowi parlamentarnemu za powszechnem nauczaniem (lub że wznowił ten ruch po nieudanej próbie p. Broughama) i że pierwszy zaczął i przez lata całe sam niemal prowadził walkę o samorząd kolonij. Nikt inny nie dokonał niczego, co mogłoby równać się naogół tym dwom rzeczom — nikt z tych nawet, po których spodziewano się najwięcej.

Teraz, gdy spokojnie spozieram wstecz, widzę, że ludzie ci mniej byli winni, niż przypuszczano i że oczekiwaliśmy od nich zawiele. Mieli niepomysłne okoliczności. Los rzucił ich w te dziesięć lat nieuniknionej reakcji, kiedy — po uspokojeniu się wzburzenia z okresu agitacji za reformą i po szybkim dokonaniu tych kilku zmian ustawodawstwa, których ogół domagał się istotnie — siła przesunęła się z powrotem w naturalnym kierunku ciężenia, do tych mianowicie, którzy byli za utrzymaniem rzeczy tak, jak były; i kiedy opinja publiczna pragnęła spoczynku i była mniej, niż kiedykolwiek, skłonna do powolności wobec prób rozbudzenia znów namiętności na rzecz nowej jakiejś akcji reformowej. Trzebaby było mieć zdolności wielkiego przywódcy politycznego, za których brak nikogo nie można winić, by przy tego rodzaju usposobieniu narodu dokonać w rozprawach parlamentarnych rzeczy istotnie wielkich. Spodziewaliśmy się z ojcem, że wyłoni się jakiś zdatny przywódca, ktoś o wykształceniu filozoficznym i darze podbijania serc, kto potrafiłby zagrzać wielu młod-

¹⁾ Daniel O'Connell (1775—1847) był jednym z twórców irlandzkiego ruchu wyzwolenczego; posiadał w parlamencie wielki wpływ jako mówca wywierający wrażenie i jako zdolny przywódca ludowy.

szych i mniej utalentowanych ludzi, gotowych do skupienia się koło niego; ktoby użył Izby Gmin jako trybuny lub katedry, by nauczać i rozbudzać opinię publiczną. Taki przywódca byłby się znalazł, gdyby ojciec mój był w parlamencie. Z braku takiego człowieka, wykształceni radykali spadli do poziomu lewego skrzydła whigów. Mając wielkie (a jak teraz sędzę, przesadne) pojęcie o możliwościach otwartych przed radykałami, jeśliby tylko wprowadzali w życie swe poglądy, pracowałem od tego czasu aż do r. 1839-go nad tem, by wlać im idee do głowy, a zamierzenia w serce. Naogół jednak moje usiłowania były daremne. Aby mogły być się udać, trzeba było mieć inne stanowisko niż to, które zajmowałem. Było to zadanie jedynie dla kogoś, kto sam będąc w parlamencie, mógłby stykać się codziennie z posłami radykalnymi, dawać inicjatywę i zamiast napierać na innych, by chwycili ster w ręce, wezwwały ich, by szli za nim.

Czego mogłem dokonać pisaniem, to robiłem. Razem wzięwszy, pisma, które ogłosiłem w czasie od r. 1832 — 1834 (nie licząc artykułów dziennikarskich), składają się na gruby tom. Wkrótce nastąpiła sposobność, dzięki której miałem moc skuteczniej, niż dotąd, pomagać rozwijaniu się stronnictwa radykałów filozoficznych. Wśród projektów, które od czasu do czasu omawialiśmy z ojcem oraz z kilku radykałami z parlamentu lub z poza niego, znajdował się plan założenia czasopisma poświęconego radykalizmowi filozoficznemu. Projekt ten dojrzał tak dalece, że rozważano już na jakie środki pieniężne możnaby liczyć i kogoby wybrać na redaktora. Jednakowoż przez pewien czas nie można było przedsięwzięcia tego urzeczywistnić; dopiero w lecie r. 1834-go sir William Molesworth, sam pracowity badacz i ścisły, z metafizyką obznajmiony myśliciel, zdolny pomagać sprawie zarówno kiesą, jak piórem, sam zaproponował ufundowanie czasopisma — pod warunkiem, że zgodzę się być rzeczywistym redaktorem,

jeśli nie mogę nim być oficjalnie. Propozycja taka była nie do odrzucenia. Czasopismo powstało naprzód pod tytułem *London Review*, później zaś wychodziło pod nazwą *London and Westminster Review*, odkąd Molesworth odkupił *Westminster Review* od jej właściciela i złączył oba pisma w jedno. Przez lata 1834 — 1840 poświęcałem redagowaniu tego wydawnictwa większą część swego wolnego czasu.

Początkowo, wzięte jako całość, nie odzwierciadlało ono bynajmniej moich poglądów. Musiałem ustępować wiele swym nieuniknionym towarzyszom pracy. Czasopismo założono na to, by było przedstawicielstwem „radykałów filozoficznych”, z których większością spierałem się teraz co do wielu istotnych punktów i wśród których nie mogłem nawet uchodzić za najważniejszą osobistość. Współpracownictwo mego ojca wszyscy uważaliśmy za niezbędne, pisywał on też dużo, póki nie przeszkodziła mu ostatnia choroba. Tematem artykułów oraz siłą i stanowczością, z jaką wyrażał w nich swe zapatrywania, oddziaływał więcej, niż jakikolwiek inny pisarz, na ton i barwę pisma. Co do mnie, nie mogłem wykonywać nadzoru redaktorskiego nad jego artykułami i często musiałem poświęcać mu część swoich własnych. W ten sposób stare doktryny *Westminster Review* stanowiły podstawę pisma; spodziewałem się jednak, że obok tamtych uda mi się wprowadzić inne idee i inny ton i uzyskać możność należytego przedstawienia swojego własnego odcienia poglądów. Mając ten cel głównie na oku, uczyniłem jedną z właściwości pisma, że każdy artykuł był podpisany inicjałami lub innym jakimś znakiem i był uważany za obraz osobistych jedynie poglądów danego pisarza, podczas gdy redaktor był odpowiedzialny za to tylko, by artykuł był godny ogłoszenia i nie sprzeczny z celami, dla których pismo założono.

Wybór tematu do pierwszego mego artykułu nastręczył mi sposobność do wprowadzenia w życie swego planu po-

godzenia starego i nowego „radykalizmu filozoficznego”. Profesor Sedgwick, wybitna głowa w pewnej szczególnej gałęzi nauk przyrodniczych, który jednak nie powinien był przenosić się do filozofji, ogłosił był właśnie dzieło, zawierające niepohamowany atak na psychologję analityczną i etykę utilitarną. Wywołało to u mego ojca i u innych wielkie oburzenie, które uważałem za całkowicie zasłużone. Tu więc miałem sposobność odparcia niesłusznego ataku i jednocześnie zaznaczenia pewnej ilości poglądów, któremi różniłem się od swych dawnych towarzyszy. Powiodło mi się to częściowo, choć stosunki moje z ojcem musiałyby były uczynić zawsze przykrem dla mnie — a już w piśmie, do którego pisywał, niemożliwem — wypowiedzenie wówczas wszystkiego, co myślałem.

Jednakowoż skłonny jestem sądzić, że ojciec nie był tak bardzo, jak się wydawało, przeciwny tym sposobom myślenia, co do których upatrywałem największe różnice pomiędzy nim a sobą; że był niesprawiedliwy wobec własnych zapatrywań wskutek nieświadomej przesady umysłu wybitnie polemicznego; i że rozważając rzeczy bez przeciwnika przed sobą, byłby przyznał słusność wielu tezom, którym napozór przeczył. Często obserwowałem, jak w praktyce liczył się ze względami, dla których skądinąd nie było miejsca w jego teorii. Dobrze wróżyło, jak sądziłem podówczas, że spodobała mu się bardzo Tocqueville’a „Demokracja w Ameryce”. Co prawda chwalił w niej znacznie więcej to, co Tocqueville mówił na korzyść demokracji, niż to, co mówił o jej złych stronach. Wszelako fakt, że wysoko cenił książkę, która bądź co bądź była przykładem traktowania zagadnienia rządu w sposób wręcz przeciwny jego metodzie — a mianowicie indukcyjnie i analitycznie, zamiast czysto dialektycznie — dodawał mi wielce odwagi. Pochwalił też artykuł p. t. „Cywilizacja”, który ogłosiłem zaraz po złączeniu się obu czasopism, a w którym umieściłem wiele ze swych nowych poglądów i krytyko-

wałem bardzo wyraźnie ówczesne tendencje umysłowe i moralne na zasadach, których z pewnością nie nauczyłem się od niego.

Jednakowoż los chciał, że wszelkie przemyśliwanie nad możliwym przyszłym rozwojem poglądów mego ojca i nad prawdopodobieństwem trwałej współpracy naszej miało być przedwcześnie przecięte. Przez cały rok 1835-y zdrowie jego psuło się: oznaki wskazywały niewątpliwie na gruźlicę płuc i w ostatecznem stadium wyczerpania zmarł 23-go czerwca 1836-go r. Aż do ostatnich chwil życia zachował pełną świeżość umysłu, jego zainteresowanie wszystkim i wszystkimi, co go obchodzili w życiu, pozostało niezmnieszone. Głównem jego zadowoleniem, gdy poznał, że zbliża się koniec, była myśl o tem, co zdziałał, aby uczynić świat lepszym, niż go zastał; a głównym żalem z powodu uciekającego życia to, że nie miał czasu zdziałać więcej.

Miejsce jego w literaturze, a nawet w historii politycznej Anglii jest poczesne; a nie przynosi to bynajmniej zaszczytu pokoleniu, które skorzystało z jego wartości, że się o nim tak rzadko wspomina i tak mało pamięta w porównaniu z ludźmi znacznie odeń niżej stojącymi. Należy to prawdopodobnie przypisać dwom przyczynom. Przedewszystkiem pamięć o nim zanadto tonie w zasłużenie większej sławie Benthama. Nie był on przecież zwykłym tylko akolitą czy uczniem Benthama. Właśnie dlatego, że sam był jednym z najbardziej oryginalnych myślicieli swego czasu, był też jednym z tych, którzy najwcześniej ocenili i przyjęli największą masę oryginalnych myśli, jaką wytworzyło poprzedzające go pokolenie. Umysły ojca mego i Benthamu były zasadniczo odmiennie zbudowane. Nie miał on wszystkich wybitnych zalet Benthamu, ale i Bentham nie posiadał wszystkich jego wartości. Byłoby niewątpliwie śmiesznem chcieć mu przypisać chwałę, że oddał ludzkości tak wspaniałe usługi, jak Bentham. Nie

zrewolucjonizował, lub raczej nie stworzył żadnego z wielkich działów myśli ludzkiej. Ale pomijając nawet wszystkie te części jego prac, w których skorzystał z tego, co zdziałał Bentham, i licząc jedynie to, czego dokonał w dziedzinie, której Bentham nie tykał — w dziedzinie psychologii analitycznej — trzeba uznać, że nazwisko jego pozostanie jednym z największych w tej olbrzymio ważnej gałęzi filozofji, która jest ostateczną podstawą wszystkich nauk moralnych i politycznych i w której praca jego stanowi jeden z zasadniczych etapów rozwoju.

Drugą przyczyną, że sława jego jest mniejsza, niż na to zasłużył, była okoliczność, że jakkolwiek przyjęto teraz powszechnie wielką liczbę jego poglądów, to jednak była naogół wielka sprzeczność pomiędzy jego duchem a duchem obecnego czasu. Jak Brutusa nazwano ostatnim Rzymianinem, tak on był ostatnim z wieku XVIII-go: przeciągał ton jego myśli i uczuć w wiek XIX-y (choć nie bez zmian i nie bez poprawek), nie poddając się ani złym ani dobrym wpływom tej reakcji przeciw w. XVIII-mu, która była silną cechą charakterystyczną pierwszej połowy w. XIX-go. Osiemnaste stulecie było wielkim wiekiem silnych i odważnych ludzi, a on był zdatnym towarzyszem dla najsilniejszych i najodważniejszych. Przez swe pisma i swój wpływ osobisty był wielkim źródłem światła dla swego pokolenia. W ciągu swych późniejszych lat był tak samo głową i przywódcą radykałów intelektualnych w Anglii, jak Wolter był nim w stosunku do „filozofów” we Francji. Jest jedną z mniejszych tylko jego zasług, że dał inicjatywę do wszystkiego, co było mądre w polityce w stosunku do Indyj. O żadnym temacie nie pisał, nie wzbogacając go o cenne myśli i z wyjątkiem „Zasad ekonomji politycznej” — książki bardzo użytecznej w czasie powstania, ale która teraz na pewien czas spełniła swe zadania — potrwa długo jeszcze, zanim jakkolwiek z jego książek będzie całkowicie

przestarzała lub przestanie być pouczającą lekturą dla badaczy danego przedmiotu. Co do mocy wpływania na przekonania i postępowanie ludzi samą siłą swego umysłu i charakteru i co do nieugiętego popierania tą drogą sprawy wolności i postępu — nie pozostawił, o ile wiem, nikogo równego sobie wśród mężczyzn a tylko jedną wśród kobiet.

Choć zdawałem sobie jasno sprawę z braku tych właściwości, dzięki którym ojciec osiągnął swój osobisty wpływ, musiałem teraz próbować, czego mogłem dokonać bez niego; i na czasopiśmie, które redagowałem, oparłem główne swe nadzieje zdobycia użytecznego wpływu na liberalny i demokratyczny odłam opinii publicznej. Pozbawiony pomocy ojca, byłem też wolny od ograniczeń i skrupułów, któremi pomoc tę okupywałem. Nie uważałem, iżby istniał jakiś inny radykalny pisarz czy polityk, wobec którego miałbym krępować się w najmniejszej mierze. Mając zaś pełne zaufanie Moleswortha, postanowiłem dawać odtąd pełny wyraz swym własnym poglądom i sposobom myślenia i otworzyć szeroko łamy czasopisma wszystkim pisarzom sympatyzującym z postępem, tak jak ja go pojmowałem, choćbym miał utracić przez to poparcie swych dawnych towarzyszy. W następstwie tego Carlyle stał się odtąd częstym współpracownikiem pisma; i chociaż poszczególne artykuły pozostawały nadal wyrazem poglądów osobistych autora, to przecież ogólny ton dostosowywał się znośnie do mych zapatrywań. Przybrałem sobie do pomocy w prowadzeniu pisma młodego Szkota, nazwiskiem Robertson, człowieka zdolnego, czytanego, bardzo pracowitego, o głowie pełnej pomysłów, jak rozwinąć sprzedaż pisma. Potrzebowałem tych jego zdolności tem więcej, że gdy z początkiem r. 1837-go Molesworth, znudzony prowadzeniem pisma ze stratą, zapragnął go się pozbyć, wówczas bardzo nierozważnie z punktu widzenia własnych interesów, a bardzo wiele polegając na pomysłach Robertsona, postanowiłem objąć pi-

smo na własne ryzyko. Pomysły były dobre i nigdy nie miałem powodu do zmiany zdania o nich. Nie sądzę jednak, iżby jakiegokolwiek pomysły mogły były sprawić, by pismo radykalne i demokratyczne zwracało wydatki, włączając w nie płatnego redaktora (czy jego zastępcę) i dobrze opłacanych autorów. Ja sam i kilku częstych współpracowników dawaliśmy swe prace darmo, tak jak to czyniliśmy za Moleswortha, ale inni pobierali honorarja przyjęte w wielkich czasopismach, a na to nie wystarczał dochód ze sprzedaży.

W tym samym r. 1837-ym, pośrodku tych zajęć, podjąłem na nowo pracę nad „Logiką”. Przez pięć lat nie tknąłem piórem tego tematu, zatrzymawszy się na progu zagadnienia indukcji. Teraz wziąłem się ostro do roboty, kradnąc czas innym pilniejszym zajęciom. Miałem wówczas wolne w sam raz dwa miesiące, w czasie których nie potrzebowałem pisać do czasopisma. W czasie tych dwóch miesięcy rozplątałem, jak mi się wydawało, wszystkie istotnie zawite węzły i ukończenie książki stało się już tylko kwestją czasu. Doszedłszy tak daleko, musiałem przerwać pracę i napisać dwa artykuły do następnego zeszytu czasopisma. Po ich napisaniu wróciłem do „Logiki” i wówczas to dostał mi się do rąk Comte’a „Kurs filozofji pozytywnej” lub raczej te dwa tomy, które były ukazały się do owego czasu.

Moja teoria indukcji była już gotowa w zasadniczych zarysach, zanim poznałem dzieło Comte’a. Mimo to zyskałem wiele od Comte’a, czem mogłem wzbogacić swe rozdziały przy następnej przerabianiu; poza tem książka jego oddała mi ogromne usługi w niektórych dziedzinach, które jeszcze nie były przemyślane. W miarę ukazywania się następnych tomów Comte’a czytałem je chciwie, ale gdy doszedł do kwestji socjologii — ze zmiennymi uczuciami. Czwarty tom sprawił mi zawód: zawierał poglądy na sprawy społeczne, z którymi nie godzę się najzupełniej. Ale przy tomie piątym, za-

wierającym uwagi o dziejach, odżył cały mój entuzjazm, którego szósty (ostatni) nie umniejszył.

Byłem długo gorącym wielbicielem pism Comte'a, zanim wszedłem z nim w stosunki, a nawet do końca nie widziałem go nigdy na oczy. Ale przez kilka lat pisywaliśmy do siebie często, aż korespondencja nasza stała się polemiczną i gorliwość nasza ochłodziła. Ja pierwszy zacząłem rzadziej pisywać, on pierwszy przestał wogóle pisać. Przekonałem się — i on prawdopodobnie przekonał się również — że nie mogłem przydać się na nic jego umysłowości, a że to, czem on mógł przydać się mojej, tego dokonał swemi książkami. Nigdyby to zresztą nie było doprowadziło do zerwania stosunków, gdyby różnice pomiędzy nami odnosiły się jedynie do kwestyj doktryny. Dotyczyły one jednak głównie tych poglądów, które w obu nas łączyły się z najsilniejszymi uczuciami i decydowały o całym kierunku naszych dążeń. Godziłem się z nim całkowicie, gdy twierdził, że masa ludzkości — włączając w nią także jej przywódców we wszystkich praktycznych gałęziach życia — musi z konieczności opinie swe o sprawach politycznych i społecznych brać po większej części (tak, jak bierze je, gdy chodzi o zagadnienia fizyczne) od tych, którzy zdobyli w tej dziedzinie powagę, poświęciwszy jej więcej badań, niż masa może sobie pozwolić naogół. Niczego też nie podziwiałem w jego wielkim traktacie więcej, niż znakomitego wykładu korzyści, jakie spłynęły na narody nowoczesnej Europy z oddzielenia władzy świeckiej od duchownej i z osobnej organizacji tej ostatniej. Godziłem się na jego twierdzenie, że wpływ moralny i umysłowy, wykonywany niegdyś przez kapłanów musi w swoim czasie dostać się filozofom i że stanie się tak całkiem naturalnie, skoro tylko zapanuje między nimi dostateczna jednomyślność i gdy skądinąd staną się godnymi takiego wpływu. Ale gdy wyciągając przesadnie tę linię myślową, budował system praktyczny, w którym fi-

lozofowie mieli być zorganizowani w rodzaj hierarchji korporacyjnej, wyposażonej niemal w takie samo władztwo duchowe (choć bez jakiejkolwiek władzy świeckiej), jak to, które posiadał dawniej kościół katolicki; gdy spostrzegłem, że polega on na tej władzy duchowej jako na jedynym zabezpieczeniu dobrego rządu, jedynym szansem przeciw rzeczywistemu uciskowi i że spodziewa się, iż w ten sposób systematyczny despotyzm w życiu państwowem i rodzinnem stanie się nieszkodliwym i korzystnym; — nie dziwota, że niemal zgodni całkowicie jako logicy, nie mogliśmy iść dalej razem jako socjolodzy.

Comte zdążył doprowadzić te doktryny do ostatecznych krańców, układając w swem ostatnim dziele p. t. „System polityki pozytywnej” najcałkowitszy system duchowego i świeckiego despotyzmu, jaki kiedykolwiek wyszedł z mózgu ludzkiego, z wyjątkiem może głowy Ignacego Loyoli: system, przy którym jarzmo opinii publicznej, kierowanej przez zorganizowane ciało duchowych nauczycieli i przywódców, byłoby nałożone na każdą działalność i — o ile to w ludzkiej mocy — na każdą myśl każdego członka społeczności, i to tak co do spraw obchodzących go tylko osobiście, jak co do tych, które zatrącają o interesy innych. Dzieło to jest słupem ostrzegawczym, co dzieje się, gdy ktoś przy swych rozumowaniach straci z oczu wartość Wolności i Indywidualności.

Wracam do swoich spraw. Czasopismo zajmowało mi przez pewien czas jeszcze niemal wszystkie wolne chwile, które mogłem poświęcać pisaniu lub rozmyślaniom z celami pisarskimi na oku. Prowadziłem pismo z dwoma głównie zamiarami. Jednym było oswobodzenie radykalizmu filozoficznego od zarzutu sekciarstwa benthamistycznego. Zachowując ścisłość określeń i wyrazistość znaczeń oraz pogardę dla frazesów deklamatorskich i mglistych ogólników, która tak zaszczytnie charakteryzowała zarówno Bentham, jak

mego ojca — pragnąłem nadać rozważaniom radykalnym szerszą podstawę oraz swobodniejszą i żywszą formę; pragnąłem pokazać, że istnieje filozofja radykalna, lepsza i pełniejsza od benthamowskiej, uznająca jednak i zawierająca w sobie wszystko, co w filozofji Benthama jest trwale cenne. To pierwsze zamierzenie powiodło się urzeczywistnić do pewnego stopnia. Drugim moim celem było podniecenie wykształconych radykałów, w parlamencie i poza nim, do wysiłków i skłonienie ich, by stali się tem, czem zdaniem mojem mogli stać się przy użyciu właściwych środków — potężnem stronnictwem, któreby było zdolne ująć ster rządów kraju lub co najmniej podyktować warunki dzielenia rządów z whigami. Zamierzenie to było od początku chimeryczne: po części dlatego, że czasy były niepomysłne, skoro zapał do reform znajdował się w okresie odpływu, a krąg zwolenników torysów rozszerzał się potężnie; bardziej jednak dlatego, że — jak słusznie zauważył Austin — „kraj nie zawierał potrzebnych ludzi”. Wśród radykałów w parlamencie było kilku z kwalifikacjami na użytecznych członków oświeconego stronnictwa radykalnego, ale nikogo, ktoby był zdolny utworzyć i prowadzić takie stronnictwo. Wezwania, które kierowałem pod ich adresem, nie znajdowały odpowiedzi.

Gdy już znikła ostatnia nadzieja powstania stronnictwa radykalnego, nastał dla mnie czas, by skończyć z wielkim nakładem czasu i pieniędzy, jaki pochłaniało czasopismo. Odpowiedziało ono do pewnego stopnia moim osobistym pragnieniom, jako środek rozpowszechnienia mych przekonań. Umożliwiło mi wyrażenie w druku wielu z mych zmieniomych sposobów myślenia i wyraźne odseparowanie się od ciaśniejszego benthamizmu z mych wcześniejszych pism. Na wiosnę więc r. 1840-go oddałem czasopismo w ręce p. Hicksa, który był częstym i bardzo szczęśliwie niepłatnym współpracownikiem za mego redaktorstwa; zawarowałem je-

dynie, by zmiana zaznaczyła się powrotem do dawnego tytułu *Westminster Review*. Pod tą nazwą p. Hickson prowadził pismo przez dziesięć lat, zamieszczając od czasu do czasu i moje artykuły.

ROZDZIAŁ VII.

OGÓLNY RZUT OKA NA RESZTĘ MEGO ŻYCIA.

Od tego czasu cokolwiek w mem życiu warte jest wspomnienia mieści się w bardzo ciasnych ramach; nie mam już bowiem do zanotowania dalszych zmian w swej umysłowości, mógłbym tylko — tuszę — mówić o ciągłym postępie umysłowym, którego nie można ująć historycznie i którego wyniki, jeśli istnieją, można najlepiej znaleźć w mych pismach. Dla tego będę bardzo skracał kronikę swych następnych lat.

Wolny czas, który zyskałem, porzucając pracę redaktorską, poświęciłem przedewszystkiem wykończeniu „Logiki”. W lecie i jesieni 1840-go r. opracowałem resztę dzieła, od kwietnia do końca następnego roku poświęcałem wolne chwile całkowitemu przeredagowaniu książki od początku. W ten sposób powstały wszystkie moje książki. Pisałem je zawsze conajmniej dwa razy; naprzód układałem bruljon samego dzieła aż do samego końca, a potem zaczynałem znów wszystko od początku, włączając jednak przy tem drugim pisaniu wszystkie zdania lub części zdań z bruljonu. Uważam, że taki system podwójnej redakcji daje znaczne korzyści. Łączy on w sobie bardziej, niż jakikolwiek inny sposób kompozycji, świeżość i siłę pierwszego rzutu z wyższą ścisłością i całkowitością, jakie daje przedłużone myślenie. Ponadto co do siebie

przekonałem się, że gdy raz przeszło się przez cały temat i gdy główna treść tego, co ma się do powiedzenia, znalazła się, choć niedoskonale, ale przecież jakoś, na papierze — wówczas znacznie łatwiej zdobyć się na cierpliwość potrzebną do starannego opracowania szczegółów. Jedyną rzeczą, którą już w bruljonie staram się uczynić możliwie najdoskonalszą, to układ. Jeśli ten jest zły — płacze się cała nić, na którą nanizane są poszczególne myśli i bruljon z tą wadą od urodzenia jest prawie bezużyteczny jako podstawa do ostatecznego wykończenia.

Przy końcu r. 1841-go książka była gotowa do druku. Ofiarowałem ją firmie wydawniczej Murraya, która trzymała ją naprzód tak długo, aż było zapóźno ogłaszać ją w tym sezonie, a następnie odmówiła wydania z powodów, które można było podać odrazu. Nie miałem jednak powodu do żałowania tej odmowy, która sprawiła, że ofiarowałem książkę firmie Parkera: ta wydała ją na wiosnę 1843-go r. Moje nadzieje na powodzenie były nadzwyczaj słabe. Nie można było oczekiwać, by rozprawa o tak oderwanym temacie była popularna; mogła to być jedynie książka dla pracowników naukowych, a pracownicy w tej dziedzinie nietylko byli (przynajmniej w Anglii) nieliczni, lecz należeli przeważnie do przeciwniej szkoły metafizycznej, szkoły ontologicznej i „wrodzonych zasad”. Nie spodziewałem się wobec tego, by książka miała wielu czytelników lub zwolenników; nie liczyłem też na wielki jej skutek praktyczny — poza utrzymaniem nieprzerwanej tradycji tego, co uważałem za lepszą filozofję. Jak się to stało, że książka miała, jak na dzieło tego rodzaju, tak wiele powodzenia i jakiego rodzaju ludzie tworzą większość tych, którzy ją kupili (nie odważam się powiedzieć: przeczytali) nigdy dobrze nie rozumiałem. Ale w połączeniu z wielu późniejszymi dowodami odżycia rozstrząsań filozoficznych, odżycia zwłaszcza na uniwersytetach, (gdzie swego

czasu byłbym się był tego najmniej spodziewał), rzecz staje się częściowo zrozumiała. Nie oddawałem się nigdy złudzeniu, że książka ta wywarła jakiś poważniejszy wpływ na zapatrywania filozoficzne. Niemiecki czyli aprioryczny pogląd na wiedzę ludzką i na zdolności poznawcze będzie prawdopodobnie przez długi czas jeszcze (choć, spodziewajmy się, w coraz mniejszym stopniu) panował wśród tych, którzy zajmują się tego rodzaju dociekaniem, tak tu, jak na kontynencie. Ale „System Logiki” dostarczał, czego bardzo było potrzeba: podręcznika przeciwnej doktryny, tej, która wyprowadza wszelką wiedzę z doświadczenia, a wszelkie właściwości intelektualne i moralne z kierunku nadanego asocjacji. Nikt nie ocenia skromniej, niż ja, tego, co analiza procesów logicznych lub co jakiegokolwiek możliwe reguły dowodzenia mogą zdziałać same przez się dla kierowania lub poprawiania operacji pojmowania. Ale jakkolwiek mała byłaby wartość praktyczna prawdziwej filozofii w tej materji, nie można dość przestrzegać przed złemi stronami fałszywej. Pojęcie, że prawdy zewnętrzne w stosunku do umysłu mogą być poznawane przez intuicję i świadomość niezależnie od obserwacji i doświadczenia, jest wedle mego przeświadczenia główną podporą intelektualną mylnych doktryn i złych urzędzeń. Dzięki tej teorii wszelkie zadawnione wierzenie i każde silne poczucie, którego początek jest niepamiętny, jest wolne od obowiązku rozumowego usprawiedliwienia się i staje się samo swem własnem wszechwystarczającym poręczeniem i usprawiedliwieniem. Nigdy nie było tak doskonałego narzędzia do uświęcania wszelkich głęboko zakorzenionych przesądów.

Owóz „System Logiki” atakował filozofów intuicjonalnych na gruncie, na którym uważano ich dotąd za niewzruszonych; dawał własne wyjaśnienie, czerpane z doświadczenia i asocjacji, tej szczególnej cechy t. zw. prawd koniecznych, którą przytacza się, jako dowód, że ich oczywistość pocho-

dzić musi z głębszego źródła, niż z doświadczenia. Czy mi się powiodło, to jeszcze rzecz sporna; gdyby nawet tak było, to pozbawienie sposobu myślenia, który tak silnie wrósł w ludzkie przesady i uprzedzenia, jego czysto spekulatywnej podpory, mało by jeszcze posuwało naprzód sprawę jego przewyciężenia. Ale choć to tylko jeden krok, jest on przecież nieodzowny; bo skoro, wzięwszy wszystko razem, przesąd może być skutecznie zwalczony jedynie przez filozofję, nie można nic przeciw niemu zdziałać na stałe, aż okaże się, że nie ma filozofji po swej stronie.

Byłem teraz wolny od jakiegokolwiek uczestnictwa w czynnej polityce i od zajęć literackich, pociągających za sobą konieczność osobistego stykania się ze współpracownikami i z innymi; to też mogłem dać folgę skłonności — naturalnej u osób myślących, gdy minie wiek próżności chłopięcej — ograniczenia swych stosunków towarzyskich do bardzo niewielu osób. Życie towarzyskie, jak ono obecnie wygląda w Anglii, jest zajęciem tak niemądrem, że ludzie prowadzą je z różnych przyczyn, a tylko nie dla przyjemności. Ponieważ wszczynanie poważnej dyskusji na temat, co do którego różnią się zdania, uważa się za objaw złego wychowania, a narodowi naszemu właściwy brak żywości i towarzyskości sprawił, że nie rozwinęła się u nas sztuka miłego rozmawiania o drobiazgach, w której tak bardzo celowali Francuzi ubiegłego wieku, przeto jedyną wartością stosunków towarzyskich dla tych, którzy nie znajdują się na szczycie drabiny, jest nadzieja, że pomoże im to do wzniesienia się o szczebel wyżej; podczas gdy dla tych, co już są na szczycie, jest to głównie poddawaniem się zwyczajowi i rzekomym wymogom stanowiska. Dla kogoś, kto choć trochę odbiega w myśleniu i czuciu od całkowitej pospolitości, takie życie towarzyskie — o ile nie chodzi mu o posłużenie się niem do osobistych celów musi być całkiem niepociągające: to też ludzie istotnie wyso-

kiej miary duchowej tak dziś przeważnie ograniczają swój udział w niem, że wydaje się, iż wycofują się zeń całkowicie. Ludzie wyższej wartości umysłowej, którzy czynią inaczej, niemal wszyscy bez wyjątku ponoszą pewien szwank. Nie mówiąc o stracie czasu — obniża się poziom ich odczuwania: dbają coraz mniej o te swoje zapatrywania, o których muszą milczeć w towarzystwie; poczynają uważać swe najwyższe cele za niepraktyczne lub conajmniej za zbyt odległe od urzeczywistnienia, by mogły uchodzić za więcej, niż wizję lub teorię; a jeśli, wyjątkowo, zachowują wyższe zasady nieskażone, to jednak ze względu na osoby i chwilowe sprawy nieświadomie przyjmują sposoby odczuwania i sądzenia, mogące im zjednać sympatje osób, z którymi obcuja. Człowiek mądry nie powinien nigdy utrzymywać stosunków towarzyskich z ludźmi nie wyintelektualizowanymi, chyba że może wejść pośród nich jako apostoł; choć, coprawda, jest jedyną osobą o wyższych aspiracjach, mogącą przebywać wśród nich bez niebezpieczeństwa.

Wszystko to sprawiło, że bardzo małe było koło osób, z którymi pragnąłem teraz utrzymywać stosunki, tem bardziej stosunki zażyłe. Pośród nich główną osobą była nieporównanna przyjaciółka, o której mówiłem. W owym czasie żyła przeważnie na cichej wsi z młodą córką, a od czasu do czasu tylko w mieście, z mężem. Tu i tam i odwiedzałem ją i byłem jej bardzo wdzięczny za siłę charakteru, dzięki której nie zważała, iż można było fałszywie pojmować częstość mych odwiedzin w czasie nieobecności p. Taylora, a także nasze przygodne wspólne podróże, choć pod każdym innym względem nasze zachowywanie się przez wszystkie te lata nie dawało najbliższego powodu do podejrzenia czegoś innego, niż tego, co było prawdą, że mianowicie wzajemny nasz stosunek polegał podówczas jedynie na silnej przyjaźni i poufnej zażyłości. Bo chociaż nie uważaliśmy, iżby konwenanse towarzyskie obowią-

zywały w sprawie tak całkowicie osobistej, poczuwaliśmy się do obowiązku, by postępowanie nasze w najmniejszym stopniu nie rzucało cienia na jej męża, ani tem samem na nią samą.

W tym trzecim okresie mego rozwoju umysłowego, który szedł teraz ręką w rękę z jej rozwojem, poglądy moje zyskały zarówno na szerokości, jak na głębi: pojmowałem więcej rzeczy, a te, które pojmowałem wpierw, teraz rozumiałem dokładniej. W czasie kiedy byłem zapalonym zwolennikiem Benthama, sięgałem wzrokiem niewiele dalej, niż stara szkoła ekonomistów, w krąg możliwości zasadniczej poprawy urządzeń społecznych. Własność prywatna i zasada dziedziczenia wydawały mi się, tak jak im, ostatniem słowem prawodawstwa; nie myślałem też o niczem więcej, jak tylko o złagodzeniu nierówności, wynikających z tych urządzeń, przez zniesienie prawa pierworodztwa i ordynacyj. Przypuszczenie, że można było iść dalej w kierunku usunięcia niesprawiedliwości — bo niesprawiedliwość zachodzi tu niewątpliwie, czyż na jej zapobiec całkowicie czy nie — tkwiącej w tem, że niektórzy rodzą się na bogaczy, a wielka większość na biedaków, przypuszczenie to uważałem za chimerę i spodziewałem się jedynie, że dzięki wykształceniu powszechnemu, które doprowadzi do dobrowolnego ograniczenia przyrostu ludności, można będzie los biednych uczynić znośniejszym. Krótko mówiąc, byłem demokratą, ale bynajmniej nie socjalistą. Teraz byliśmy oboje znacznie mniej demokratami, niż ja nim byłem przedtem, bo przy obecnym godnym pożałowania stanie wykształcenia obawialiśmy się ignorancji, a zwłaszcza egoizmu i brutalności mas; ale nasz ideał ostatecznej poprawy wyrastał daleko poza demokrację i byłby z pewnością skwalifikował nas pod ogólną nazwę socjalistów. Odrzucaliśmy wprawdzie z największą energią tę tyranję społeczeństwa nad jednostką, którą, jak przypuszcza się, zawiera w sobie większość systemów socjalistycznych; spodziewaliśmy się jednak

nadejścia czasu, kiedy społeczeństwo nie będzie już podzielone na próżniaków i ludzi pracy; kiedy zasada, że ci, którzy nie pracują, nie będą jedli, będzie zastosowana nie tylko do nędzarzy, ale bezstronnie do wszystkich; kiedy podział wytworów pracy, zamiast być zawisłym, jak to dzieje się w tak wielkiej mierze obecnie, od przypadku urodzenia, będzie odbywał się drogą ugody na podstawie uznanej zasady sprawiedliwości, i kiedy nie będzie już niemożliwym lub nie będzie się uważało za niemożliwe, by ludzie pracowali z wysiłkiem nie dla własnej korzyści tylko, ale dla wspólnego dobra społeczeństwa. Za zagadnienie społeczne, które przyszłość winna rozstrzygnąć, uważaliśmy kwestję, jak połączyć największą jednostkową swobodę działania ze wspólną własnością surowców świata i z równym udziałem wszystkich w zyskach płynących z połączonej pracy.

Nie wmawialiśmy sobie zarozumiale, iż możemy już przewidzieć ściśle formy urządzeń, przy których pomocy możnaby najlepiej osiągnąć te cele, lub oznaczyć, jak prędko będzie je można urzeczywistnić. Jasne było dla nas, że aby uczynić takie przeobrażenie czy to możliwym czy pożądanem, musi nastąpić odpowiednia zmiana w charakterze tak tej nieokrzesanej trzody, którą tworzą obecnie masy pracujące, jak olbrzymiej większości ich pracodawców. Obie te klasy muszą w praktyce nauczyć się pracować łącznie dla celów szlacheckich lub bądź co bądź publicznych i społecznych, a nie jak dotąd, dla celów jedynie ciasno samolubnych. Zdolność do tego zawsze istniała w ludzkości i nie wygasła, ani prawdopodobnie nigdy nie wygaśnie. Wychowanie, przyzwyczajenie i kształcenie uczuć sprawia, że zwykły człowiek będzie kopał i tkał dla swego kraju równie ochotnie, jak zań walczy. Prawda, że jedynie powoli i stopniowo i przez system kultury rozciągnięty na kilka pokoleń można ludzi doprowadzić naogół do tego punktu. Ale przeszkody nie leżą w zasadniczym ustro-

ju natury ludzkiej. Zainteresowanie się dobrem społecznym jest obecnie w szerokich warstwach tak słabą podniętą nie dlatego, iżby nigdy nie mogło być inaczej, ale dlatego, że umysł jest nieprzyzwyczajony do działania na jej zasadzie tak, jak działa od rana do wieczora na zasadzie motywów odnoszących się do osobistych tylko korzyści. Gdy jednak podnieci się to zainteresowanie do tego stopnia, by było w codziennem życiu równie skuteczne, jak nim jest obecnie egoizm i gdy mu z zewnątrz doda ostrogi pragnienie odznaczenia i obawa przed wstydem, wówczas potrafi ono pobudzić pospolitego nawet człowieka do największych wysiłków i do jak najbardziej bohaterskich poświęceń. Głęboko zakorzenione samolubstwo, które stanowi ogólną cechę obecnego stanu społeczeństwa, jest dlatego tylko *tak* głęboko zakorzenione, że cały bieg istniejących urządzeń zmierza do umocnienia go. Nowoczesne urządzenia są pod tym względem gorsze od starożytnych, gdyż w życiu nowoczesnem zdarza się rzadziej, niż w mniejszych społeczeństwach starożytności, że jednostka jest powołana do uczynienia czegoś na rzecz ogółu bez otrzymania za to zapłaty. Mimo to nie zamykaliśmy oczu na szaleństwo, jakim byłyby przedwczesne próby usunięcia działania interesu osobistego w sprawach społecznych, dopóki niema niczego, coby go zastąpiło; uważaliśmy jednak wszystkie istniejące urządzenia i społeczne procedury za tymczasowe jedynie i witaliśmy z największą radością i zainteresowaniem wszystkie doświadczenia socjalistyczne, czynione przez wybitne jednostki (jak np. zakładanie stowarzyszeń współdzielczych) i które — udane czy nie — musiały działać bardzo wychowawczo na uczestników: rozwijały przecież ich zdolność do działania na zasadzie motywów, odnoszących się do dobra ogólnego, lub zwracały im uwagę na wady, które czynią ich i innych niezdolnymi do takiego działania.

W „Zasadach ekonomji politycznej” poglądy te znalazły wyraz, mniej jasny i pełny w pierwszym wydaniu, lepszy w drugim, a całkiem niedwuznaczny w trzecim. Różnica ta powstała częściowo wskutek zmiany czasów, jako że pierwsze wydanie było napisane i oddane do druki przed rewolucją francuską 1848-go r., po której opinia publiczna stała się dostępniejszą dla nowinek w poglądach i przyjmowała jako umiarkowane takie doktryny, któreby niewiele przedtem była uważała za bardzo rażące. W pierwszym wydaniu trudności piętrzące się przed socjalizmem były podkreślone tak silnie, że ton wskazywał naogół na opozycję przeciw niemu. W następnym roku czy dwóch poświęciło się wiele czasu na przestudjowanie najlepszych pisarzy socjalistycznych kontynentu oraz na rozważenie i przedyskutowanie całego szeregu kwestyj spornych — z tym wynikiem, że co było na ten temat w pierwszym wydaniu, to skreśliło się po większej części, wprowadzając natomiast argumenty i uwagi, które odpowiadają poglądom bardziej zaawansowanym.

W zimie r. 1846/47 pisywałem artykuły do *Morning Chronicle*, nastając na przydzielenie chłopom irlandzkim pustych ziem na własność. Było to w czasie wielkiego głodu, gdy wydawało się, że ostre potrzeby chwili nastręczają sposobność zwrócenia uwagi na jedyny, zdaniem mojem, środek połączenia ochrony przed grożącą bezpośrednio zagładą z trwałą poprawą społecznych i gospodarczych warunków bytu ludu irlandzkiego. Ale myśl była nowa i zadziwiająca; nie było angielskiego precedensu dla takiego postępowania, a głęboka ignorancja polityków angielskich i angielskiej publiczności w kwestjach dotyczących wszelkich zjawisk społecznych nie spotykanych powszechnie w Anglii (choćby pospolitych gdzieindziej) sprawiła, że usiłowania moje skończyły się całkowitem niepowodzeniem. Zamiast dokonać wielkiej operacji pustymi ziemiami i uczynić wyrobników właścicielami, parla-

ment uchwalił ustawę o zapomogach, utrzymującą ich w stanie nędzy; i jeśli naród nasz nie wpłatał się w nierozwiązalne trudności na skutek łącznego działania starego zła i babskiego lekarstwa na nie, to zawdzięczać to należy jedynie nieoczekiwanej i wyjątkowej okoliczności: wyludnieniu Irlandji, rozpoczętemu przez głód a trwającemu wskutek wychodźstwa.

Szybkie powodzenie „Ekonomji politycznej” dowodziło, że publiczność potrzebowała takiej książki i była przygotowana do jej przyjęcia. Pierwsze wydanie, ogłoszone z początkiem r. 1848-go, a składające się z 1000 egzemplarzy, rozeszło się w niecały rok. Drugie podobne wydanie wyszło na wiosnę r. 1849-go, a trzecie (1250 egz.) z początkiem 1852-go r. Od początku książkę tę nieustannie cytowano i powoływano się na jej powagę, bo było to dzieło nie oderwanej tylko wiedzy, ale także wiedzy stosowanej i traktowało ekonomję polityczną nie jako rzecz w sobie, ale jako ułamek większej całości — jako gałąź filozofji społecznej, tak powiazaną z wszystkimi innemi gałęziami, że jej konkluzje w obrębie własnego nawet terenu są warunkowo tylko prawdziwe, podlegają mianowicie wpływom przyczyn, które nie należą bezpośrednio do jej zakresu badań.

Przez dłuższy czas potem nie ogłosiłem żadnego większego dzieła; pisywałem jedynie do czasopism, a korespondencja moja (często z osobami zupełnie mi nieznanemi) na temat spraw publicznych urosła do ogromnych rozmiarów. W ciągu tych lat napisałem lub rozpocząłem pisać różne szkice do ewentualnych przyszłych publikacyj. Obserwowałem też z wielkiem zainteresowaniem rozwój wypadków w dziedzinie publicznej, naogół nie znajdując nic zachęcającego. Reakcja europejska po r. 1848-ym i powodzenie pozbawionego skrupułów uzurpatora w grudniu r. 1851-go przekreślały, jak się zdawało, wszelkie nadzieje na wolność i poprawę stosunków społecznych we Francji i na kontynencie. W Anglii

byłem świadkiem, jak wiele poglądów, które żywiłem w młodości, zyskało i zyskiwało nadal powszechne uznanie, i jak wiele reform, o które walczyłem całe życie, doczekało się urzeczywistnienia. Ale dobrobyt ludzki zyskał na tych zmianach znacznie mniej, niż przypuszczałem, bo wprowadziły one bardzo niewiele poprawy do tego, co stanowi o wszelkiem istotnem polepszeniu losu ludzkości — do jej stanu umysłowego i moralnego; można nawet pytać, czy różne przyczyny pogorszenia, których działanie zaznaczyło się tymczasem, nie przeważały tendencji do poprawy. Doświadczenie nauczyło mię, że można zamienić wiele fałszywych poglądów na słuszne, nie zmieniając ani trochę przyzwyczajęń myślowych, których wynikiem są fałszywe opinie. Ogół angielski na przykład ma równie surowe i bezkrytyczne pojęcia o zagadnieniach ekonomji politycznej teraz, gdy nawrócono naród na wolny handel, jak je miał przedtem; a jeszcze dalej mu jest do lepszych przyzwyczajęń myślowych i uczuciowych lub do większej odporności na błędy w kwestjach wznioślejszej natury. Jestem teraz przekonany, że położenie ludzkości nie może poprawić się znacznie, dopóki nie zajdą wielkie zmiany u samych podstaw jej umysłowości. Dawne mniemania w kwestjach religijnych, moralnych i politycznych tyle utraciły wpływu na umysły bardziej wyintelektualizowane, że są pozbawione po większej części zdolności zdziałania czegoś dobrego, podczas gdy mają wciąż jeszcze dość życia w sobie, by stanowić potężną przeszkodę do rozwijania się lepszych poglądów na te kwestje. W ostatnich czasach począł rozwijać się swobodniejszy duch filozoficzny, pozwalający zapatrywać się pomyślniej na stopniową emancypację umysłową Anglii; w połączeniu z odnowieniem się, pod lepszymi auspicjami, politycznego ruchu wolnościowego w reszcie Europy otwiera to lepsze widoki na rozwój ludzkich spraw.¹⁾

¹⁾ Pisane około r. 1861-go (*przyp. aut.*).

Pomiędzy czasem, o którym właśnie mówiłem, a obecną chwilą zaszły najważniejsze wydarzenia w mem życiu prywatnem. Pierwszem było moje małżeństwo, w kwietniu roku 1851-go, z osobą, której nieporównana wartość duchowa uczyniła przyjaźń dla mnie największem źródłem mego szczęścia i doskonalenia się — w ciągu długich lat, podczas których nie spodziewaliśmy się, że stosunki pomiędzy nami się zacieśnią. Jakkolwiekbydź gorąco mógłbym sobie być życzyć tego całkowitego połączenia naszych istnień, tak samo ja, jak moja żona, bylibyśmy woleli wyrzec się tego szczęścia, niż zawdzięczać je przedwczesnej śmierci człowieka, dla którego żywiłem najszczerzy szacunek, a do którego ona była bardzo silnie przywiązana. Gdy to jednak nastąpiło w lipcu r. 1849, dane mi było uzyskać z tego zła swoje największe dobro — dodanie do istniejącej oddawna wspólnoty myśli, odczuwania i pisania wspólnoty całego naszego bytu. Przez siedem i pół lat cieszyłem się tem błogostawieństwem, przez siedem i pół tylko! Nie mogę znaleźć słów, któreby opisały w najlżejszej nawet mierze, czem ta strata była i jest. Ale ponieważ wiem, że takie byłoby jej życzenie, usiłuję resztę swego życia obrócić jak najlepiej na to, by pracować dalej dla wytkniętych przez nią celów — z tą zmniejszoną siłą, jaką dać może myśl o niej i związek z jej pamięcią.

Gdy dwie osoby mają całkowicie wspólne myśli, gdy w codziennem życiu rozstrząsają pomiędzy sobą wszelkie tematy interesujące ze stanowiska intelektualnego lub moralnego i gdy zgłębiają je znacznie bardziej, niż to dzieje się zazwyczaj w pismach przeznaczonych dla szerokiej publiczności; gdy wychodzą z tych samych założeń ideowych i dochodzą do swych wniosków wspólnemi rozumowaniami — wówczas, jeśli chodzi o kwestję oryginalności, jest rzeczą małej wagi, która z tych osób trzyma pióro. Ta, która przyczynia się najmniej do samego napisania, może przyczynić się najwięcej do treści

myślowej i pisma tak powstające są wspólnym tworem ich obojga, tak iż często nie można oddzielić ich udziałów i twierdzić, że to należy do jednego, a tamto do drugiego. W tem szerokiem znaczeniu, nie tylko w czasie naszego życia małżeńskiego, ale w ciągu wielu poprzednich lat naszej zażyłej przyjaźni, wszystkie pisma, które ogłosiłem, były w równej mierze jej dziełami, jak mojemu; i to udział jej wzrastał stale z postępem lat. Jednakowoż w pewnych przypadkach można wyraźnie odróżnić, co należy do niej. Poza ogólnym wpływem, jaki umysł jej wywierał na mój, najcenniejsze myśli i wyrażenia w tych wspólnych utworach — te, które były najowocniejsze w ważne wyniki i najwięcej przyczyniły się do powodzenia i reputacji samych dzieł — jej zawdzięczają powstanie, z jej wypłynęły umysłu, podczas gdy mój udział w nich był nie większy, niż w stosunku do myśli, które znajdowałem u poprzednich autorów i które jedynie przyswajałem sobie, wcielając je do swego systemu myślowego. Przez większą część swego życia autorskiego pełniłem wobec niej urząd, który od wczesnego wieku uważałem za nadający się dla siebie najlepiej: urząd wykładowcy poglądów samodzielnych myślicieli i pośrednika pomiędzy nimi a publicznością. Zawsze bowiem miałem skromne mniemanie o własnych zdolnościach w dziedzinie samodzielnego myślenia, wyjąwszy nauki abstrakcyjne (logikę, metafizykę oraz zasady teoretyczne ekonomji i polityki), uważałem natomiast, że przewyższam większość mych współczesnych chęcią i zdolnością uczenia się od każdego; nie znajdowałem przecież niemal nikogo, ktoby w takim stopniu uważał sobie za obowiązek zbadać wszystko, co kiedykolwiek powiedziano na obronę wszelkich tez, jako że pod błędami nawet mogą znaleźć się zakopane prawdy i że bądź co bądź odsłonięcie tego, co dawało im pozór prawdopodobieństwa, może być korzystne dla prawdy. To też łatwo zrozumieć, że gdy wszedłem w ścisłe

stosunki umysłowe z osobą o najświetniejszych zdolnościach, której genjusz, rosnąc i rozwijając się, nieustannie odkrywał prawdy, wyprzedzając mię w tem znacznie, i to prawdy, w których nie mogłem, jak to czyniłem w stosunku do innych, dopatrzyć się jakiegokolwiek przymieszki błędu — mój rozwój umysłowy polegał odtąd głównie na przyswajaniu sobie tych prawd, a najcenniejszą częścią mej pracy duchowej było budowanie mostów i oczyszczanie ścieżek, łączących je z mym ogólnym systemem myślenia ¹⁾).

¹⁾ Stopnie mego rozwoju umysłowego, za które winienem jej wdzięczność, nie były bynajmniej takie, jakby je sobie wyobrażał ktoś całkiem nieświadomy rzeczy. Można by np. przypuszczać, że moje silne przekonanie o całkowitej równości we wszystkich stosunkach prawnych, politycznych, społecznych i domowych, jaka powinna istnieć pomiędzy mężczyznami i kobietami, pochodzi od niej. To o tyle jest dalekie od rzeczywistości, że przekonania te były jednym z najwcześniejszych owoców mego zajęcia się zagadnieniami politycznymi i siłą, z jaką je podtrzymywałem, przyczyniła się, jak sądzę, więcej niż cokolwiek innego, do wzbudzenia jej zainteresowania się mą osobą. Prawdą jest natomiast, że dopóki jej nie znałem, pogląd ten był w mym umyśle mało czem więcej, niż oderwaną zasadą. Dopiero głównie dzięki jej naukom dostrzegłem szerokie praktyczne znaczenie upośledzenia kobiet i opisałem je w książce o „Poddaństwie kobiet”. Gdyby nie jej rzadka znajomość natury ludzkiej i jej zrozumienie wpływów moralnych i społecznych, byłbym wprawdzie niewątpliwie posiadał swe obecne zapatrywania, ale miałbym bardzo niedostateczne pojęcie o sposobie, w jaki następstwa upośledzonego stanowiska kobiet zaszczepiają się o wszystkie zle strony istniejącego społeczeństwa i o wszystkie trudności, stojące na drodze udoskonalenia się ludzkości. Jestem boleśnie świadom, jak wiele z jej najlepszych myśli o tej kwestji nie udało mi się odtworzyć należycie i jak dalece mała ta rozprawa nie dorasta do poziomu, na którymbym stanęła, gdyby ona była sama przeleżała swe poglądy na papier lub gdyby jej było starczyło życia, by przejrzeć i poprawić moje niedoskonałe wywody (*przyp. aut.*).

Pierwszą z mych książek, w których widoczny jest jej udział, były „Zasady ekonomji politycznej”. Natomiast „System Logiki” mało jej zawdzięczał, wyjąwszy pomniejsze kwestje układu, co których pisma moje, tak większe jak drobne, zyskały wiele dzięki jej dokładnemu i jasnowzrocznemu krytycyzmowi. Rozdział „Ekonomji politycznej”, który miał większy wpływ na opinię, niż cała reszta, a mianowicie rozdział o „prawdopodobnej przyszłości klas pracujących”, zawdzięcza jej całkowicie powstanie: w pierwszym szkicu książki rozdziału tego nie było. Ona dopiero wskazała na jego potrzebę, ona spowodowała, że go napisałem i ogólna część, zawierająca wykład i rozbiór dwóch zwalczających się teoryj co do warunków położenia klas pracujących, była całkowicie wywodem jej myśli, często w słowach wyjętych z jej ust. Ścisłe naukowej części „Ekonomji politycznej” nie nauczyłem się od niej, ale jej to głównie wpływ nadał książce ten ogólny ton, którym odróżniała się od wszystkich poprzednich wykładów ekonomji, mających pretensję do naukowości, i który umożliwił jej pozyskanie umysłów odepchniętych przez te dawniejsze wykłady.

Ton ten polegał głównie na właściwem rozróżnianiu pomiędzy prawami wytwarzania dóbr (które są rzeczywistemi prawami natury, zależnemi od właściwości przedmiotów) i sposobami ich rozdziału (które, z zastrzeżeniem pewnych warunków, zależnie są od woli ludzkiej). Większość ekonomistów miesza te rzeczy, oznaczając je obie jako prawa ekonomiczne, które, ich zdaniem, nie mogą być przewyciężone ani zmienione ludzkim wysiłkiem; przypisują oni w ten sposób tę samą konieczność rzeczom zawisłym od niezmiennych warunków naszego bytu ziemskiego i tym, które będąc wynikami pewnych szczególnych urządzeń społecznych zmieniają się razem z niemi. Wśród danych instytucyj i zwyczajów, ściśle oznaczone przyczyny określają płace robotnicze, zyski

przedsiębiorców i rentę gruntową; tymczasem ekonomiści przeważnie zamykają oczy na nieodzowne przesłanki i twierdzą, że przyczyny owe muszą same przez się — dzięki tkwiącej w nich konieczności, przeciw której nie pomogą żadne środki ludzkie — określać udziały w wynikach produkcji, przypadające pracownikom, kapitalistom i właścicielom ziemskim. „Zasady ekonomji politycznej” nie ustępowały żadnemu z mych poprzedników w dążeniu do naukowej oceny działania tych przyczyn wśród warunków, które są ich przesłankami; dawały natomiast przykład nie traktowania tych warunków jako ostatecznych. Książka wychodzi z założenia, że tezy ekonomiczne, które są zawisłe nie od samych konieczności natury, lecz od ich połączenia z istniejącymi urządzeniami społecznymi, są jedynie tymczasowe i mogą ulec znacznym zmianom wraz z postępu rozwojem społecznego. Pogląd ten wzbudziły we mnie po części dowodzenia St. Simo-nistów, ale dopiero wpływ mej żony uczynił zeń zasadę, wypełniającą i ożywiającą całą książkę. Przykład ten dobrze objaśnia ogólny charakter jej przyczynków do moich prac. Co było abstrakcyjne i czysto naukowe, to było naogół moje; natomiast czynnik czysto ludzki pochodził od niej: we wszystkim, co dotyczyło zastosowania filozofji do wymogów ludzkiego współżycia i postępu, byłem jej uczniem, i to tak co do szerokości poglądów, jak co do ostrożności sądów praktycznych. Bo z jednej strony była ona odważniejsza i dalej sięgała wzrokiem, niż ja byłbym to czynił bez niej; z drugiej zaś zacięcie praktyczne jej umysłu i jej niemal niechybna zdolność oceniania praktycznych przeszkód tłumiliły we mnie tendencje wizjonerskie.

Podczas lat, które upłynęły od początku mego życia małżeńskiego do katastrofy, co je zakończyła, główne wydarzenia mego życia zewnętrznego (jeśli nie liczyć pierwszego ataku choroby, która spowodowała konieczność przeszło

sześciomiesięcznej podróży dla poratowania zdrowia do Włoch, Sycylii i Grecji) odnosiły się do mego stanowiska w Kompanji Indyjskiej. W r. 1856-ym zaawansowałem na szefa urzędu, w którym pracowałem przeszło 33 lata. Było to, po sekretarzu, najwyższe stanowisko w urzędach krajowych Kompanji i obemowało ogólny nadzór nad całą korespondencją z rządami indyjskimi, z wyjątkiem w sprawach wojskowych, finansowych i sprawach żeglugi. Piastowałem ten urząd, póki istniał, to znaczy nieco ponad dwa lata; poczem parlament, innemi słowy lord Palmerston, uznał za właściwe skasować Kompanję Wschodnio-Indyjską, jako gałąź koronnego zarządu Indyj i przemienić administrację tego kraju w rzecz, którą rozdrapują pomiędzy sobą angielscy politycy parlamentarni drugiej i trzeciej klasy. Ja byłem głównym kierownikiem akcji opozycyjnej, którą Kompanja wszczęła przeciw swej zagładzie politycznej; kto ciekaw, znajdzie w listach i petycjach, które pisałem w imieniu Kompanji oraz w końcowym rozdziale rozprawy o „Rządach reprezentacyjnych” me poglądy na szaleństwo i fatalne następstwa tej nierozważnej zmiany. Osobiście uważałem, że zyskałem na tem, gdyż dość życia poświęciłem Indjom i bez przykrości usunąłem się, otrzymawszy sute odszkodowanie. Gdy zmiana się dokonała, lord Stanley, pierwszy sekretarz stanu do spraw Indyj, zaszczycił mię propozycją mianowania członkiem Rady i Rada sama ponowiła następnie tę propozycję, skoro tylko otworzyło się wolne miejsce. Jednakowoż przy nowym systemie zarządu Indjami nie spodziewałem się po swym udziale niczego prócz przykrości i marnowania wysiłków; nic też z późniejszych wydarzeń w najdrobniejszej mierze nawet nie sprawiło, iżbym żałował swej odmowy.

Przez dwa lata poprzedzające koniec mojego życia urzędniczego pracowaliśmy z żoną razem nad „Wolnością”. Początkowo napisałem tę rzecz jako krótki szkic w r. 1854.

Pierwsza myśl rozszerzenia jej w cały tom powstała w styczniu 1855-go, gdy wchodziliśmy po stopniach Kapitolu. Żadne z mych pism nie było tak starannie ułożone, ani tak skrzętnie poprawiane, jak to. Po dwukrotnem, jak zwykle, napisaniu, zatrzymaliśmy rękopis w szufladzie, wydobywając go od czasu do czasu i przechodząc rzecz od początku, czytając, ważąc i krytykując każde zdanie. Ostatecznej rewizji mieliśmy dokonać w zimie r. 1858/9, którą chcieliśmy spędzić na południu Europy. Nadzieja ta i wszelkie inne zgasły, gdy po drodze do Montpellier, w Avignonie, spadła na mnie gorzka klęska jej zgonu w nagłym ataku zapalenia płuc.

Odtąd szukałem jedynej dostępnej mi ulgi w takim sposobie życia, który najbardziej umożliwia mi odczuwanie jej nadal przy sobie. Kupiłem domek jak najbliżej miejsca, gdzie jest pochowana i tam z córką jej (moją towarzyszką w żałobie i obecnie główną moją pociechą) żyjemy stale przez większą część roku. Mam te jedynie cele w życiu, jakie ona miała, te dążenia i zajęcia, które ona dzieliła lub z którymi sympatyzowała i które są nierozzerwalnie z nią złączone. Pamięć o niej jest mi religią, a jej pochwała najwyższą miarą, wedle której usiłuję regulować swe życie¹⁾.

Po niepowetowanej stracie, jednym z pierwszych mych starań było ogłoszenie drukiem traktatu, będącego w tak wielkiej mierze dziełem tej, którą utraciłem, i poświęcenie go jej pamięci. Nic w nim nie zmieniłem i nic nie dodałem, ani nigdy tego nie uczynię. Choć potrzeba mu jeszcze ostatniego dotknięcia jej ręki — moja nigdy nie spróbuje w tem jej zastąpić.

¹⁾ Tu urywa się, co było napisane przed r. 1861-ym lub w ciągu tego roku. Następne karty były napisane w r. 1870-ym (przyp. aut.).

„Wolność” była w samej rzeczy dosłownie naszym wspólnym utworem, niż cokolwiek innego noszącego moje nazwisko, bo niema tam ani jednego zdania, któregośmy kilkakrotnie wspólnie nie rozważyli, nie obrócili na wszystkie strony, nie wyplenili z błędów, myślowych czy stylistycznych, jakich tylko się dopatrzyliśmy. To też choć rozprawa ta nie doczekała się nigdy ostatecznej rewizji z jej ręki, przewyższa przecież znacznie wszystko, cokolwiek napisałem przedtem lub potem. Cały sposób myślenia, przenikający książkę, pochodził wyraźnie od niej. Ale i ja byłem nim tak dokładnie prze-poiony, że te same myśli przychodziły nam z natury rzeczy obojgu. Że jednak tak go sobie przyswoiłem, to zawdzięczam w wielkiej mierze jej właśnie. Była chwila w mym rozwoju umysłowym, kiedy mogłem być łatwo popaść w skłonność do nadmiernej reglamentacji, tak społecznej, jak politycznej; jak również była chwila, kiedy w reakcji przeciw drugiej skrajności, mogłem być stać się mniej rzeczywistym radykałem i demokratą, niż jestem. Moja wielka gotowość i gorliwość, kiedy chodziło o uczenie się od kogokolwiek i pomieszczenie wśród swych poglądów nowych nabytków, uwodziły mię nieraz do nadmiernego modyfikowania wcześniejszych zapatrywań. Owóż niczem nie przysłużyła się więcej memu rozwojowi umysłowemu, niż właśnie zmysłem miary w ocenie stosunkowej ważności różnych względów, który często chronił mię przed przyznawaniem świeżo poznanym prawdom więcej miejsca w mych myślach, niż im się słusznie należało.

Jest prawdopodobne, że „Wolność” będzie miała żywot dłuższy, niż jakiegokolwiek inne z moich pism (z wyjątkiem, być może, „Logiki”), gdyż połączenie jej umysłu z moim uczyniło z tej książki rodzaj filozoficznego podręcznika o jedynej jedynej prawdzie, którą stopniowe zmiany w rozwoju nowoczesnego społeczeństwa czynią coraz wyrazistszą: o znaczeniu, jakie posiada dla jednostki i dla zbiorowości wielka

rozmaitość typów charakteru i pełna swoboda rozwijania się natury ludzkiej w niezliczonych i sprzecznych kierunkach. Nic lepiej nie dowodzi głębi tej prawdy, niż wielkie wrażenie, jakie wykład jej sprawił w czasie, kiedy napozór nie odczuwano bardzo potrzeby takiej lekcji. Wyrażona przez nas obawa, by nieunikniony wzrost równości społecznej i nacisku opinii publicznej nie nałożył na ludzkość uciskającego jarzma jednostajności poglądów i działania, mogła być łącznie wydawać się urojoną tym, którzy patrzyli raczej na współczesny stan faktyczny, niż na tendencje rozwojowe. Wszakże stopniowa rewolucja urządzeń społecznych sprzyjała dotąd stanowczo szerzeniu się nowych poglądów. Ale to jest właśnie oznaką okresów przejściowych, kiedy stare pojęcia i uczucia ruszono z posad, a żadne nowe doktryny nie objęły jeszcze w spadku ich wpływu. W takich czasach ludzie choć trochę bystrzej — pozbywszy się starych wierzeń i nie będąc pewni, czy te, które zachowali, będą mogły pozostać niezmienione — słuchają chciwie nowinek. Ten stan rzeczy jest jednak z konieczności przejściowy: w swoim czasie jakaś doktryna skupia dokoła siebie większość, organizuje odpowiednie urządzenia społeczne i sposoby działania, wychowanie wciska te nowe wierzenia w umysły młodych pokoleń i tak stopniowo nowa doktryna narzuca się z tą samą siłą przymusu, jaką wywierały poprzednie wierzenia. Czy w danym przypadku też powstanie taka szkodliwa potęga, zależy od tego czy ludzie spostrzegą się tymczasem, iż działanie jej musi pociągnąć za sobą okaleczenie i skarlenie natury ludzkiej. Wtedy to dopiero nauki „Wolności” okażą całą swą wartość. A należy obawiać się, że zachowają tę wartość na długo.

Myśl przewodnia „Wolności” przyświecała wprawdzie w różnych wiekach odosobnionym myślicielom, ale prawdopodobnie od początku cywilizacji ludzkość nie była jej nigdy pozbawiona całkowicie. By wspomnieć jedynie o ostat-

nich kilku pokoleniach — nauka ta jest wyraźnie zawarta w znakomitych myślach o wykształceniu i kulturze, które genjusz Pestalozziego rozsiewał pracowicie po umysłowości europejskiej. O mistrzowskiej obronie tej idei przez Wilhelma Humboldta jest w książce mowa; a nie był on bynajmniej jedyny w swym kraju. W pierwszych latach obecnego stulecia cała szkoła autorów niemieckich aż do przesady nawet głosiła doktrynę praw jednostki i domagała się swobodnego rozwoju dla natury duchowej; pisma Goethego są prześiąknięte całkowicie poglądami na zagadnienia i na postępowanie w życiu, które zdaniem mojem często nie są słuszne, ale które nieustannie poszukują swego uzasadnienia w teorii o prawach jednostki do samodzielnego rozwoju i o wpływających stąd obowiązkach. I w naszym kraju, zanim powstała książka „O wolności”, głoszono z zapalem doktrynę indywidualizmu. Skoro jednak książka nosząca moje nazwisko nie miała pretensji do oryginalności ani nie miała być historją odnośnych doktryn, przeto jedynym z poprzedników, o którym uznałem za właściwe wspomnieć, był Humboldt. Nie trzeba też chyba dodawać, że w szczegółach jest wiele różnic pomiędzy pojęciem doktryny przedstawionem w mej książce, a pojęciem któregośkolwiek z poprzedników.

Chwilowe okoliczności polityczne skłoniły mię wkrótce potem do wykończenia i wydania broszury („Myśli o reformie parlamentarnej”), której część była napisana przed kilku laty i spotkała się wówczas z uznaniem mej żony. Głównymi cechami tej broszury było wrogie stanowisko wobec głosowania tajnego (zmiana poglądów w tym względzie zaszła w nas obojgu, ale w niej raczej wcześniej) oraz domaganie się przedstawicielstwa dla mniejszości. Wykończając rzecz do ogłoszenia w r. 1859-ym, dodałem trzecią myśl, prawo głosu pluralnego, które przypadałoby nie z racji posiadania, ale z racji udowodnionej wyższości wykształcenia. Widziałem

w tem środek pogodzenia nieodpartego żądania każdego mężczyzny czy każdej kobiety, by liczono się z ich zdaniem i by im pozwolono głosować, gdy chodzi o regulowanie spraw mających dla nich życiowe znaczenie — ze słusznem przypisywaniem większej wagi poglądom opartym o wyższą wiedzę. Myśli tej jednak nie przedyskutowałem ze swym niemal nieomylnym doradcą i nie mam żadnych podstaw do sądzenia, czy byłaby się na nią zgodziła. O ile zdołałem zauważyć, nie spodobała się nikomu, wszyscy bowiem, którzy życzą sobie jakiejś nierówności w prawie wyborczem, życzą go sobie na korzyść *posiadania*, a nie na korzyść inteligencji lub wiedzy. Jeśli kiedykolwiek ustanie obecna niechęć przeciw temu, to chyba po ustanowieniu systematycznego powszechnego nauczania, dzięki któremu będzie można dokładnie określić i sprawdzić różne stopnie nabytych a politycznie cennych wiadomości. Bez tego — prawo głosu pluralnego będzie zawsze podlegało silnym, być może nieodpartym zarzutom; a z tem — nie będzie go może potrzeba.

W ciągu tego samego lata pomogłem (artykułem w *Edinburgh Review*) szerzyć znajomość głębokiego dzieła Baina o „Umyśle”, doprowadzonego wówczas właśnie do końca przez ogłoszenie drugiego tomu. Wydałem też zbiór swych pomniejszych pism, tworzący dwa pierwsze tomy „Rozpraw i Rozważań”. Zakończył mą pracę literacką w owym roku szkic p. t. „Kilka słów o nieinterwenjowaniu”. Powodem do napisania tej rozprawy była chęć obronienia Anglii przed powszechnem na kontynencie zarzucaniem jej osobliwego egoizmu w kwestjach polityki zagranicznej, a zarazem ostrzeżenie Anglików, że zarzuty te nabierają cech prawdopodobieństwa dzięki poziomemu sposobowi, w jaki angielscy mężowie stanu zwykli mówić o polityce angielskiej jako zajmującej się jedynie angielskimi interesami i dzięki zachowywaniu się lorda Palmerstona, sprzeciwiającego się

w owym właśnie czasie kanałowi suezkiemu¹⁾. Skorzystałem wówczas ze sposobności, by wyrazić chodzące mi oddawna po głowie myśli o właściwych zasadach moralności międzynarodowej i o usprawiedliwionych zmianach, jakie wprowadziły do niej różne czasy i okoliczności.

Urządziłem sobie teraz, jak sądziłem, na resztę swych dni życie czysto literackie, — jeśli można mówić o zajęciu literackiem, gdy przeważnie jest się zajętym polityką, nie tylko teoretyczną, ale i praktyczną — i to choć wielką część roku spędzałem w odległości kilkuset mil od ośrodka politycznego swej ojczyzny, do której i dla której przedewszystkiem pisałem. W rzeczy samej jednak nowoczesne udogodnienia komunikacyjne nie tylko usunęły wszystkie niekorzyści pisania zdala od widowni wydarzeń politycznych, ale nawet zmieniły je w korzyści. Dzięki szybkiej i regularnej przesyłce gazet i periodyków pisarz polityczny ma przegląd najbardziej nawet przejściowych zjawisk i ma znacznie trafniejszy pogląd na stan i ruch opinii, niż mógłby go nabyć w osobistym zetknięciu się z ludźmi: bo stosunki społeczne każdej jednostki są mniej lub więcej ograniczone do poszczególnych grup czy klas, których wrażenia z wykluczeniem wszystkich innych dochodzą doń przez ten kanał. Doświadczenie zaś nauczyło mnie, że ci, którzy pozwalają, by im stosunki towarzyskie pochłaniały czas i nie mają przez to wolnych chwil na dokładne zaznajamianie się z organami opinii, znacznie mniej wiedzą o stanie umysłów szerokiego ogółu, niż człowiek sa-

¹⁾ Rząd angielski był nietyle przeciwny samej idei kanału (który politycznie i handlowo był przecież dla Anglii korzystny), ile budowaniu go przez Francuzów i gruntowaniu się dzięki temu wpływów francuskich w Egipcie. Kanał przekopano pomimo opozycji Anglii, która jednak umiała w odpowiedniej chwili uprzedzić Francję w zakupnie akcji przedsiębiorstwa, należących do Kedywa, i zapewnić sobie w ten sposób pożądaną wpływ w zarządzie kanału.

motny, który czyta dzienniki. Niewątpliwie zbyt długie przebywanie poza krajem bywa niekorzystne, ile że zaciera się bezpośrednie wrażenie rzeczywistego światła, oświetlającego ludzi i rzeczy; ale na rozważnym sądzie powziętym z odległości i nie zamąconym nierównościami perspektywy można jak najbardziej polegać.

Zajmując raz tę pozycję raz tamtą, mogłem łączyć korzyści obu. A choć nie miałem już przy sobie tej, która była natchnieniem mych najlepszych myśli, nie byłem przecież sam: pozostawiła córkę, mą pasierbicę [pannę Helenę Taylor, dziedziczkę znacznej części jej wiedzy i całej jej szlachetności charakteru]¹⁾, której wciąż wzrastające i dojrzewające zdolności poświęcone były odtąd i poświęcone są po dziś dzień temu samemu wielkiemu celowi [i uczyniły już imię jej lepiej i szerzej znanem, niż imię jej matki, choć jeśli dożyje, przepowiadam jej znacznie jeszcze większą sławę. O wartości jej bezpośredniej współpracy ze mną powiem później, daremnie natomiast usiłowałbym dać właściwe pojęcie o tem, co ze stanowiska ogólnego oświecenia zawdzięczam jej wielkim zdolnościom do samodzielnego myślenia i trafności jej sądu praktycznego]. Z pewnością nikt nigdy nie miał tego szczęścia, by poniósłszy taką stratę, jaką ja poniosłem, zyskać inną wygraną na loterii życia [— inną towarzyszkę, pobudzielkę, doradczynię i nauczycielkę o najrzadszych zaletach]. Ktokolwiek będzie dziś czy kiedyś później myślał o mnie i o mem dziele, nie powinien zapominać, że jest ono wytworem nie jednego umysłu, lecz trzech, [z których najmniej ważny, a zwłaszcza najmniej oryginalny, należał do tego, kto dziełu owemu dał swe nazwisko].

¹⁾ O powodach ujęcia tu i w dalszym ciągu pewnych zdań w kłamry ob. Wstęp, str. 36.

Lata 1860 i 1861 poświęciłem głównie na opracowanie dwóch rozpraw, z których jedna tylko była przeznaczona do natychmiastowego ogłoszenia. Były to uwagi o rządach przedstawicielskich, w których wyłożyłem, co po wieloletnich rozmyślaniach uważałem za najlepszą formę konstytucji ludowej. Poza ogólną teorią rządu książka ta zawiera moje dojrzałe poglądy na główne zagadnienia ustrojowe obecnych czasów i porusza pewne inne kwestje, które wcześniej lub później narzucają się uwadze teoretycznych i praktycznych polityków. Główną z tych kwestyj jest odróżnianie funkcji układania ustaw, do której liczne zgromadzenie ludowe jest zasadniczo niezdolne, od starania się o dobre prawa, które jest jego właściwym obowiązkiem i w którym nikt nie może go zastąpić. Zjawia się wobec tego potrzeba komisji prawodawczej, składającej się z niewielkiej ilości wytrawnych umysłów politycznych, na których — z chwilą gdy parlament uzna, że powinno się wprowadzić nową ustawę — spadłoby zadanie jej ułożenia, parlament natomiast zachowałby prawo uchwalenia lub odrzucenia przygotowanego projektu, nie mógłby go zaś zmienić inaczej, jak tylko odsyłając proponowane poprawki do komisji. Podniesiona tu kwestja jest częścią wielkiego zagadnienia nowoczesnej organizacji państwowej, poruszył ją zaś, jak mi się zdaje, po raz pierwszy w całej pełni Bentham, który jej jednak nie rozwiązał całkowicie zadowalniająco; chodzi tu o połączenie pełnego nadzoru ludowego nad sprawami publicznymi z możliwie największą doskonałością sprawności technicznej.

Druga rozprawa, która powstała w owym czasie, wyszła o kilka lat później (1869), p. t. „Poddaństwo kobiet”. Napisałem ją [z namowy córki], aby na wszelki wypadek zostawić na piśmie swoje poglądy na to wielkie zagadnienie. Zamierzałem rzecz tę zachować wśród innych nieogłoszonych, poprawiając ją od czasu do czasu i ogłosić w najstosowniej-

szej porze. W ostatecznej postaci [jest ona wzbogacona o kilka ważnych myśli mej córki i o ustępy przez nią napisane. A zaś] co w mej własnej redakcji jest najciekawsze i najgłębsze, to należy do mej żony, bo pochodzi z zasobu myśli, które niezliczone rozmowy i dyskusje uczyniły wspólną naszą własnością.

Wkrótce potem wyjąłem z szuflady część nieogłoszonych artykułów, które napisałem w ostatnich latach małżeństwa i ułożyłem z nich małą książeczkę p. t. „Utylitaryzm”. Przedtem jednak jeszcze początek wojny domowej w Ameryce wywołał wielkie wzburzenie opinii publicznej. Walka ta poruszała mię do głębi, bo czułem od początku, że będzie punktem zwrotnym, na złe czy dobre, w dziejach ludzkości. Ponieważ śledziłem z wielkiem zainteresowaniem spór o niewolnictwo w Ameryce, który toczył się przez wiele lat, zanim doszło do otwartego zerwania, przeto wiedziałem, że była to we wszystkich stadjach napastliwa akcja właścicieli niewolników w celu rozszerzenia dziedziny niewolnictwa, akcja rozwijająca się pod wpływem interesów majątkowych, chęci panowania i fanatycznego przywiązania do przywilejów klasowych. Z drugiej strony, znając prawa natury ludzkiej i opierając się na doświadczeniach rewolucyj, przewidywałem, że jeśli duch Stanów Północnych będzie dość silny, by doprowadzić wojnę do pomyślnego końca i jeżeli ten koniec nie będzie zawczesny ani zbyt łatwy, wówczas przyniesie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zmiany sięgające bardzo głęboko. Przewidywałem mianowicie, że większość ludności północnej — której sumienie obudziło się dotąd do tyła jedynie, by opierać się dalszemu rozszerzaniu się niewolnictwa, ale której wierność wobec konstytucji Stanów Zjednoczonych odrzucała wszelkie usiłowania rządu federalnego, by wmieszać się do spraw niewolnictwa w tych stanach, gdzie ono istniało — że ta większość ludności północnej nabierze zgoda

innych uczuć, gdy zbrojny bunt wstrząśnie konstytucją i że postanowiwszy skończyć raz na zawsze z obmierzłem zjawiskiem, wstąpi pod sztandar szlachetnej grupy abolicjonistów. Wtedy też zniknie z mora, co ciąży nad umysłowością Stanów Zjednoczonych, zmuszoną do usprawiedliwiania się przed cudzoziemcami z powodu najjaskrawszego ze wszystkich możliwych pogwałceń zasad wolnościowych konstytucji.

Te nadzieje w odniesieniu do niewolnictwa spełniły się całkowicie, w innych kierunkach spełniają się teraz stopniowo. Owóż można sobie wyobrazić, z jakimi uczuciami przyglądałem się, jak niemal całe wyższe i średnie klasy społeczeństwa angielskiego, te nawet, które uchodziły za liberalne, namiętnie stanęły po stronie południowców; jedynym niemal wyjątkiem od tego ogólnego szaleństwa była klasa robotnicza oraz kilku ludzi pióra i nauki. Nigdy przedtem nie zdawałem sobie tak wyraźnie sprawy z tego, jak słaby był postęp rozwoju umysłowego naszych wpływowych klas i jak małą wartość miały opinie liberalne, do których klasy te przyznawały się z przyzwyczajenia. Nikt z liberałów kontynentalnych nie popełnił tej straszliwej omyłki. Ale pokolenie, które było wymusiło na naszych kolonistach zachodnio-indyjskich wyzwolenie niewolników, już nie żyło; przyszło inne, które nie nauczyło się w długoletnich rozprawach odczuwać silnie okropności niewolnictwa; wreszcie właściwy Anglikom zwyczaj niezwracania uwagi na cokolwiek, dzielącego się na świecie poza ich własną wyspą, sprawił, że nie mieli najmniejszego pojęcia o podłożu walki — tem bardziej, że przez pierwszy rok czy dwa wojny nie wierzano w Anglii naogół, że spór toczy się o niewolnictwo. Istnieli ludzie świetnych zasad i o bezsprzecznie liberalnych poglądach, którzy myśleli, że jest to spór o stawki celne, lub którzy widzieli w tem objaw wzbudzający w nich skądinąd sympatję, obraz mianowicie ludu walczącego o niezawisłość.

Było mym oczywistym obowiązkiem należeć do mniejszości protestującej przeciw tej przewrotnej opinii publicznej. Nie ja pierwszy protestowałem; przyłączyłem się był właśnie do swych poprzedników, gdy pod koniec r. 1861-go zaszedł wypadek pochwycenia wysłanników południowców na statku angielskim przez oficera Stanów Zjedn. Angielska nawet zdolność zapominania nie miała jeszcze czasu, by stracić wszelką pamięć o wybuchu roznamiętnienia, który nastąpił wówczas w Anglii, o trwających kilka tygodni przewidywaniach wojny ze Stanami Zjedn. i o wojowniczych przygotowaniach istotnie rozpoczętych po tej stronie. Póki trwał ten stan rzeczy, darmo było mówić cokolwiek na korzyść sprawy amerykańskiej; ponadto zaś godziłem się ze zdaniem tych, którzy postępek ów uważali za nieusprawiedliwiony i uzasadniający ze strony Anglii domaganie się potępienia. Gdy to potępienie nastąpiło i alarmy wojenne przeminęły, napisałem w styczniu 1862-go artykuł p. t. „Spór w Ameryce”. [Będę zawsze wdzięczny swej córce, że wymogła na mnie napisanie go wtedy właśnie, wybieraliśmy się bowiem w sam raz w kilkomiesięczną podróż do Grecji i Turcji i gdyby nie ona, byłbym odłożył pisanie do powrotu.] Napisany i ogłoszony w porę, artykuł ten dodał odwagi tym liberałom, których zakryła wzbierająca fala opinii antyliberalnej, i pomógł w tworzeniu się na korzyść dobrej sprawy załączka opinii, który wzrastał stopniowo, a odkąd powodzenie Stanów Północnych stało się prawdopodobnem, rozwijał się bardzo szybko.

Po ukończeniu tego zadania zajmowałem się przez dwa lata następne głównie sprawami niepolitycznemi. Pośmiertne wydanie Austina „Wykładów nauki prawa” nastęrczyło mi sposobność złożenia zasłużonego hołdu jego pamięci. Głównym jednak wytworem owych lat był „Rozbiór filozofji Willia-ma Hamiltona”. Jego „Wykłady” ogłoszone w r. 1860-ym i 1861-ym czytałem pod koniec tego drugiego roku, zamierza-

jąc napisać o nich sprawozdanie w jakimś czasopiśmie; niebawem jednak przekonałem się, że byłoby to daremne i że trzeba tej rzeczy poświęcić cały tom. Zastanawiałem się, czy powinienem podjąć się tego zadania i doszedłem do przekonania, że mam po temu wiele powodów. „Wykłady” sprawiły mi wielki zawód. Wiedziałem wprawdzie, że sposób, w jaki Hamilton traktował naogół zjawiska z dziedziny filozofji, różnił się wielce od przyjętego przeze mnie, jednakowoż jego ostre ataki na późniejszych transcendentalistów i nacisk, jaki kładł na pewne ważne zasady, w szczególności na względność poznawania, sprawiły, że sympatyzowałem z wielu jego poglądami. Teraz przekonałem się, że punkty pozornej styczności pomiędzy naszymi zapatrywaniami były raczej słowne, niż rzeczowe; że ważne zasady filozoficzne, które — jak mi się wydawało — uznawał, tak były przezeń szeroko tłumaczone, że w końcu nie znaczyły nic lub znaczyły niewiele, przy tem tracił je wciąż z oczu i w każdej niemal części swych pism filozoficznych wprowadzał doktryny, które były z niemi całkowicie niezgodne.

Owóż różnica pomiędzy dwiema szkołami filozofji — jedną opierającą się na intuicji, drugą wspartą na doświadczeniu i asocjacjach — nie jest kwestją oderwanej tylko spekulacji: jest ona pełna następstw praktycznych i leży u podstaw wszystkich największych różnic w opiniach co do postępowania. Reformator społeczny musi wciąż domagać się zmian w rzeczach, które opierają się na silnych i szeroko rozpowszechnionych uczuciach, albo musi kwestjonować pozorną konieczność i nietykalność istniejących zjawisk. Jest więc często nieodzowną częścią jego argumentacji wykazanie, jaki początek miały owe silne uczucia i jak to stało się, że owe zjawiska poczęto uważać za konieczne i nietykalne. Wobec tego zaś jest on z natury rzeczy wrogo usposobiony wobec filozofji, która krytykuje tłumaczenie uczuć i zjawisk moral-

nych okolicznościami i asocjacjami i woli traktować je jako ostateczne elementy natury ludzkiej — filozofji, która upiera się przy uznawaniu przyjętych doktryn za prawdy intuicyjne i uważa, że intuicja jest głosem natury i Boga, mówiącym z większym autorytetem, niż głos naszego rozumu. W szczególności oddawna sądziłem, że rozpowszechniona skłonność do uważania wszystkich wyraźnych różnic w charakterach ludzkich za wrodzone i nie dające się w istocie usunąć oraz do ignorowania nieodpartych dowodów, że znaczna większość tych różnic nietylko mogła powstać, ale rzeczywiście powstała wskutek odmiennych okoliczności — że ta skłonność jest jedną z głównych przeszkód, stojących na drodze racjonalnego traktowania wielkich zagadnień społecznych i rozwoju postępowego ludzkości. Owóż źródła tej tendencji znajdują się w metafizyce intuicjonalnej, która jest znamieniem reakcji XIX-go wieku przeciw XVIII-mu; jest to zarazem tendencja tak miła ludzkiej indolencji i wogóle interesom zachowawczym, że jeśli nie zaatakuje się jej u samych korzeni, z pewnością rozwinie się więcej jeszcze, niż byłoby to usprawiedliwione na zasadzie bardziej umiarkowanych form filozofji intuicjonalnej. Filozofja ta, niezawsze właśnie w swych umiarkowanych formach, panowała przez większą część stulecia nad myślą europejską. Mego ojca „Rozbiór umysłu”, moja własna „Logika” i profesora Baina wielki traktat — to były próby wprowadzenia na nowo lepszego sposobu filozofowania; oddawna jednak uważałem, że nie wystarcza jedynie przeciwstawiać sobie wzajemnie obie filozofje, lecz że należy doprowadzić do starcia wręcz pomiędzy nimi i że nadszedł czas na taką rozprawę.

W miarę jak posuwałem się w pracy, okazywało się, że reputacja W. Hamiltona będzie musiała ponieść więcej szkody, niż przypuszczałem początkowo, zestawianie bowiem różnych ustępów jego dzieł wydobywało na jaw niewiarygodne niemal mnóstwo sprzeczności. Jednakowoż zadaniem mojem

było okazać rzeczy dokładnie tak, jak były, i nie cofnąłem się przed tem. Staralem się zawsze traktować z najskrupulatniejszą bezstronnością filozofa, którego krytykowałem, a wiedziałem, że ma dość uczniów i wielbicieli, by sprostować jakąkolwiek nieumyślną niesprawiedliwość. Istotnie wielu z nich odpowiedziało mi, mniej lub więcej pracowicie; wykazali przeoczenia i nieporozumienia, choć w niewielkiej ilości i przeważnie mało znaczące. Te, które wytknięto przed ogłoszeniem ostatniego (trzeciego) wydania, zostały tam poprawione; odpowiedziałem też na resztę krytyk, o ile wydawało się to właściwem. Naogół książka spełniła swe zadanie: pokazała słabą stronę prac Williama Hamiltona i sprowadziła jego zbyt wielką reputację filozoficzną do skromniejszych rozmiarów; rzuciła też, być może, nieco nowego światła na pewne sporne zagadnienia w dziedzinie psychologii i metafizyki.

Ukończywszy książkę o Hamiltonie, zająłem się oceną doktryn Augusta Comte'a. Z wielu względów należało mi podjąć się tego zadania. Przyczyniłem się być więcej, niż ktokolwiek inny, do zaznajomienia publiczności angielskiej z jego nauką i głównie w następstwie tego, co powiedziałem o nim w swej „Logice”, zyskał on czytelników i wielbicieli wśród myślących ludzi po tej stronie kanału — w czasie, gdy we Francji imię jego jeszcze nie było wyłoniło się z ciemności. Tak był nieznany i tak niedoceniany w czasie ukazania się mej „Logiki”, że mogło być zbyt cieżkie krytykowanie jego słabych punktów, podczas gdy było obowiązkiem starać się o jak największe rozpowszechnienie tych ważnych przyczynków, które wnosił do myślenia filozoficznego. Ale w czasie, o którym mówię obecnie, stan rzeczy zmienił się całkowicie. Nazwisko jego znane było niemal w całym świecie, a ogólny charakter jego doktryn był znany bardzo szeroko. W oczach przyjaciół i przeciwników był jednym z najwybit-

niejszych myślicieli epoki. Lepsze części jego rozważań przedostały się głęboko do umysłów, które dzięki uprzedniej kulturze i skłonnościom były przygotowane do ich przyjęcia. Ale pod pokrywą tych lepszych części rozpowszechniły się także gorsze — rozwinięte w wielkiej mierze i poddawane w jego późniejszych pismach — i zyskały ruchliwych i zapalonych wielbicieli, wśród ludzi nawet o niemałej wartości osobistej, w Anglii, we Francji i w innych krajach. Z tych powodów było nietylko pożądané, by ktoś podjął się zadania przesiania ziarna od plew w rozumowaniach Comte'a, ale wydawało się, że ja w szczególności winienem je wziąć na siebie. Uczyniłem to w dwóch rozprawach ogłoszonych w *Westminster Review* i wydanych później w tomiku p. t. „August Comte i pozytywizm”.

Na wiosnę r. 1865-go, chcąc uczynić zadość życzeniu wyrażanemu często wśród robotników, ogłosiłem tanie wydanie popularne tych swoich prac, które najłatwiej mogły znaleźć czytelników w klasie robotniczej, a więc „Zasad ekonomji politycznej”, „Wolności” i „Rządów przedstawicielskich”. Było to połączone z wielką ofiarą pieniężną z mej strony, zwłaszcza, że odrzuciłem myśl ciągnięcia jakichkolwiek zysków z tanich wydań i ustaliwszy ze swymi wydawcami najniższą cenę, która wynagradzałaby ich wedle zwykłej normy równego podziału zysków, zrezygnowałem ze swej połowy, aby umożliwić dalsze jeszcze obniżenie ceny. Przemawia na korzyść firmy Longmana, że nieproszona oznaczyła pewną ilość lat, po których miałem mieć swobodę rozporządzania prawem autorskiem, oraz pewną ilość egzemplarzy, po których sprzedaniu miałem otrzymać połowę dalszego zysku. Ta ilość (która co do „Ekonomji politycznej” wynosiła 10.000 egzemplarzy) została już od pewnego czasu wyczerpana, tak iż wydania popularne poczęły mi przynosić niewielki lecz nie-

oczekiwany dochód, choć bardzo daleki od zrównoważenia ubytku dochodów z normalnych wydań księgarskich.

W tem sprawozdaniu o swem zewnętrznem życiu doszedłem teraz do okresu, w którym przyszło mi zmienić spokojny i zaciszny byt pisarza książek na mniej odpowiednie zajęcie członka Izby Gmin. Gdy z początkiem r. 1865-go kilku wyborców z dzielnicy westminsterskiej zaproponowało mi kandydowanie, myśl ta zrazu wcale mi się nie uśmiechnęła. Nie była to zresztą pierwsza propozycja, gdyż przeszło dziesięć lat temu irlandzkie stronnictwo ludowe ofiarowało mi — ze względu na moje poglądy na sprawę rolną w Irlandji — pewny mandat z Irlandji; jednakowoż niemożność połączenia godności poselskiej z urzędem, który piastowałem wówczas w Kompanji Indyjskiej, nie pozwalała na wzięcie nawet pod rozwagę tej propozycji. Gdy opuściłem Kompanję, wielu z mych przyjaciół pragnęło widzieć mię na ławie poselskiej, ale nie wydawało się prawdopodobnem, by myśl ta przybrała kiedykolwiek realne kształty. Byłem przekonany, że żadna liczna czy wpływowa grupa wyborcza nie życzy sobie naprawdę, by ją reprezentował ktoś o moich poglądach; i że człowiek, który nie posiadał ani lokalnych stosunków ani popularności i który nie chciał kandydować jako jedynie przedstawiciel stronnictwa, miał słabą nadzieję uzyskania gdziekolwiek mandatu, chyba dzięki wielkiemu nakładowi pieniędzy. Tymczasem byłem i jestem głęboko przekonany, że kandydat nie powinien ponosić ani szeląga wydatków z racji podejmowania się obowiązku publicznego. Przy najlepszym nawet sposobie zużycia pieniędzy istnieje uzasadnione podejrzenie, iż ktoś, kto daje pieniądze na to, by objąć urząd zaufania publicznego, ma inne cele na oku, niż tylko interes ogółu; a co najważniejsze, koszty wyboru, gdy ponoszą je kandydaci, pozbawiają naród usług poselskich ze strony tych wszystkich, którzy nie mogą lub nie chcą narazić się na wielkie wydatki. Nie chcę

przez to powiedzieć, że — dopóki niema prawie widoku, aby niezawisły kandydat dostał się do parlamentu bez poddania się tej zgniłej praktyce — musi być zawsze niemoralne wydawanie przezeń pieniędzy, byleby tylko nic z tego nie było wprost czy pośrednio użyte na przekupstwo. Ale aby to było usprawiedliwione, musiałby kandydat być bardzo pewny, że może jako członek parlamentu przydać się krajowi więcej, niż na jakimkolwiek innem dostępnem mu stanowisku; a tej pewności co do siebie nie czułem. Nie było mi bynajmniej jasne, że mogłem w swoim zakresie lepiej popierać rozwój spraw publicznych z ław Izby Gmin, niż ze swego skromnego stanowiska pisarza. Uważałem wobec tego, że nie powinienem starać się o mandat do parlamentu, a tem więcej wydawać pieniądze na jego uzyskanie.

Ale okoliczności zmieniły się znacznie, gdy pewna grupa wyborców odszukała mię i dobrowolnie ofiarowała mi postawienie mej kandydatury. Jeśliby poznawszy me poglądy, trwali w swem zamierzeniu i przyjęli warunki, pod którymi jedynie mógłbym służyć sumiennie, mogło zachodzić pytanie, czy nie jest to jeden z tych przypadków, w których nie ma się prawa odrzucić wezwania współobywateli. Wobec tego wystawiłem ich na próbę przez najbardziej otwarte wyjaśnienia, jakie chyba kandydat dał kiedykolwiek wyborcom. W odpowiedzi na ich propozycję napisałem list, przeznaczony do ogłoszenia, w którym oświadczyłem, że osobiście nie pragnę być członkiem parlamentu, że zdaniem mojem kandydat nie powinien ani chodzić po wyborcach ¹⁾ ani ponosić jakichkolwiek wydatków

¹⁾ Mill ma tu na myśli bardzo charakterystyczne dla angielskich obyczajów wyborczych tak zwane *canvassing*. Polega ono na tem, że kandydat, często w otoczeniu najbliższej rodziny, chodzi w swym okręgu wyborczym od domostwa do domostwa i wdaje się z każdym wyborcą w poufałym tonem prowadzone rozmowy o sprawach publicznych, przeplatane wypytywaniem się o sprawy prywatne wyborcy,

i że nie mogę zgodzić się ani na jedno ani na drugie. Powiedziałem następnie, że nie zobowiązuję się poświęcać cegółkolwiek ze swego czasu lub swoich trudów na lokalne interesy wyborców. Powiedziałem wreszcie bez ogródek, co myślałem o szeregu ważnych kwestyj z zakresu ogólnej polityki, co do których pytano mnie o zdanie; a że jedną z nich była kwestja prawa wyborczego, wyjawilem wśród innych rzeczy swe przekonanie, że kobiety mają taki sam tytuł, jak mężczyźni do tego, by były reprezentowane w parlamencie (musałem tak uczynić, skoro zamierzałem w razie wyboru, działać po tej linii). Pierwszy to raz niewątpliwie wspomniano wyborcom angielskim o takiej doktrynie, a fakt, że zostałem wybrany po tej zapowiedzi, dał początek ruchowi za prawem wyborczem dla kobiet, który odtąd wzmógł się tak bardzo.

Nic w owym czasie nie było mniej prawdopodobne, niż to, by kandydat, którego poglądy i postępowanie były tak rażąco sprzeczne z normalnemi pojęciami wyborczemi, został mimo to wybrany. Opowiadano sobie, że pewien znany literat wyraził się, iż z takim programem sam Wszechmocny nie miałby widoków wyboru. Ja zastosowałem się doń ściśle, nie wydając pieniędzy i nie obchodząc wyborców, nie uczestniczyłem też osobiście ani trochę w agitacji wyborczej, aż mniej więcej na tydzień przed urzędowem zgłoszeniem swej kandydatury, kiedy to byłem na kilku zebraniach, aby określić swe zasady i odpowiedzieć na pytania, które wyborcy mieli słuszne prawo mi zadać, jeśli mieli wiedzieć, czego się trzymać. Otwartość moich odpowiedzi na wszystko, o co mnie pytano, przyniosła

starając się nie tylko przekonać go o słusności pewnego programu politycznego, ale takie dać dowód zainteresowania się jego życiem osobistym, jego kłopotami rodzinnymi, warunkami mieszkalnemi i t. p. Kandydat stara się rozmowom tym nadać charakter jak najswobodniejszej wymiany zdań i wyborca angielski nie krępuje się wyraźnie oświadczyć, że nie zamierza głosować na gościa, jeśli nie odpowiada mu jego poglądy.

mi więcej dobrego niż złego. Przytoczę przykład, jeden z licznych. W broszurze p. t. „Myśli o reformie parlamentarnej” powiedziałem, raczej szorstko, że klasy robotnicze — choć różnią się od takichże klas w innych krajach tem, że wstydzą się kłamstwa — kłamią jednak naogół. Ustęp ten ktoś z mych przeciwników wydrukował na plakacie, który mi wręczono na zebraniu złożonem głównie z robotników — z zapytaniem, czy to ja napisałem i ogłosiłem. Natychmiast odpowiedziałem: „tak jest”. Zaledwie słowa te wyszły z mych ust, gdy grzmiące oklaski rozległy się na całej sali. Było jasne, że robotnicy tak byli przyzwyczajeni do dwuznaczników i wybiegów ze strony tych, którzy starali się o ich głosy, że gdy zamiast tego spotkali się z przyznaniem się do powiedzenia, które było wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dla nich niemiłe, nie byli tem zrażeni, lecz przeciwnie uznali odrazu, że mają przed sobą kogoś, komu mogą ufać. Nie znam bardziej przekonującego dowodu, że — jak to wiedzą ci, którzy najlepiej znają klasy robotnicze — najlepszym sposobem pozyskania ich względów jest otwartość charakteru. Pierwszy robotnik, który przemawiał po tym incydencie, rzekł, że klasy robotnicze bynajmniej nie pragną, by im zatajano ich błędy; potrzeba im przyjaciół, a nie pochlebców, czują się też zobowiązane każdemu, kto mówi im szczerze, co w nich wymaga poprawy. I całe zgromadzenie wyraziło z tem pełną zgodę.

Gdybym był nawet przypadł przy wyborach, nie miałbym powodu żałować, że miałem sposobność zetknięcia się z wielkimi grupami swych współobywateli, dzięki czemu nie tylko zyskałem wiele nowych doświadczeń, ale mogłem szerzej rozpowszechniać swe poglądy polityczne; a także wskutek tego, że poznano mię w sferach, w których nigdy nie słyszano o mnie, wzmogła się ilość mych czytelników i wzmógł się prawdopodobnie wpływ mych pism. Te ostatnie skutki wystąpiły oczywiście silniej, gdy ku swemu największemu

zdziwieniu zostałem wybrany do parlamentu większością kilkuset głosów nad konserwatystą.

Byłem członkiem Izby przez trzy sesje parlamentu, który uchwalił ustawę o reformie wyborczej;¹⁾ przez ten czas prace parlamentarne były z konieczności głównem mem zajęciem, z wyjątkiem przerw w sesjach. Przemawiałem dość często, czasem z przygotowaniem się, czasem bez przygotowania. Ale wybierałem sobie takie sposobności, po których nie mogłem spodziewać się zdobycia wpływowego stanowiska w parlamencie. Odkąd zyskałem posłuch w Izbie, kierowałem się myślą, że gdy inni mogli coś zrobić równie dobrze lub dostatecznie dobrze, nie było potrzeby, abym ja mieszał się do tego. Skoro więc naogół zachowywałem dla siebie pracę, której nikt inny prawdopodobnieby się nie podjął, przeto w znacznej mierze występowałem w sprawach, co do których większość stronnictwa liberalnego albo różniła się w poglądach ze mną albo była stosunkowo obojętna. Niektóre z mych mów — jedna zwłaszcza, zwrócona przeciw wnioskowi o zniesienie kary śmierci, i druga popierająca prawo konfiskowania dóbr nieprzyjacielskich na okrętach neutralnych — były sprzeczne z tem, co uchodziło wówczas i zapewne dotąd uchodzi za postępową opinię liberalną.

Z tego samego powodu, to znaczy z chęci czynienia tego, czego inni nie umieli lub nie chcieli robić, uważałem za swój obowiązek bronić wysuniętych placówek liberalizmu wówczas, gdy niebezpieczeństwo obmowy było tak wielkie, iż większość zdecydowanych liberałów w parlamencie wołała nie narażać się na nie. Zaraz przy pierwszym głosowaniu oddałem głos za poprawką na korzyść Irlandji, wniesioną przez posła irlandzkiego i za którą oświadczyło się tylko pięć głosów angielskich

¹⁾ Chodzi o reformę z r. 1867-go, która rozszerzyła jeszcze prawa wyborcze nadane reformą z r. 1832-go (ob. przyp. na str. 123).

i szkockich, włączając w to już mój głos. Druga mowa zaś, jaką wypowiedziałem, była w dyskusji nad projektem ustawy o przedłużeniu zawieszenia gwarancji nietykalności osobistej w Irlandji. Atakując przy tej sposobności angielski sposób rządzenia Irlandją, nie posunąłem się dalej, niż to powszechna opinia w Anglii uważa obecnie za słuszne; ale wówczas oburzenie na Fenianów¹⁾ było jeszcze żywe i każdy atak na to, co atakowali Fenianie, był uważany za ich obronę; to też przyjęto mnie w Izbie tak nieprzychylnie, że kilku przyjaciół radziło mi czekać z zabraniem ponownie głosu na korzystniejszą sposobność, która miała nastąpić się z racji debaty nad projektem ustawy o reformie wyborczej. Póki trwało to moje milczenie, wielu cieszyło się, że zawiodłem oczekiwania i że już nie będą mieli ze mną kłopotu. Być może, że ich niepochlebne wyrażanie się o mnie przyczyniło się, siłą reakcji, do tego, że moja mowa o projekcie ustawy o reformie wyborczej odniosła wielki sukces.

Wracając do klas robotniczych, głównym punktem mej mowy o wniesionym przez Gladstona projekcie ustawy o reformie wyborczej było stwierdzenie słuszności ich domagania się prawa wyborczego. Nieco później, po rezygnacji gabinetu lorda Russella i powołaniu rządu torysowskiego, nastąpiło usiłowanie robotników urządzenia zgromadzenia w Hyde-Parku, wyparcie ich przez policję i wyłamanie przez tłum sztachet ogrodzenia parkowego. Choć przywódcy robotników zaprotestowali i wycofali się, wywiązała się bijatyka, w której policja zmasakrowała wiele niewinnych osób, wskutek czego wzburzenie wśród robotników doszło do szczytu. Byli zdecydowani urządzić nowe zgromadzenie w Parku, na które prawdopodobnie wielu przybyłoby z bronią; rząd zaś

¹⁾ Mianem Fenianów oznaczano grupę rewolucjonistów irlandzkich, opartych o wychodźstwo amerykańskie.

czynił przygotowania wojskowe w celu oparcia się tej próbie — tak iż poważne niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. W tym stanie rzeczy, wydaje mi się, że doprawdy przyczyniłem się do zapobieżenia wielkiemu nieszczęściu. Wziąłem w Izbie stronę robotników i silnie skrytykowałem postępowanie rządu. Zaproszono mię wraz z kilku innymi posłami radykalnymi na konferencję z przywódcami Ligi dla reformy wyborczej i tam zadaniem mojem było odwieść ich od zamiaru urządzenia ponownie zgromadzenia w Hyde-Parku, zamiast gdzieindziej. Przywódców nie trzeba było przekonywać; robotnicy jednak tak się zacięli, że musiałem uciec się do „wielkich środków”. Powiedziałem im, że postępowanie, które z pewnością doprowadziłoby do starcia z wojskiem, można by usprawiedliwić jedynie pod dwoma warunkami: gdyby stan rzeczy był taki, iżby rewolucja była pożądana i gdyby uważali, że są zdolni jej dokonać. Argument ten po dłuższej dyskusji okazał się nieodpartym i wkońcu ustąpili, tak iż mogłem zawiadomić p. Walpole¹⁾, że poniechali swego zamiaru. Nie zapomnę nigdy, jak wielką sprawiło mu to ulgę i jak gorąco mi dziękował. Gdy nieco później rząd torysowski wniósł projekt ustawy zabraniającej urządzania zgromadzeń w parkach, nie tylko przemawiałem ostro przeciw projektowi, ale zebrałem grupę zdecydowanych liberałów, której udało się — dzięki temu, że sesja zbliżała się ku końcowi — utracić projekt przez tak zwane przegadanie go. Nie wniesiono go już powtórnie.

Uważałem też za swój obowiązek zająć wyraźne stanowisko w sprawach dotyczących Irlandji. Grałem jedną z głównych ról w deputacji członków parlamentu, która uyskała od lorda Derby oszczędzenie życia zasądzonemu powstańca fenianskiego, generała Burke. Oznaki niezadowolenia

¹⁾ Ówczesny minister spraw wewnętrznych.

w Irlandji stawały się coraz wyraźniejsze i domaganie się całkowitego rozdziału pomiędzy obu krajami nabrało tak groźnego wyglądu, iż mało kto nie zdawał sobie sprawy, że jeśli były jeszcze widoki pogodzenia się Irlandji ze związkiem z Anglią, to mogło to nastąpić jedynie przez dokonanie znacznie dalej sięgających reform ustroju rolnego i społecznego Irlandji, niż myślano o tem dotąd. Zdawało mi się, że nadszedł czas, by wypowiedzieć wszystko, co miałem na sercu i wynikiem tego była broszura „Anglja i Irlandja”, napisana w zimie r. 1867-go, a ogłoszona tuż przed rozpoczęciem sesji r. 1868-go. Myślą przewodnią był z jednej strony wywód, że rozdział jest niepożądany tak dla Anglii jak dla Irlandji, a z drugiej propozycja, by rozwiązać kwestję rolną przez nadanie obecnym dzierżawcom prawa wieczystej dzierżawy za opłatą czynszu, którego wysokość ustaliłoby państwo po przeprowadzeniu odpowiedniej ankiety.

Jak się spodziewałem, broszura ta nie zyskała popularności poza Irlandją. Ale skoro żaden środek słabszy od zaproponowanego przeze mnie nie byłby sprawiedliwy wobec Irlandji i nie rokował nadziei pozyskania mas ludu irlandzkiego, przeto zaproponowanie tego właśnie środka było nakazem obowiązku; wiedziałem zresztą, że jeśli była jakaś droga pośrednia, której można było popróbować, to wysunięcie projektu rzekomo skrajnego było najlepszym sposobem ułatwienia właśnie bardziej umiarkowanego eksperymentu. Najprawdopodobniej żaden rząd nie zaproponowałby takich ustępstw na rzecz dzierżawców, jak te, które zawierał wniesiony przez Gladstone'a projekt ustawy o irlandzkiej reformie rolnej ani projekt taki nie zostałby uchwalony przez parlament, gdyby ogół angielski nie był zrozumiał, że możliwe jest rozpętanie agitacji za środkiem jeszcze drastyczniejszym. Jest to cechą charakteru Anglików, a przynajmniej wyższych i średnich klas, które uchodzą za przedstawicieli narodu an-

gielskiego, że można skłonić ich do pewnej zmiany wówczas tylko, gdy uważają ją za drogę pośrednią: w każdej propozycji widzą skrajność i gwałtowność, o ile nie słyszą o jakiejś innej, która idzie jeszcze dalej i na której może wyładować się ich niechęć do skrajnych poglądów. Okazało się to i w danym przypadku; projekt mój potępiono, ale każdy projekt irladzkiej reformy rolnej mniej wymagający, niż mój, był uważany za stosunkowo umiarkowany.

Wypadło mi w tym czasie podjąć się innego jeszcze obowiązku publicznego. Zamieszki na Jamajce, wywołane początkowo przez niesprawiedliwość a rozrosłe wskutek roznamiętnienia i paniki do rozmiarów zorganizowanego buntu, stały się powodem lub usprawiedliwieniem faktu, że setki ludzi utraciło życie już to przez gwałty wojskowe już też na skutek wyroków tak zwanych sądów wojennych, które działały jeszcze przez całe tygodnie po uśmierzeniu krótkotrwałych zamieszek. Niszczono przy tem w sposób okrutny dobytek, chłostano kobiety zarówno jak mężczyzn i wogóle rozwijano tę brutalną bezwzględność, która zazwyczaj szerzy się, gdy ogień i żelazo wyzwalają się z pęt. Sprawcy tych zbrodni spotkali się w Anglii z obroną i uznaniem tych samych ludzi, którzy tak długo popierali sprawę niewolnictwa murzynów. Zdawało się z początku, że naród angielski splami się, pozwalając ujść bez protestu nawet wybrykom władzy równie oburzającym, jak te, co do których Anglicy z trudem znajdują dość silne wyrazy potępienia, gdy popełniają je organy innych rządów. Jednakowoż wkrótce rozgorzało oburzenie: utworzyło się stowarzyszenie pod nazwą Komitetu Jamajkańskiego w celu podjęcia odpowiednich działań i zgłoszenia napływały z całego kraju. Byłem wówczas zagranicą, lecz zgłosiłem się na członka Komitetu, skoro tylko dowiedziałem się o jego powstaniu i od powrotu swego uczestniczyłem czynnie w jego działalności. Gra szła o znacznie więcej, niż

tylko o sprawiedliwość dla murzynów, jakkolwiekbaż poważny byłby ten взгляд. Chodziło o to, czy kolonie angielskie, a może i sama W. Brytania, mają mieć nad sobą rządy prawa czy też swawolę wojskową; czy życie i bezpieczeństwo poddanych angielskich mogą być zdane na łaskę dwóch lub trzech oficerów — choćby byli nie wiedzieć jak nieokrzesani i niedoświadczeni lub bezwzględni i brutalni — z których zdjęty paniką gubernator lub inny urzędnik pozwoli sobie utworzyć tak zwany sąd wojenny.

Sprawa ta mogła być rozstrzygnięta jedynie przez zwrócenie się do sądów i Komitet był zdecydowany na ten krok. Doprowadziło to do zmiany w prezydjum Komitetu, gdyż przewodniczący p. Buxton uważał ściganie sądowe gubernatora Eyre'a i podwładnych mu urzędników nie za niesprawiedliwe coprawda, ale za niewskazane; gdy zaś liczne walne zgromadzenie stowarzyszenia rozstrzygnęło na rzecz akcji sądowej, p. Buxton wycofał się z Komitetu (choć dalej działał dla sprawy), a mnie najniespodzianie wybrano przewodniczącym. Musiałem wobec tego reprezentować Komitet w Izbie Gmin, zadając rządowi pytania lub odpowiadając na pytania posłów, głównie zaś jako mówca w ważnej debacie podczas sesji r. 1866-go: mowa, którą wówczas wypowiedziałem, była chyba najlepsza ze wszystkich moich mów parlamentarnych. Przez dwa lata przeszło toczyliśmy walkę, próbując wszelkiej dostępnej drogi dotarcia do trybunału karnego. Sąd w jednym z najbardziej torysowskich okręgów odrzucił naszą skargę; lepiej natomiast powiodło nam się w jednym z sądów londyńskich. Prezes trybunału sir Aleksander Cockburn mógł dzięki temu wygotować swe słynne oskarżenie, które stwierdzało słuszność sprawy wolności. Na tem jednak skończyło się nasze powodzenie, gdyż ława przysięgłych odrzuciła skargę i w ten sposób nie dopuściła do wytoczenia sprawy. Było jasne, że sprowadzanie urzędników

angielskich przed kratki za nadużycie władzy przeciw murzynom i mulatom nie było postępowaniem popularnem wśród angielskich klas średnich. Jednakowoż uczyniliśmy, co było w naszej mocy, dla honoru kraju, okazując, że była bądź co bądź grupa osób zdecydowanych do użycia wszelkich środków prawnych, by zapewnić sprawiedliwość pokrzywdzonym. Uzyskaliśmy od najwyższego sędziego kryminalnego autorytatywne stwierdzenie, że prawo było tem, za co je ogłaszaliśmy, i ostrzegliśmy wyraźnie przed popełnieniem w przyszłości podobnego przestępstwa.

Zachowałem sobie dla ciekawości kilka z listów obelżycznych, wszystkich niemal anonimowych, które otrzymałem z racji tej sprawy. Dowodzą one sympatji, jaką brutalności popełniane na Jamajce cieszyły się u brutalnie usposobionej części ludności angielskiej. Rozciągały się one stopniami od ordynarnych dowcipów, słownych i obrazkowych, aż do gróźb zabójstwa ¹⁾).

¹⁾ Mill nie wspomina o listach z uznaniem, które otrzymywał z racji sprawy Eyre'a. Jeden z nich wysłany przez D. Urquhardta, autora cenionych dzieł dyplomatycznych, wywołał odpowiedź Milla, którą warto przytoczyć, ponieważ doskonale charakteryzuje upodobanie Milla do rzucania się w wir spraw niepopularnych, jeśli tylko były słuszne: „Czuję prawdziwy szacunek dla ludzi, którzy nie tylko mają sumienie, ale którym sumienie dyktuje też, że są osobiście odpowiedzialni za swe postęпки i że nie mogą zepchnąć tej odpowiedzialności na cudze barki... Nie staję tu w obronie murzynów czy wolności — choć obie sprawy wchodzą poważnie w grę — lecz w obronie naczelnej konieczności społeczeństwa ludzkiego: prawa. Możnaby było sądzić, że gdy chodzi o tę sprawę, wszystkie stronnictwa będą jednomyślne. Ale po raz pierwszy otworzyły mi się oczy na stan moralny narodu angielskiego, gdy widziałem, jak opinia popierała okropności popełniane podczas powstania w Indjach. Potem przyszło sympatyzowanie z bezprawnym buntem południowych Amerykan w obronie instytucji, która jest szczytem wszelkiego bezprawia, a w końcu przyszła ta sprawa z Jamajką, co do której od pierw-

Wspomnę jeszcze o dwóch sprawach, w których byłem czynny. Wspólnie z innymi niezależnymi liberałami obaliliśmy projekt ustawy o wydawaniu przestępców, wniesiony pod sam koniec sesji r. 1866-go, a który — choć nie dopuszczał otwarcie wydania za przestępstwa polityczne — umożliwiał, by zbiegowie polityczni byli wydani sądom karnym obcego rządu, jeśli ten rząd zarzucał im popełnienie czynów, które z konieczności łączą się z wszelką działalnością powstańczą: w ten sposób rząd angielski stawałby się pomocnikiem obcego despotyzmu w wykonywaniu zemsty. Obalenie tego projektu doprowadziło do utworzenia specjalnej komisji (do której wszedłem), mającej zbadać całą kwestję traktatów ekstradycyjnych. Następstwem tego było, że w ustawie o wydawaniu przestępców, którą parlament uchwalił, gdy przestałem już być jego członkiem, przewidziano możliwość, by każdy zagrożony wydaniem mógł udowodnić przed angielskim trybunałem, że zarzucane mu przestępstwo jest istotnie polityczne.

Drugą sprawą, o której należy wspomnieć, była walka stoczona przez grupę postępowych liberałów podczas sesji r. 1868-go w sprawie wniesionego przez rząd Disraeliego projektu ustawy o przekupstwie. Nie szczędziłem wysiłków, by wnieść takie poprawki i zastrzeżenia dodatkowe, jakie mogłyby uczynić ustawę rzeczywiście skuteczną przeciw licznym

szej chwili postanowiłem sobie użyć wszystkiego, co jest w mej mocy, by przyprowadzić jej winowajców przed sąd, chociażby nie było nikogo innego w parlamencie, ktoby stanął przy mnie. Słusznie Pan sądzi, że niema obawy, bym taki cel poświęcił jakimkolwiek względem na osobistą karierę. Spodziewam się, że nie byłoby takiej obawy wówczas nawet, gdybym dbał o osobistą karierę, ale tak już jest, że nie dbam”.

Dodajmy, że głównym przeciwnikiem Milla w kampanji przeciw Eyre'owi był Carlyle, dawny przyjaciel naszego autora, występujący zapalczywie w imię potrzeb utrzymania porządku i autorytetu.

rodzajom korupcji, bezpośrednim i pośrednim, które inaczej, jak słusznie można było się obawiać, ustawa mogła raczej spotęgować, niż usunąć. Chcieliśmy też wprowadzić do ustawy środki, mające na celu umniejszenie nieszczęsnego ciężaru tak zwanych usprawiedliwionych wydatków wyborczych. Wśród licznych naszych poprawek znalazła się jedna, która przepisywała, że wydatki komisarza wyborczego miały być nałożone na podatników, a nie na kandydatów; inna mówiła o zakazie płatnych agitatorów i ograniczeniu liczby płatnych agentów do jednego na każdego kandydata; trzecia rozszerzała działanie ustawy także na wybory samorządowe, o których dobrze wiadomo, że są nie tylko szkołą przygotowawczą do przekupstwa przy wyborach do parlamentu, ale zwykłą jego pokrywką. Jednakowoż rząd konserwatywny, uzyskawszy zgodę na główne postanowienie swego projektu (za którym przemawiałem i głosowałem), a mianowicie przeniesienie sądownictwa w sprawie wyborów z Izby Gmin do sądów, opierał się stanowczo wszystkim innym ulepszeniom. Stronnictwo liberalne w Izbie splamiło się postępowaniem wielu swych członków, którzy nie pomagali w niczem przy tych usiłowaniach zabezpieczenia koniecznych warunków uczciwej reprezentacji ludu. Mając wielką większość w Izbie, mogli przeprowadzić wszystkie poprawki lub zaproponować lepsze. Ale było to już pod koniec sesji i podczas gdy niektórzy pozostali, jak należało, na posterunkach — chociaż już działali kontrkandydaci w ich okręgu wyborczym — znacznie większa ilość stawiała wyżej interes wyborczy, niż obowiązek publiczny. Wielu też liberałów spoglądało obojętnie na ustawodawstwo przeciw przekupstwu, uważając, że odwraca ono jedynie uwagę powszechną od sprawy głosowania tajnego, w której dopatrywali się wystarczającego i jedynego lekarstwa — w czem, jak sądzę, przyszłość okaże ich pomyłkę. Z tego powodu walka nasza, choć toczyliśmy ją bardzo energicznie, spotkała

się z całkowitem niepowodzeniem i praktyki, które chcieliśmy utrudnić, zakwitły jeszcze szerzej podczas pierwszych zaraz wyborów urządzonych na podstawie nowego prawa wyborczego.

W ogólnej dyskusji nad projektem Disraelego ograniczyłem się do jednej wspomnianej już mowy; ale skorzystałem ze sposobności, jaką nastęrczał mi projekt, aby poruszyć przed Izłą i przed narodem sprawę dwóch największych ulepszeń, jakim jeszcze trzeba poddać formę rządów przedstawicielskich. Jednem jest reprezentacja proporcjonalna; podsunąłem tę kwestję uwadze Izby, nie mogę jednak pochwalić się jakimiś praktycznymi wynikami swych usiłowań w tym kierunku. Inaczej było natomiast z innym wnioskiem, który stanowił bezwzględnie najważniejszą, być może jedynie ważną usługę publiczną, jaką wyświadczyłem w charakterze członka parlamentu: mam na myśli wniosek, by skreślić słowa, ograniczające prawo wyborcze do mężczyzn i w ten sposób dopuścić do głosowania wszystkie kobiety, które jako prowadzące samodzielne gospodarstwo lub z innych względów posiadały kwalifikacje wymagane od wyborców męskich. Gdyby kobiety nie zaznaczyły swych aspiracyj do prawa wyborczego w chwili, gdy je znacznie rozszerzano, byłoby to z ich strony wyrzeczeniem się dążeń; to też rozpoczęto agitację w r. 1866, kiedy to przedłożyłem petycję o prawo wyborcze, podpisaną przez znaczną liczbę wybitnych kobiet. Było jednak niepewne, czy propozycja uzyska więcej, niż kilka rozstrzelonych głosów; to też gdy po dyskusji, w której przeciwnicy świecili słabością przemówień, okazało się, iż oddano 80 głosów za wnioskiem, zdumienie było ogólne i zachęta wielka.

Zdaje mi się, że wymienilem wszystko, co z działań mych w Izbie godne jest wspomnienia. Ale nawet pełne ich wyliczenie nie dałoby dokładnego pojęcia o mych zajęciach

w czasie tego okresu, a zwłaszcza o tem, ile czasu zajmowała mi korespondencja. Na wiele lat przed moim wyborem do parlamentu otrzymywałem wciąż listy od obcych ludzi, przeważnie dotyczące tematów z zakresu logiki lub ekonomji politycznej. Jak wszyscy znani ekonomiści, byłem odbiorcą wszelakich pustych teoryj i absurdalnych propozycyj sztucznego zreorganizowania waluty, któremi ludzie wciąż próbują wskazać drogę do powszechnego bogactwa i szczęścia. Gdy piszący wykazywał dość inteligencji, by warto było usiłować naprowadzić go na właściwą drogę, zadawałem sobie trud wytknięcia mu błędów, póki rozrastanie się mej korespondencji nie uczyniło koniecznem udzielania bardzo krótkich odpowiedzi. Jednakowoż wiele listów zasługiwało na więcej uwagi, a w niektórych wytknięto mi pewne przeoczenia w mych pismach, które mogłem w ten sposób poprawić. Korespondencja ta mnożyła się naturalnie w miarę, jak mnożyły się tematy moich pism. Ale gdy zostałem posłem, poczęły napływać listy z prywatnemi żalami z racji wszelkiego rodzaju spraw publicznych, nie mających nic wspólnego ani z memi wiadomościami ani z mojami dążeniami. Ciężaru tego nie nakładali na mnie moi wyborcy; przeciwnie, trwali wiernie przy naszej umowie i przestrzegali warunków, pod któremi zgodziłem się służyć. Otrzymywałem wprawdzie od czasu do czasu prośbę od jakiegoś pomysłowego młodzieńca, by mu się wystarać o jakąś małą posadę urzędową, ale było tego niewiele, a jak naiwni byli autorzy tych listów, świadczy okoliczność, że prośby owe napływały bez względu na to, jakie stronnictwo stało u steru. Odpowiadałem nieodmiennie, że zwracanie się do jakiegokolwiek rządu o przysługę było sprzeczne z zasadami mego programu. Naogół jednak chyba żadna część kraju nie przysporzyła mi mniej kłopotów, niż mój własny okręg wyborczy. Mimo to masa mej korespondencji wzrosła do zastraszających rozmiarów. [Odtąd to wielką część swych

listów (włączając to wiele z tych, które pojawiły się w dziennikach) pisałem nie sam, lecz pisała moja córka; początkowo po prostu z dobrej chęci ulżenia mi w przytłaczającej masie korespondencji, później jednak dlatego, że jej listy były lepsze od moich i to tem lepsze o im ważniejszą i trudniejszą rzecz chodziło. A nawet te listy, które sam pisałem, ona przeważnie poprawiała, tak samo jak wszystkie moje nowsze przygotowane mowy, w których (a także w pewnych mych ogłoszonych pismach) niemało ustępów — i to najlepszych — wyszło z pod jej pióra].

Podczas gdy byłem posłem, mogłem oddawać się pracy pisarskiej jedynie w przerwach pomiędzy sesjami. Napisałem w tym czasie (poza wspomnianą już broszurą o Irlandji) „szkic o Platonie” oraz przemówienie powitalne, które zgodnie ze zwyczajem wygłosiłem, gdy uniwersytet w St. Andrew wybrał mię swym rektorem. W tym też czasie rozpocząłem pracę (ukończoną wkrótce po wyjściu z parlamentu), która była spełnieniem obowiązku względem filozofji i względem pamięci mego ojca, a mianowicie przygotowałem wydanie „Analizy zjawisk umysłu ludzkiego” z notami doprowadzającymi doktryny tej znakomitej książki do poziomu ostatnich zdobyczy nauki. Było to zbiorowe przedsięwzięcie: noty z zakresu psychologii wyszły mniej więcej po połowie z pod pióra p. Baina i z pod mojego, podczas gdy p. Grote dostarczył cennych przyczynków z zakresu historii filozofji, a dr. Findlater uzupełnił te braki książki, które były spowodowane niedokładnością wiedzy filozoficznej w czasie powstawania dzieła. „Analiza” — ogłoszona po raz pierwszy wówczas, gdy przyjęte powszechnie rozważania metafizyczne szły w kierunku wręcz przeciwnym psychologii opartej na doświadczeniu i asocjacjach — nie zdobyła sobie odrazu tyle powodzenia, na ile zasługiwała, choć na wiele poszczególnych umysłów wywarła głębokie wrażenie i w ten sposób przyczyniła się

znacznie do stworzenia tej atmosfery bardziej sprzyjającej psychologii asocjacionistycznej, z której obecnie korzystamy. Dzieło to, świetnie nadające się na podręcznik szkolny, wymagało jedynie uzupełnienia i co do niektórych punktów poprawienia w świetle wyników nowszych prac tego samego kierunku, aby stanąć, wraz z traktatami p. Baina, na czele systematycznych dzieł z zakresu psychologii analitycznej.

W jesieni r. 1868-go rozwiązano parlament i przy nowych wyborach przepadłem — co nie zdziwiło ani mnie ani, jak sądzę, mych głównych popleczników, jakkolwiek na kilka dni przed wyborami nadzieje ich wzrosły. Jeślibym był nigdy nie uzyskał mandatu, nie wymagałoby to wyjaśnienia; ciekawe jest jedynie to, że wybrano mię za pierwszym razem, i to że uzyskawszy raz mandat, przepadłem przy następnych wyborach. Otóż za drugim razem wysiłano się znacznie więcej, by mię pobić, niż za pierwszym. Przedewszystkiem rząd torysowski walczył teraz o swój byt i zwycięstwo w jakimkolwiek okręgu było dlań ważniejsze. Następnie wszyscy ci, którzy żywili zapatrywania torysowskie byli o wiele więcej rozgoryczeni przeciw mnie, niż poprzednio; wielu z tych, którzy dawniej byli mi przychylni lub obojętni, było teraz gwałtownie przeciwnych mojemu ponownemu wyborowi. Wobec tego, że okazałem w swych pismach, iż zdaję sobie sprawę ze słabych punktów w poglądach demokratycznych, niektórzy konserwatyści, jak się zdaje, mieli pewne nadzieje, iż znajdą we mnie przeciwnika demokracji; ponieważ dostrzegałem jedną stronę zagadnienia, przeto sądzili, że, tak jak oni, nie potrafię widzieć drugiej. A przecież gdyby byli rzeczywiście czytali me pisma, byłiby wiedzieli, że uznając całkowicie to, co uważałem za uzasadnione zarzuty przeciw demokracji, opowiadałem się jednak bez wahania za nią, zalecając jedynie obwarowanie jej takimi urządzeniami, które są zgodne z jej zasadą, a zmierzają do zapobiegania jej niekorzyściom. Nie-

które oczekiwania torysowskie opierały się podobno na uznaniu, z jakim wyraziłem się o głosowaniu pluralnem. Jeżeli tak było, to zapomniano, że zastrzegłem wyraźnie, iż przywilej wielokrotnego głosu należy złączyć z wykształceniem, a nie z posiadaniem i że oprócz tego zastrzeżenia założeniem mojem było wprowadzenie powszechnego głosowania. Jak zupełnie niedopuszczalne byłoby głosowanie pluralne przy obecnej ustawie wyborczej, tego dowodzi — jeśli wogóle ktoś miał pod tym względem wątpliwości — bardzo mała waga, jaką klasy pracujące posiadają przy wyborach, choć prawo nie nadaje jednemu wyborcy więcej głosów, niż drugiemu.

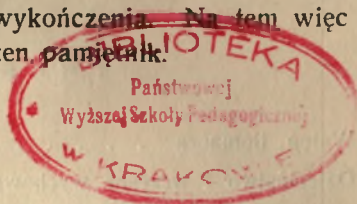
A więc podczas gdy byłem znacznie szkodliwszy, niż poprzednio, dla interesów torysowskich i dla wielu konserwatywnych liberałów, droga, którą kroczyłem w parlamencie nie była bynajmniej taka, iżby wzbudzała powszechnie w liberałach zapal do popierania mej kandydatury. Była już mowa o tem, w jak wielkim stopniu główne moje wystąpienia dotyczyły spraw, co do których różniłem się całkowicie od stronnictwa liberalnego lub o które mało ono dbało i jak niewiele było sposobności takich, przy których obierałem linię mogącą skłaniać ich do przywiązywania wielkiej wagi do mnie, jako do organu ich zapatrywań. Wielu uraziło to, co nazywali prześladowaniem p. Eyre'a, a jeszcze większym kamieniem obrazy było, że subskrybowałem udział w wydatkach wyborczych p. Bradlaugha. Ponieważ odmówiłem ponoszenia jakichkolwiek wydatków przy swym własnym wyborze i wszystkie związane z nim koszty ponieśli inni, przeto uważałem za swój szczególny obowiązek uczestniczenie z kolei w wydatkach tam, gdzie brakło funduszy dla kandydata, którego wybór był pożądanym. Wobec tego przesyłałem składki na wybór każdego niemal kandydata z ramienia klas pracujących, między nimi i p. Bradlaugha. Miał on poparcie

klas pracujących, a ponieważ słyszałem jego przemówienia, wiedziałem, że jest zdolnym człowiekiem — istotnie też dowiedział, że był przeciwieństwem demagoga, w dwu tak ważnych kwestiach, jak malthuzjanizm i wybory proporcjonalne. Zdaniem mojem potrzeba było w parlamencie ludzi tego pokroju, ludzi, którzy dzieląc zapatrywania demokratyczne klas pracujących, mieli własny sąd o sprawach politycznych i mieli odwagę podtrzymywania swych osobistych przekonań przeciw popularnym mniemaniom. Ten mój krok wyzyskano wszechstronnie, uczciwie i nieuczciwie, byle podburzyć przeciw mnie wyborców.

Tym różnym przyczynom — do których dołączył się brak skrupułów przy posługiwaniu się przez mego współzawodnika torysowskiego zwykłymi środkami pieniężnymi i innymi — należy przypisać, że nie powiodło mi się przy drugich wyborach. Zaledwie zdołano ogłosić wynik wyborów, otrzymałem z trzech czy czterech stron zaproszenie do kandydowania w innych okręgach, głównie na prowincji. Ale choćby nawet można było spodziewać się powodzenia, i to bez kosztów, nie miałem ochoty odmówić sobie przyjemności powrotu do życia prywatnego. Nie było powodu, bym czuł się upokorzonym odrzuceniem swej kandydatury przez wyborców; gdyby nawet tak było, to rozżalenie przeważałoby znacznie liczne wyrazy ubolewania, które otrzymałem od wszelkiego rodzaju osób i z wszelkiego rodzaju miejscowości, a zwłaszcza od tych członków stronnictwa liberalnego w parlamencie, z którymi zwykle szedłem ręką w rękę.

Od tego czasu mało zdarzyło się takiego, co by warto było upamiętnić tutaj. Powróciłem do swych dawnych prac i do przyjemności życia wiejskiego na południu Europy, z dwukrotnym corocznie pobytem przez kilka tygodni lub mie-

sięcy w pobliżu Londynu. Pisałem różne artykuły do czasopism, kilka razy przemawiałem publicznie, ogłosiłem napisane przed kilkoma laty „Poddaństwo kobiet” z dodatkami [córkami i swojemi] i zacząłem gromadzić materiały do przyszłych książek, o których będzie czas mówić bardziej szczegółowo, jeśli starczy życia do ich wykończenia. Na tem więc tymczasem może skończyć się ten pamiętnik.



T R E Ś Ć.

	Str.
Wstęp tłumacza	5
I. Dzieciństwo i wczesne wychowanie	37
II. Wpływy moralne we wczesnej młodości. Charakter i opinie ojca	56
III. Ostatni okres wychowania i początki samodzielnych studjów	65
IV. Młodzieńcza propaganda. <i>The Westminster Review</i> . .	76
V. Przesilenie w mym rozwoju umysłowym. O stopień wyżej	94
VI. Początek najcenniejszej przyjaźni w mem życiu. Śmierć ojca. Zajęcia do r. 1840-go	117
VII. Ogólny rzut oka na resztę mego życia	136



WYDAWNICTWA „NASZEJ KSIĘGARNI”

Sp. Akc.

Warszawa, ul. Świętokrzyska 18.

Barker Ernest Prof. Charakter narodowy i kształtujące go czynniki. Przekład z angielskiego	—.—
Baumgarten F. Dr. Kłamstwo dzieci i młodzieży (na podstawie ankiety w szkołach łódzkich)	4.—
Binet A. Pojęcia nowoczesne o dzieciach. Wyd. III.	7.—
Bovet P. Instynkt walki. Psychologia — wychowanie	6.—
Claparède E. Dr. Psychologia dziecka i pedagogika eksperymentalna. Wyd. III.	—.—
Coster G. Psychanaliza w zastosowaniu do ludzi normalnych	4.50
Daszyńska - Golińska Z. Dr. Prof. Zarys ustawodawstwa pracy	1.80
Dawid J. W. Inteligencja, wola i zdolność do pracy. Wyd. III	12.—
Dawid J. W. O duszy nauczycielstwa	1.—
Dybowski R. Dr. Prof. Wszechświatowa konferencja w Cambridge	1.50
Jeleńska L. Dr. Sztuka wychowania	4.50
Joteyko J. Dr. Prof. Jedność szkolnictwa ze stanowiska psychologii i potrzeb społecznych	2.—
Karpowicz S. Wybór pism	10.—
Key Ellen. Stulecie dziecka. Wyd. III	5.—
Kierski F. Dr. Jan Henryk Pestalozzi. 3 tomy	12.—
Korczak J. Momenty wychowawcze	1.—
Nawroczyński B. Prof. Swoboda i przymus w wychowaniu. Siedem rozpraw pedagogicznych	6.—
Przanowski W., Szczawińska M., Wójcik J. Samorząd w szkole powszechnej	4.50
Radwan W. Postulaty w sprawie ustroju szkolnictwa w Rzeczypospolitej Polskiej	4.50
Sandiford P. Prof. Szkolnictwo angielskie	4.50
Zbierski K. Dr. Zagadnienie kształcenia nauczycieli szkół średnich	1.80